



NAUKA - FANTAZJA - PRZYGODA

W. OCHOTNIKOW

DROGI PODZIEMNE

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ



CZĘŚĆ PIERWSZA

Rozdział pierwszy

— Idźcie śmiało... Ale nigdzie nie zbaczajcie. Droga jest prosta.

Młody człowiek średniego wzrostu, ubrany w letni płaszcz, podziękował urzędnikowi kolejowemu i ruszył w drogę.

Gdy wyszedł na szeroką, asfaltowaną szosę, opanowało go uczucie radości. Ciemne sylwety piramidalnych topoli i ciepły, łagodny wiatr wydały mu się czymś nadzwyczajnym. Niezwykle zdawało się i powietrze nasycone wonią traw.

„Oto południe — błysnęło w myślach Krymowa. — Prawdziwa noc

południowa...“

Od strony stacji doleciał ostry gwizd. Następnie dało się słyszeć sapanie i wzrastający hałas. Krymów zatrzymał się i tak długo patrzył na oddalające się światelka pociągu, dopóki nie znikły zupełnie za zakrętem.

— Ot i wszystko — powiedział głośno. — Zaczyna się nowe życie...

Krymów podniósł walizkę z ziemi i szybko poszedł po asfalcie.

Droga zaczęła się zniżać stopniowo. Na widnokręgu ukazała się purpurowa luna: to księżyc wschodził. Wkrótce jego srebrzyste światło igrało już na wierzchołkach drzew.

Dokoła stało się jaśniej. Oto wieś z prawej strony. Czy nie stamtąd dochodzi dźwięk pieśni? Melodia ciepła i tkliwa. To daleki, dziewczęcy chór śpiewa jedną z tych smutnych, ukraińskich pieśni, które wystarczy usłyszeć choćby jeden raz, aby je zapamiętać na całe życie.

Krymów szedł niby zaczarowany, starając się oddychać jak najgłębiej. Upajające, wiosenne powietrze, noc księżycowa i daleka pieśń wywołują podniosły nastrój. Jemu samemu zachciało się śpiewać.

— Dro — o — ga... droga... pro — o — sta... — nieoczekiwanie zanucił Krymów, przypomniawszy sobie radę kolejarza. — Droga... droga,, prosta — aaa...

Nagle usłyszał w pobliżu przyciszoną rozmowę. Krymów przestał śpiewać i dopiero wtedy zauważył, że w cieniu drzew stoją dwie osoby.

— Wszystkiego dobrego, Piotrze Antonowiczu — już za sobą usłyszał Krymów głos kobiety. — Oto macie towarzysza podróży. Będzie wam z nim wesoło...

Krymów nie zrozumiał w pierwszej chwili, ale wkrótce zrównał się z nim krępy człowiek w dużych, rogowych okularach.

— Niezwykła noc... — przemówił Krymów, zwracając się do współtowarzysza drogi. — Mimo woli ma się chęć śpiewać.

— Tak... Bardzo możliwe — z roztargnieniem odpowiedział tamten.
— To się czasami zdarza niektórym ludziom...

— Dlaczego niektórym?

Nieznajomy ze zdziwieniem zwrócił głowę **w stronę Krymowa.**

— To jest, wybaczenie... Ja was niezupelnie rozumiem. A jezeli czlowiek nie lubi spiewac? Cóz moze zmusic go do zajmowania się tak bezcelowym spędzaniem czasu?

Szli dalej w milczeniu. Ciszę nocną przerywał tylko szmer kroków.

Milczenie stało się wkrótce dla Krymowa nieznośne.

— Spójrzcie dokoła — zaczął z zachwytem. — Jaka cudowna noc. Jaki widok przed nami. Widzicie w oddali budynek — w świetle księżyca wydaje się on zamkiem z baśni. Popatrzcie, tam, w okienku, z prawej strony zapala się i gaśnie tajemnicze, niebieskie światło. Można sobie wyobrazić, że w tym zamku mieszkają czarodzieje.

Nieznajomy spojrzal przelotnie we wskazanym kierunku, a nastepnie zblizył lewą rękę do oczu, aby popatrzeć na zegarek, który nosił na ręce.

— Znowu ta sama historia... Już pół do dwunastej, a elektryczne spa-
wanie jeszcze nie zakończone — powiedział gniewnie.

— A topole? Topole, spójrzcie — nie zrażając się ciągnął dalej Kry-
mów. — Przecież one są srebrzyste.

— Widocznie jesteście poetą, nieprawdaż? — zapytał nieznajomy;

— Trochę, naturalnie...

— Wobec tego wszystko jest zrozumiałe. Muszę was rozczarować. To-
pole są najzwyklejsze, piramidalne. A budynek, przedstawiający się wa-
szej wyobraźni jako starożytny zamek, to tylko instytut naukowy techniki
badań geologicznych. Tam, wewnątrz znajdują się zasmarowane oliwą,
cuchnące czadem warsztaty i maszyny. I jest to zupełnie zrozumiałe, że
zamiast czarodziejów przebywają tam inżynierowie, **konstruktorzy,**

którym poezja powinna być obca. Rozumiecie? obca.

— Dlaczego obca? Ja właśnie jestem inżynierem... — z przejęciem zaczął mówić Krymów, ale nieznajomy nie pozwolił mu dokończyć zdania.

— Dla prawdziwego inżyniera, człowieka, którego całkowicie pochłania technika, który kocha swój zawód, poezja powinna być zupełnie obca

— Me, nie zgadzam się — twardo powiedział Krymów zatrzymując się.

Zatrzymał się i jego współtowarzysz. Przez pewien czas patrzył uważnie na Krymowa przez rogowe okulary, jak gdyby zbierając myśli, a następnie cicho przemówił:

— Wybaczcie. Nie ma sensu spierać się tutaj. Poza tym wydaje mi się, że spieszycie się.

— Chciałbym znaleźć instytut naukowy techniki badań geologicznych, o którym przed chwilą wspominaliście. Tam właśnie idę.

— Czemuż nie powiedzieliście o tym wcześniej? Przecież, przedłużając spór, mimo woli zaprowadziłbym was w przeciwną stronę. Ja muszę iść w tym kierunku, a wy idźcie tam, szosą i nigdzie nie zbaczajcie. To już blisko. Wszystkiego dobrego.

— Wszystkiego dobrego — odpowiedział Krymow i ruszył dalej.

Wkrótce na asfaltowanej drodze, pokrytej bladym całunem światła księżycowego, ukazał się czarny punkt. Szybko pędził na spotkanie Krymowa rosnąc coraz bardziej i ostatecznie zmienił się w czarnego psa z rasy owczarków.

Machając ogonem pies podbiegł do Krymowa, na sekundę zatrzymał się niezdecydowany, a następnie, jak gdyby upewniwszy się, że nieznajomy nie ma złych zamiarów, rzucił się do niego podskakując radośnie i wijąc się całym ciałem.

— Wróć, Dzulbars, wróć — dał się słyszeć czyjś głos i do Krymowa prawie biegnąc zbliżył się młodzieniec ubrany w bluzę wojskową.

— Nie obawiajcie się — przemówił właściciel psa. — To wyjątkowo mądry pies. Jeszcze nie było wypadku, aby ugryzł kogokolwiek bez powodu.

— Nie należę do bojaźliwych. Czy moglibyście pomóc mi znaleźć wejście, dyżurnego?... Krótko mówiąc, dopiero co przyjechałem tutaj do pracy.

—Przepraszam... Czy nie nazywacie się Krymow?

— Istotnie tak.

— Więc dlaczego nie telefonowaliście ze stacji? Oczekują was. Przypadkowo słyszałem rozmowę. Trzeba było wezwać samochód.

— Ale gdzie tam, taki drobiazg... To przecież niedaleko. Więc wskażecie, gdzie jest wejście?

— Chodźmy, chodźmy. Zaraz wszystko urządzimy... — wesoło **prze-**mówił młodzieniec, wrywając walizkę z rąk Krymowa. — Pozwólcie, że się przedstawię — prężąc się po wojskowemu — były sierżant gwardii, radiotelegrafista Utoczkin, Konstantin Utoczkin. Obecnie pracuję w instytucie techniki badań geologicznych na stanowisku radiomechanik.

— Bardzo mi miło was poznać.

— Czy mogę spytać, jakie jest imię wasze i imię ojca, towarzyszu Krymow?

— Oleg Nikołajewicz.

— Zaraz, Olegu Nikołajewiczu, wszystko będzie w porządku. Pokój dla was jest już przygotowany. Na dzisiejszy dzień nie przewiduję żadnych kłopotów. Od razu odpoczniecie po podróży. Chociaż... Jediną przykrością może być tylko Panfieryez.

— Jaki Panfieryez?

— A jest u nas jeden dozorca. On właśnie ma teraz dyżur. Na was, jako nowego człowieka, oczywiście napadnie. Ale ja już postaram się uspokoić go jakoś.

— Co to znaczy „napadnie”?

— A bardzo zwyczajnie. To zupełnie niemożliwy staruszek. Nie posiada technicznego wykształcenia — jednym słowem dozorca. I wyobraźcie sobie, interesuje się nauką do tego stopnia, że nikomu nie daje przejść. Wtrąca się do wszystkich rozmów i dyskusji. Wszyscy go u nas znają i wyobraźcie sobie lubią.

— To bardzo ciekawe. Nie będę miał nic przeciwko temu, jeżeli on na mnie „napadnie” — I bardzo bym was prosił, abyście go nie „uspokajali”.

Gawędząc w ten sposób, podeszli do instytutu.

Znalazłszy się w obszernym i rzęsiście oświetlonym przedsionku, Krymów przede wszystkim uważnie obejrzał swego przewodnika. Był to dwudziestopięcioletni młodzieniec o twarzy miłej, lecz nieco czupurnej, z czarnymi, lekko falującymi się włosami. Mundur 'wojskowy leżał na nim dobrze. Buty były starannie wyczyszczone. W spokojnych ruchach młodzieńca wyczuwało się opanowanie.

Wkrótce zjawił się i dozorca Panfieryez, o którym młodzieniec opowiadał podczas drogi.

— Znów psa przywlokłeś — rozległ się groźny okrzyk dozorca, — Ile razy ci mówiłem; nie bierz psa ze sobą... Tu nie miejsce dla niego. Tu jest świątynia wiedzy, a ty profanujesz ją obecnością psa.

— Jakaż tu świątynia wiedzy, Panfieryczu? Tu jest sień, przedsionek, można powiedzieć... — odparł mechanik usiłując chwycić psa za obrozę.

— Jak to przedsionek? — ciągnął dalej Panfieryez z urazą w głosie. — Teren instytutu jest jeden.

Zbliżył się do przybyłych krokiem statecznym, powoli. Był to starzec

siedemdziesięcioletni z „kozią” bródką. W jego **niebieskawych**, nieco przymrużonych oczach płonęły wesołe ogniki, jakie często spotyka się u kościstych, ruchliwych i dobrze trzymających się starych ludzi.

— Dzień dobry, towarzyszu Panfieryez — głośno przywitał go Oleg Nikołajewicz pragnąc tym sposobem przerwać sprzeczkę o psa. — Przyjechałem do was do pracy. Kogo mam zawiadomić o tym? Jestem inżynier Krymow.

Na twarzy dozorca zjawił się wyraz dumy i radości jednocześnie. Być może pochlebilo mu to, że świeżo przybyły inżynier już go zna.

Za minutę wszyscy trzej siedzieli w małym pokoju przy telefonie stojącym na stole. W przedsionku żałośnie skomlał pies.

— Zagadnienia geologiczne i inne problemy — to sprawy godne poważania — mówił Panfieryez. — Im więcej my tu wymyślimy maszyn, tym bogatszy będzie nasz kraj. To fakt. Ot, weźcie choćby maszyny wiertnicze, które u nas budują. Dlaczego nie zrobić by jednej takiej, która by przewierciła ziemię na dziesięć kilometrów. Kiedyś mówiłem o tym dyrektorowi... A on odpowiedział; „Trudno, Panfieryez. Jak ją teraz zrobić? Twoją propozycję wykorzystamy nieco później...” A ja ściśle naukowo ot tak rozumię...

— Jakoś długo nie dzwonią — wtrącił Kostia wyciągając rękę do telefonu.

— Zadzwoń, zadzwoń. Nie masz się czym przejmować — niechętnie zauważył Panfieryez. — Zdażysz jeszcze nakłopotać się ze swoim psem.

— Pies — to mój towarzysz z wojny — przemówił Utoczkin, jakby usprawiedliwiając się. — Rzeczywiście, nie mogę się z nim rozstać. A było to tak...

I Krymow zmuszony był wysłuchać krótkiego opowiadania Kosti

o przyczynie jego przywiązania do psa, który uratował mu życie w czasie wojny w najbardziej niezwykłych okolicznościach.

Wkrótce na progu zjawiała się, pobrzękując wiązką kluczy, kobieta w białym fartuchu, „gospodyni hotelu”, jak ją tu nazywano, i poprosiła inżyniera, by poszedł za nią.

Krymow pożegnał się z dozorcą i w towarzystwie Kosti wyszedł z izby.
Rozdział drugi.

Po przebudzeniu Krymow obejrzał pokój i przekonał się, że jest on istotnie tak przytulny, jak wydał mu się wczoraj późnym wieczorem. Biurko, krzesła, biblioteka — wszystko dobrane było z wielkim smakiem.

W sposobie ustawienia tych mebli oraz w różnych drobiazgach wyczuwało się czyjąś troskliwą rękę.

Pokój zalany był olśniewającym słońcem wiosennym.

Krymów szybko wyskoczył z łóżka i otworzył okno na roścież. Orzeźwiający, świeże powietrze wdarło się do pokoju wraz ze zgiełkiem, którego zazwyczaj pełny był rankami dziedziniec wielkiego domu.

— Czy na praktykę przyjechał? — rozległ się kobiecy głos.

— Nie, nie na praktykę. Będzie tu pracował. Dopiero ukończył instytut — odezwał się drugi głos kobiecy.

— Młody?

— Bardzo młody. I wygląda przyjemnie...

Krymow poczuł, że nie wypada mu słuchać tego rodzaju rozmowy i chciał zamknąć okno. Ale głosy umilkły. Przed nim z wysokości trzeciego piętra roztaczał się niezwykły widok. Ładne zabudowania instytutu naukowo-badawczego, które wczoraj przy świetle księżycy wydały mu się zamkiem z bajki, tonęły w młodej, świeżo rozwiniętej zieleni ogromnego parku. W oddali widać było pole z lekka przesłonięte niebieskawą mgiełką. Z prawej i z lewej strony wznosiły się zębate ściany lasu. W bez-

kresnej głębinie przejrzystego nieba dźwięcznie szczebiały ptaki. Świergocący ich chór to cichnął, to znowu przybliżał się, jak gdyby kierowany pałeczką niewidzialnego dyrygenta.

Wykonawszy kilka ćwiczeń gimnastycznych Krymow zaczął się pośpiesznie ubierać. Nagle rozległo się pukanie do drzwi.

— Proszę wejść — głośno powiedział Oleg Nikołajewicz.

— Przepraszam... — zabrzmiał głęboki bas i spoza wpółotwartej polowy drzwi ukazała się zaspana twarz.

— Wejdźcie, wejdźcie...

— Proszę wybaczyć... — rozpoczął przybyły. — Rozumiecie — co za sprawa. Dosłownie za pół godziny muszę być u dyrektora, wzywa mnie... A z nieogoloną fizjonomią, w rodzaju mojej, lepiej nie pokazywać się wcale — on strasznie tego nie lubi. Wczoraj chciałem kupić nożyk do golenia, lecz, rozumiecie, spotkałem Wasie właśnie, kiedy szedłem do sklepu.

A Wasia mówi: chodźmy, chodźmy do mnie. Mieszka on oczywiście niedaleko, można byłoby nawet zdążyć, ale wyszło zupełnie inaczej...

— Potrzeba wam nożyka do golenia? Wejdźcie. Czemuż stoicie?... Zaczynam szukać...

Nieznajomy wolno wszedł na środek pokoju i zatrzymał się niezdecydowany. Był to człowiek czterdziestoletni, ubrany nieco niedbale.

— Zakład fryzjerski otwierają u nas późno... — ciągnął dalej gderliwie. — Formalny skandal. Nie chcą się liczyć z ludnością. Próżniaki.

— Oto jest nożyk — Krymow podszedł do gościa. — Może przy okazji zaznajomimy się? Nazywają mnie Oleg Nikołajewicz. Nazwisko moje Krymow.

— Gorszkow Pantelejmon Jawszejewicz — stłumionym basem rzeki gość ściskając rękę Krymowa. — Mechanik montażowy w oddziale

eksperymentalnym — dodał po pewnym czasie, oglądając uważnie swoje nieoczyszczone trzewiki.

— Rad jestem, żeśmy się poznali. Z pewnością wypadnie nam spotykać się w pracy. Właśnie przygotowuję się do urzeczywistnienia pewnego nowego projektu i zanosi się na duże prace eksperymentalne.

— Tak, tak... — bąknął Gorszkow. — Eksperymentalne prace, mówicie, nowy projekt... To, naturalnie, byłoby nieźle, gdyby nie rozmaite nieporządki spotykane na każdym kroku...

— Jakie nieporządki?

— Rozmaite, mówię... gdy popracujecie — sami zobaczycie. Co krok to nieporządek. To samo dotyczy i prac doświadczalnych. Wciąż mędrkują i mędrkują. A w ostatecznym wyniku otrzymuje się dużo niedociągnięć, niedomówień...

— A jak się na to zapatruje dyrektor?

Usłyszawszy słowo „dyrektor”, Gorszkow od razu opamiętał się i przepaszając opuścił pokój swym nieco niedźwiedziowatym krokiem.

Po pewnym czasie Krymow bez pośpiechu skierował się do instytutu naukowo-doświadczalnego, gdzie miał ujrzeć dyrektora — Konslantina Grigoriewicza Gremiakina. Przeszedł przez dyżurkę i znalazł się w parku. Szeroka, piaszczysta aleja prowadziła do dużego, dwupiętrowego budynku.

W poczekalni życzliwie przyjęła Krymowa starsza niewiasta z bujnymi, siwiejącymi włosami — sekretarka dyrektora.

— Nina Leontiewna — powiedziała witając się. Krymow zasiadł w skórzanym fotelu i czekał. Nagle z gabinetu dyrektora rozległ się łoskot gwałtownie odsuwanego krzesła i nawet, jak się zdawało Krymowowi, odgłos uderzenia pięścią w stół.

— Co się tam dzieje? — spytał niespokojnie, wskazując głową

masywne drzwi, obite czarną ceratą. — Dyrektor dzisiaj, zdaje się, w złym nastroju?

Na twarzy sekretarki dyrektora pojawił się wyraz powagi i zarazem lekkiego zdumienia.

— Dlaczego w złym nastroju? Przeciwnie. Czy nie słyszycie, jak rozmawia z ożywieniem?

— Słyszę — potwierdził Oleg Nikołajewicz. — Jednakże...

W tej chwili drzwi otworzyły się bezszelestnie i na progu ukazał się Gorszkow. Krymow zauważył ku swemu zdziwieniu, że nie sprawia on wcale wrażenia człowieka, którego przed chwilą spotkała przykreść.

— Oto — powiedział Gorszkow zwracając się do sekretarki dyrektora — Konstantin Grigoriewicz prosił, aby oddać wam to zarządzenie. Tu jest podziękowanie za przedterminowe wykonanie montażu węzła D-35.

— No więc... wieszczę wam, Pantelejmonie Jewszejewiczu — odpowie działa Nina Leontiewna uważnie przeglądając wręczony jej papier.

— Czego tu wieszczować — rzekł konstruktor. — Najzwyczajniejsza sprawa. Gdyby dostawa części odbyła się w terminie, to zadanie zostałooby wykonane jeszcze prędzej.

— Wejdźcie, towarzyszu — zaproponowała Nina Leontiewna, zwracając się do Krymowa.

Oleg Nikołajewicz przestąpił próg i znalazł się w obszernym gabinecie, o ścianach wyłożonych czarnym dębem.

Spoza stołu, stojącego w rogu, porywczo podniósł się człowiek o stanowczym i energicznym wyrazie twarzy.

— Przybyliście nareszcie. Bardzo dobrze. Witajcie — radośnie przemówił, wyciągając rękę przez stół. — Jedliście śniadanie? Nie? Jakże tak można? Siadajcie, siadajcie... Dlaczego nie zadzwoniliście ze stacji, aby przysłać po was samochód? Co to takiego, pytam was?

— To bardzo blisko... — zaczął usprawiedliwiać się Krymow, lecz dyrektor przerwał mu:

— Zbyteczna skromność. Zupełnie zbyteczna. Olegu Nikołajewiczu. przyjechaliście w sam czas. Gdybyście wiedzieli, co my tu zamysłamy! Potrzeba ludzi, ludzi i jeszcze raz ludzi.

Gremiakin wyszedł zza stołu i mówił dalej, szybko chodząc po gabinecie.

„Ale temperament” — błysnęło w głowie Krymowa.

— Potrzebni nam są inżynierowie z inicjatywą — dyrektor zatrzymał się na minutę. — Przed nami jest olbrzymia dziedzina pracy. Rozumiecie, jak ważne są dla naszego kraju szerokie i skuteczne poszukiwania geologiczne.

— Mam., Konstantinie Grigoriewiczu, pewną propozycję. Projekt nowej maszyny geologicznej — zmieszanemu Krymowowi udało się w końcu wtrącić słowo.

— Jeden projekt? — surowo zapytał Gremiakin.

— Jeden...

— Dlaczego jeden? Mało!

— Ha razie jeden...

Na śniadej twarzy dyrektora pojawił się uśmiech.

— Żartowałem — zaczął — to dobrze, że jeden. Bo bywają ludzie, którzy mają w głowie tysiące projektów i propozycji, chwytają się wszystkiego i niczego nie doprowadzają do końca. Rozumiecie mnie? Dążenie do jednego celu przede wszystkim. Gdy się zrobi jedną rzecz, doprowadzi się ją do końca, wtedy można się brać za drugą.

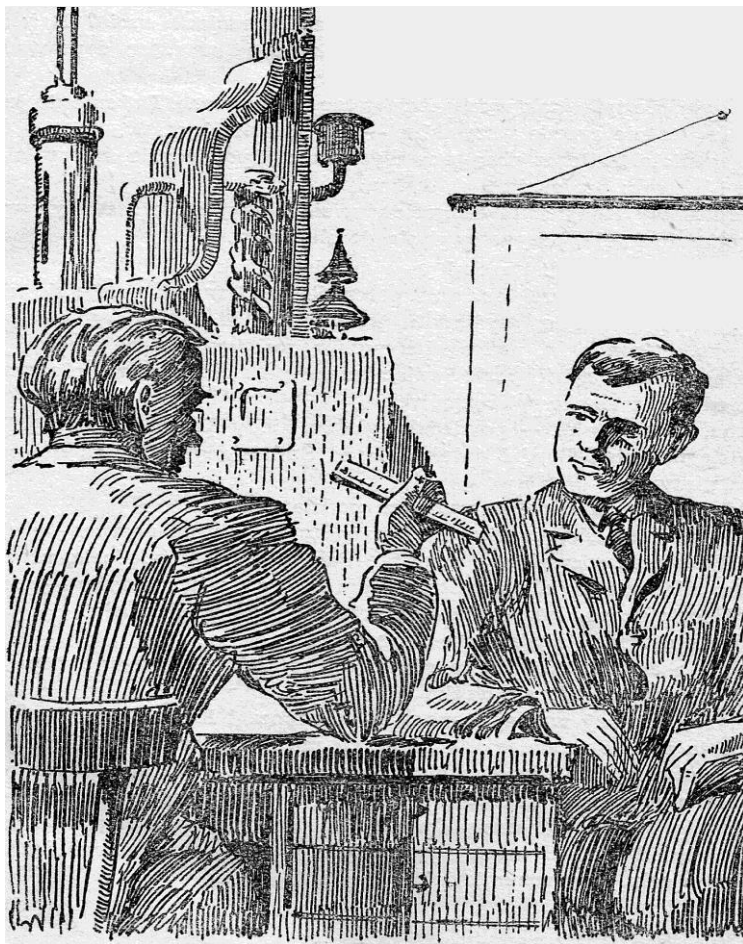
— Ja właśnie tylko tak wyobrażam sobie swoją pracę. Dążenie do jednego celu istotnie przede wszystkim — przemówił Krymow.

— Wspaniale. A teraz chcę was wysłuchać. Opowiedzcie szczegółowo

o sobie i o swym projekcie.

Z tymi słowy Konstantin Grigoriewicz siadł przy stole i odchyliwszy się na oparcie fotela, przygotował się do słuchania.

Krymow zebrał myśli i zaczął je wypowiadać jak najbardziej zwięźle. Zdawało mu się, że dyrektor zaraz przerwie mu i znowu poleje się niepowstrzymana, pełna temperamentu przemowa. Ale obawy jego okazały się płonne. Gremiakin, aczkolwiek wykonywał gwałtowne ruchy, to chwytając za ołówek, to przesuwając leżące na stole papiery, nie prze-



rywał jednak swemu współrozmówcy.

— Aha, więc to tak... — powiedział głośno, kiedy Krymow skończył.
— Daleko sięgneliście. Bardzo daleko. Hm. Śmiała myśl. Bardzo śmiała...
Projekt niezwykle.

— Ale oparty na zupełnie realnych podstawach.

— Nie przeczę. Trzeba będzie zapoznać z projektem naszych specjalistów. Następnie rozważymy wszystko jak należy... Powiedzcie, proszę, czy wam wiadomo, że dla skonstruowania tego rodzaju maszyny — mam na myśli ostateczne wykonanie — potrzebne będą wielkie siły?

— Wiem o tym, Konstantinie Grigoriewiczu.

— No, to cudownie. Wielkie siły będą potrzebne. Ogromne napięcie woli. Walka zapowiada się ciężka...

— Myślę, że przy waszej pomocy... — rozpoczął Krymow.

— Co tu mówić o pomocy — przerwał mu dyrektor. — Czyż nie jest jasne, że stworzy się dla was niezbędne warunki. Nasz instytut rozporządza znakomitymi kadrami, posiada pierwszorzędne urządzenia. Wszystko to będzie do waszej dyspozycji. Ale... powtarzam jeszcze raz: wiele zależy od was, od waszej wytrwałości w pracy, od waszego dążenia do jednego celu. Czy rozumiecie?

— Rozumiem.

— No, więc dobrze.

— Chciałbym, Konstantinie Grigoriewiczu, przystąpić do wstępnych prac w najbliższych dniach.

— Rozumiem, rozumiem. Trudno wytrzymać... I ja jestem taki. **Ale**, drogi Olegu Nikołajewiczu, zmuszony jestem trochę was rozczarować. Patrzcie, jak sprawy stoją... Obecnie cały instytut zajęty jest wykonaniem najbardziej odpowiedzialnego zadania. Zadania o niezwyklej, państwowej doniosłości. Posiadamy specjalne, surowe instrukcje z centrali.

Nie znaczy to, oczywiście, że powinniśmy zupełnie zapomnieć o waszym projekcie. Będzie on rozpatrywany przez naszych specjalistów, dyskutowany.

— Trochę mi przykro, ale cóż robić, skoro taka jest sytuacja — powiedział Krymow z głębokim westchnieniem.

— Nie szkodzi, nie szkodzi. Wszystko w swoim czasie. Skierowuję was do pracy w biurze konstrukcyjnym, którym kieruje inżynier o dużej wiedzy i doświadczeniu. Czy słyszeliście o Trubninie?

— Trochę słyszałem... — niepewnie odpowiedział Krymow przypominawszy sobie nazwisko autora poważnych technicznych artykułów.

Oleg Nikołajewicz wyszedł z gabinetu podniecony i radosny. Otwierając drzwi omal nie zderzył się na progu z człowiekiem, z którym spotkał się wczoraj na drodze.

— Dopiero co przeszedł wasz przyszły zwierzchnik — z uśmiechem powiedziała Nina Leontiewna rozpatrując decyzję dyrektora. — Piotr Antonowicz Trubnin... — dodała nie spostrzegając wyrazu zdziwienia na twarzy Krymowa.

Rozdział trzeci

Krymow wszedł do obszernej i jasnej sali. Wzdłuż ścian z wielkimi oknami ciągnęły się rzędy stołów kreślarskich. Na podłodze wzdłuż i w poprzek rozesłane były miękkie dywanowe chodniki. Pracownicy chodzili po nich zupełnie bezszelestnie. Z rzadka jedynie rozlegało się czyjeś ostrożne słowo lub szelest papieru kreślarskiego.

Oleg Nikołajewicz siadł na swoje miejsce.

— Ja do was! — dał się słyszeć miękki i śpiewny głos. Krymow odwrócił głowę i ujrzał przed sobą zgrabnego młodzieńca z marzącymi oczami, konstruktora Katuszkina, z którym niedawno poznał się w gabinecie kierownika.

— Jakże się cieszę, że udało mi się spotkać z wami — Katuszkin uśmiechnął się przyjaźnie. — To takie nieoczekiwane! Czy przyjechaliście z Leningradu?

— Istotnie — odpowiedział Krymow nie pojmując, dlaczego inżynier tak się cieszy z poznania go.

— Nigdy me byłem w Leningradzie — mówił dalej konstruktor przysiadając się. — Ale nadzwyczajnie lubią to miasto! Z nim jest związane tyle wspomnień.

— Wspomnień? — zdziwił się **Krymow**. — Przecież mówiliście, że nigdy nie byliście w Leningradzie.

— To prawda. Ale miałem na myśli nie swoje osobiste wspomnienia, lecz, że tak powiem, literackie. Wy mnie, naturalnie, rozumiecie... Zupełnie wyraźnie wyobrażam sobie Nowę, białe noce, iglicę Admiralicji — jednym słowem wszystko, co opiewał Puszkina.

— No, oczywiście... — niewyraźnie bąknął Krymow, bystro obserwując rozmówcę.

Katuszkin ostrożnie przysunął swe krzesło i przemówił jeszcze ciszej, prawie szeptem:

— Główne moje nieszczęście polega na tym, że mało podróżowałem. A przecież to takie ważne! Więc gdzie ja byłem? Uczyłem się w Nowosybirsku. Praktykę odbywałem w Magnitogorsku. Pracowałem trochę w Donbasie. Ale to wszystko, rozumiecie, nie to...

— Dlaczego nie to? — znowu zdziwił się Krymow.

Inżynier Trubnin, kierownik biura konstrukcyjnego, wyszedł ze swego gabinetu. Przeszedł przez salę, szybkim spojrzeniem obrzucił współpracowników i zniknął w przeciwnych drzwiach. Krymowowi zdawało się, że spojrzenie Trubnina zatrzymało się na nim i na konstruktorze Katuszkinie dłużej niż na kimkolwiek innym,

Oleg **Nikołajewicz** postarał się przypomnieć sobie rozmowę, która przed godziną odbyła się w gabinecie Trubnina, dokąd zgłosił się dla zawarcia znajomości ze swoim kierownikiem.

— Witajcie. Zdaje się, że już się znamy trochę — tymi słowami powitał go Trubnin.

— Tak. Spotkaliśmy się przypadkowo, kiedy szedłem ze stacji.

Następnie zaczął wypytywać się o Leningrad, o wspólnych znajomych — wykładowców. Potem Trubnin wyjął teczkę z planami skomplikowanego, hydraulicznego świdra i zaczął się radzić w sprawie drobnych kwestii technicznych. Krymow rozumiał doskonale, że jest to pewnego rodzaju egzamin i zdołał się skupić. Ale równocześnie uważnie **obserwował inżyniera** Trubnina, starając się zrozumieć, jakim człowiekiem jest jego zwierzchnik.

Piotr Antonowicz mówił jednostajnie i monotonicznie, nie podnosząc i nie zniżając głosu.

— Nie zgadzam się z wami, że **wytrzymałość** tej dźwigni można obliczać według uproszczonego schematu — obstawał Trubnin utkwivszy wzrok w rysunku. — Te dowolności mogą niekiedy doprowadzić do dość smutnych wyników.

— Ale przecież w pewnych wypadkach takie obliczenia są możliwe — Kryłow spróbował bronić swego zdania.

Trubnin przeczył w dalszym ciągu. W jego rozważaniach wyczuwało się duży wpływ twardej i upartej pedanterii.

— Na początek zajmiecie się opracowaniem węzła B-28 wspólnie z konstruktorem Katuszkinem. Ten młody inżynier, zdaje mi się... jest wam bliski duchowo — zakończył Piotr Antonowicz z dziwnym uśmiechem,

— Dlaczego? - także uśmiechając się zapytał Oleg Nikołajewicz.

— Zobaczycie... A naszą dyskusję co do sztuki i techniki przy sposobności poprowadzimy dalej. Jak urządziliście się z mieszkaniem?

— Bardzo dobrze. Dziękuję.

Na progu zjawił się Katuszkin. Przez pewien czas rozmawiali we trzech, a później Krymow oddalił się, pozostawiając kierownika i konstruktora samych.

I oto teraz Krymow siedzi przy stoliku kreślarskim i słucha gadatliwego inżyniera, który skarżył się na to, że mało podróżował.

— Nieskończenie rad jestem, że trafiliście właśnie do nas, Olegu Nikołajewiczu — mówił dalej Katuszkin. — Mnie tutaj mało kto rozumie.

— **No**, a co tam u was z węzłem B-28 ? — ostrożnie zapytał Krymow, który również nie mógł zrozumieć skarg młodego inżyniera.

Na twarzy Katuszkina zjawił się poważny wyraz.

— Tak, tak. Czas zająć się pracą — powiedział pośpiesznie. — Proszę mi wybaczyć. Tak się **ucieszyłem** z **powodu waszego** przyjazdu, że rozumiecie... Zaraz wprowadzę was w tok pracy.

Konstruktor skierował się do **swego** stolika i wkrótce powrócił z teczką rysunków. **Rozłożywszy** je przed Krymowem, zaczął wyjaśniać. Głos jego stracił swą melodyjność.

— Tędy, **tą rurą**, będzie przepływać woda — wolno mówił Katuszkin. — Tu powinien znajdować się wentyl. Nie, przepraszam, nie wentyl. Chociaż tak, rzeczywiście wentyl. Woda będzie uchodzić tędy...

Rozlega się dzwonek. Słychać szelest zwijanych papierów i ożywioną

rozmowę. Pracownicy przygotowują się do opuszczenia sali konstrukcyjnej. I Krymów widzi, jak zmienia się Katuszkin: iskry radości błyszczą w jego oczach, głos znów staje się melodyjny.

— Oto jeden z moich **utworów**. Naturalnie, nie najlepszy. Powinście mnie zrozumieć. — Przy tych słowach konstruktor podał **Krymowowi** arkusz papieru, na którym ładnie i kunsztownie wykaligra fowane były wiersze.

— Wasza opinia będzie dla mnie szczególnie cenna.

— Dlaczego mianowicie moja opinia? — uśmiechając się spytał Krymów.

— Nie bądźcie zbyt skromny, Olegu Nikołajewiczu — powiedział Katuszkin patrząc figlarnie na inżyniera, — Czyżbyście nie chcieli przeczytać?

Krymow wzruszył ramionami i zaczął uważnie oglądać podany mu papier.

Nigdy nie żywił szczególnej skłonności do wierszy. Poezją interesował się w miarę, jak interesują się nią ludzie w jego wieku. Ale nie trzeba było być dobrym znawcą, aby od razu określić nieudolność pokazanych mu wierszy.

Oto jak one brzmiały:

W powietrzu upalnym, miętowym, upojnym.

Wśród melodyjnego łoskotu fal oceanu,

Pod słońcem iskrzącym i znojnym

Dojrzewa soczysta i złota

Girlanda bananów.

Dalej następowało wszystko w tym *samym* stylu.

— No, jak? — spytał Katuszkin, wzruszony, kiedy Krymow skończył czytanie. — Czy będą uwagi?

— W ogóle nieźle... — bąknął ów, nie decydując się urazić poety. — Co prawda bardzo dużo niejasności... niedociągnięć... Ot, na przykład, piszecie: „dojrzewa girlanda bananów”. Możliwe, że się mylę, ale mnie się zdaje, że owoce bananów mogą być rozłożone w postaci girlandy tylko w takim wypadku, kiedy sprzedaje się je nawleczone na sznurek, ale rosną one inaczej.

— Bodaj to diabli — powiedział Katuszkin zmieszany. — Macie rację. Trzeba było zajrzeć do podręcznika botaniki...

— A zatem piszecie wiersze? — zapytał Oleg Nikołajewicz, ażeby przerwać kłopotliwe milczenie.

— Czyż Trubnin nie mówił wam o tym? — zdziwił się konstruktor i nie czekając odpowiedzi, zaraz dodał: — Mam jeszcze niewielki poemat o Zorzy Polarnej. Byłoby dobrze, gdybyście go przeczytali.

— Przeczytam, naturalnie, że przeczytam...—odpowiedział Krymów.— Ale chcę was tylko uprzedzić: w wierszach orientuję się średnio. Uczciwie powiedziawszy, nic się na tym nie znam.

— Ależ wy żartujecie ze mnie, czy co? — z niedowierzaniem przemówił Katuszkin. — Wasza skromność przechodzi wszelkie granice.

Krymow gotów był już rozgniewać się nie na *żarty*, ale ujrawszy urazę, malującą się na twarzy inżyniera, powstrzymał się w porę. Nie wiedząc co począć, Oleg Nikołajewicz zaczął znowu przeglądać utwór poetycki o bananach dojrzewających pod promieniami tropikalnego słońca.

— Tak — powiedział wreszcie, starając się nadać swemu głosowi wyraz jak największego znawstwa. — Powołanie, to jest, przepraszam, talent prawdopodobnie macie, ale trzeba będzie pracować nad sobą jeszcze bardzo dużo... bardzo dużo.

W tym momencie w opustoszałej sali rozległ się dźwięczny głos. Ktoś

wołał Trubnina po imieniu. Krymow przypomniał sobie, że słyszał już ten głos, kiedy wieczorem szedł ze stacji. Był to głos kobiety, z którą zegnał się Trubnin.

Oleg Nikołajewicz odwrócił głowę i ujrzał szybko idącą przez salę wysoką dziewczynę, ubraną w pstrą suknię. Na jej rozumnej i energicznej twarzy malował się niepokój. Jeszcze raz zawołała Trubnina i przekonawszy się, że nie ma go na sali konstrukcyjnej, skierowała się ku drzwiom prowadzącym do gabinetu kierownika.

— Kto to? — cicho spytał Krymow, odprowadzając dziewczynę wzrokiem.

— Zoja Władimirowna Sjemionowa. Geolog... Bardzo miła dziewczyna. W naszym instytucie jest doradcą w zagadnieniach geologicznych — pośepnie rzekł Katuszkin. — W poezji orientuje się także niezle — dodał już weselszym tonem.

— Zdaje się, że nie na żarty entuzjazmujecie się poezją... — zauważył Krymow doprowadzając swój stół do porządku.

— Nie jestem tu odosobniony — ucieszył się konstruktor. — Mamy w instytucie jeszcze kilka osób: towarzysza Pietriak — rachmistrz oddziału produkcyjnego, ślusarz Tomilin — bardzo utalentowany młodzieniec, Galunowski — robotnik oddziału kontroli technicznej i jeszcze szereg towarzyszy. Są i prozaicy. W pracy naszego kółka literackiego jest wiele braków, nie ma doświadczonego kierownika. — Ale ludzie — wyraźnie utalentowani. Sami przekonacie się o tym. Nawiasem mówiąc... Czyby nie urządzać w naszym klubie wieczoru poezji? Wystąpilibyśmy wszyscy. Jak myślicie? Często urządzamy takie wieczory. Zazwyczaj bywa, na nich dużo osób, większość bierze czynny udział w dyskusjach... Może i wy wystąpicie ?

— Dlaczego by nie urządzać? Oczywiście, urządźcie. Ja także przyjdę

posłuchać miejscowych poetów — odpowiedział Krymow — wezmę udział w omawianiu ich wierszy...

Odpowiedź ta wywarła na Katuszkin magiczny wpływ. Twarz inżyniera rozpromieniła się. Chwycił Krymowa za rękę i zaczął nią potrząsać uśmiechając się radośnie.

— To doskonale, Olegu Nikołajewiczu. Cudownie. W takim razie pójdę niezwłocznie. Muszę koniecznie znaleźć sekretarza organizacji komsomolskiej i umówić się w sprawie wieczoru. Wszystkiego dobrego, Olegu Nikołajewiczu.

Z tymi słowami Katuszkin popędzi! do wyjścia. Krymow odprowadził go zdziwionym spojrzeniem.

Rozdział czwarty

Do gabinetu sekretarza organizacji komsomolskiej wszedł Katuszkin z tryumfującą miną.

— Dzień dobry, towarzyszu Jemiołow — powiedział przestępując próg.

— Witam was, Walentynie Dmitriewiczu — odpowiedział młodzieniec o śniadej twarzy, podnosząc się i wyciągając rękę. — To bardzo dobrze, że przyszliście.

— Jakże mógłbym nie przyjść, Medy dzieją się takie cuda? — konstruktor potrząsnął w powietrzu gazetami.

— Cóż takiego? Siadajcie.

— Nie wiem jak z prozaikami, ale z poetami w naszym kółku literac-

kim będzie można nieźle zorganizować pracę...

— Czas już na to.

— Opieram to na pewnych podstawach. Wyobraźcie sobie: przyjechał do nas do pracy nowy inżynier, Oleg Nikołajewicz Krymow... — przy tych słowach Katuszkin wyciągnął do Jermołowa paczkę gazet.

— Oczywiście, Krymow jest poetą nie pierwszej i nie drugiej wielkości — mówił dalej konstruktor — jednakże jest już dosyć znany. Oto przyniosłem kilka numerów „Cześć pracy“, w których zamieszczone są jego wiersze. Oleg Krymowi

Jermołow odsunął się na oparcie fotela i zaczął uważnie przypatrywać się Katuszkinowi.

— Poczekajcie — powiedział po pewnym czasie. — Sądzicie, że przybyły do nas inżynier Krymow jest poetą Krymowem?

— Tak. Wyobraźcie sobie, Sjergiej Iwanowiczu, taki nieprawdopodobny przypadek... Wzywa mnie Trubnin i zaznajamia z dopiero co przybyłym. Jeszcze mi nic nie powiedział, ja sam, rozumiecie, przeczułem. Bardzo mało podobny jest do zwykłych inżynierów, wygląd jego świadczy, że jest to człowiek sztuki... Czy wiecie? Nawet prawie nie zdziwiłem się, kiedy Trubnin mi oświadczył: „Będziecie pracować razem z towarzyszem Krymowem, To wasz współwyznawca — także poeta“. — Jak to — pytam — poeta Krymowa Oleg Krymów? „Istotnie“ — odpowiada. — Zgadliście: Oleg Nikołajewicz Krymow.

— To bardzo ciekawe — powiedział Jermołow, popatrzawszy na rozgorączkowanego i wzburzonego Katuszkina. — Co nowego opowiada?

— Człowiek niezwykle skromny. Oświadczył mi, że w poezji orientuje się kiepsko, jakoś krępuje się... Jednym słowem postępuje tak, jak należy w tym wypadku. Co prawda wyraził zgodę na wzdęcie udziału w naszym najbliższym wieczorze literackim...

— A więc — ucieszył się Jermołow — sprawa stoi dobrze. — Organizację wieczora powierzam wam i towarzyszeni Pietriakowi. Dogadajcie się z Krymowem, ułóżcie plan, a my go szybciotko przedyskutujemy.

— Tylko... — zaniepokoił się Katuszkin — umawiać się z Krymowem będę ja sam. Powtarzam, to człowiek, niebywale skromny, trzeba umieć z nim rozmawiać... Oto tu, w gazecie, zaznaczyłem zakładkami najbar-dziej wyróżniające się jego utwory.

— Dobrze. Przejrzę.

— A zatem pobiegnę odszukać Pietriaka...

— Poczekajcie minutkę — Jermołow wstał z za stołu, podszedł blisko do Katuszkinia i wziął go za rękę. — Muszę pomówić z wami w pewnej sprawie, Walentynie Dmitriewiczu — rozpoczął łagodnie. — To wszystko dobrze. Rozumiem was. Nie każdemu dane jest tak kochać poezję, jak wy ją kochacie. Nie każdy z nas potrafi układać wiersze. Wiecie, że organizacja komsomolska pomaga wam, czym może... Ale powiedzcie mi szczerze, co trzeba uczynić, aby należycie pomóc wam w pracy?

Nastąpiło milczenie.

— W pracy przecież także potrzebny jest zapał — mówił dalej Jermołow. — Potrzebna pasja. Czy zgadzacie się ze mną?

Katuszkin podniósł wzrok na mówiącego,

— Oczywiście... — odpowiedział ledwo dosłyszalnie.

— Niedobrze jakoś ułożyło się wasze życie. Wszystko to rozumiem doskonale. Nie powinniście byli kształcić się na inżyniera. Nie macie do techniki głębokiego, prawdziwego powołania. I teraz wam ciężko. Ciągnie was do literatury. Jakie jest wyjście? O ile wiem, macie dwadzieścia cztery lata. Może jeszcze nie jest za późno... Rozumiecie mnie?

Katuszkin. uściśnął rękę Jermołowa.

- Macie nację. Dużo myślałem o tym...
- Jak przedstawia się sprawa z ostatnimi waszymi wierszami? Będą drukowane?
- Nie, zwrócili rękopis...
- Być może teraz przyjdzie wam z pomocą Krymow?
- Naturalnie — powiedział z przekonaniem Katuszkin wstając z miejsca. — On powinien ma pomóc. Przecież jest znanym poetą.

— Wyobraźcie sobie, Zojo Władimirowna, jeszcze jeden poeta, Katuszkin zachwyca się nim — mówił Trubnin do swej towarzyszki, idąc szeroką, piaszczystą aleją parku otaczającego instytut.

— To bardzo interesujące,— odpowiedziała Sjemionowa,

— Dyrektor skierował go do mego biura konstrukcyjnego. W rozmowie z nim już od pierwszych słów wyjaśniło mi się, że to jagoda z tego samego pola, co i Katuszkin. Obawiam się, że nie ma on skłonności do ścisłego matematycznego myślenia, które winien posiadać każdy prawdziwy inżynier. Usposobienie romantyczne... — zakończył z westchnieniem Piotr Antonowicz.

— Co powiedzieliście dyrektorowi?

Zapytałem, czy nie będę miał zbyt dużo poetów wśród podwładnych. Jeden już jest, a jeszcze drugiego mi przysłano.

— I wy... — Zoja Władimirowna zatrzymała się i z wyrzutem spojrzała na Trubnina. — Wy uznaliście za możliwe powiedzieć to?

— To znaczy... właściwie — ze zmieszaniem wymamrotał Trubnin zdejmując rogowe okulary, co czynił zwykle, kiedy zaczynał się denerwować.

— Przecież doskonale wiecie, że dyrektor nie lubi Katuszkińską właśnie za to, że zachwycając się poezją, traktuje on swoją pracę z niedostateczną uwagą. Dlaczego, nie znając człowieka, przedstawiacie go jako drugiego Katuszkińską?

— Hm... Tak, tak — bąknął Trubnin, z roztargnieniem oglądając się na boki. — Macie słuszość. Rzeczywiście postąpiłem niedobrze...

— Siądźmy — zaproponowała Zoja Władimirowna, wskazując mu ławkę.

— Widzicie więc, na ogół, oczywiście... — zaczął Trubnin, ale od razu zaciął się. Nałożywszy znowu okulary, machinalnie wyjął z bocznej kieszeni swój suwak logarytmiczny i zaczął go uważnie oglądać.

— Piotrze Antonowiczu. Wyjaśnijcie mi, proszę, dlaczego tak nie lubicie sztuki, a w szczególności poezji? — spytała Sjemionowa siadając na ławce.

— Tak, jak wam to powiedzieć... Nie lubię i basta. Przyznaję, że ani razu nie przyszło mi do głowy zastanawiać się nad tym. Chociaż przepraszam..., przepraszam... Zdarzył się w moim życiu taki wypadek... W okresie młodości los zetknął mnie z pewnym człowiekiem. Obaj ubiegaliśmy się o względy jednej dziewczyny. Mój rywal był przedstawicielem świata sztuki: pisał wiersze, dobrze grał na fortepianie, komponował. A dziewczyna, wyobraźcie sobie, była studentką — przyszłym inżynierem. Mój rywal gardził techniką i śmiejąc się mówił: „co za arnatorstwo zajmować się maszynami? Jak wy możecie je lubić. Nie rozumiem“. Ja, oczywiście, sprzeczałem się z nim...

— I któremu z was dziewczyna dała pierwszeństwo?

Trubnin w milczeniu zacisnął wargi.

— Rozumiem — powiedziała Sjemionowa.

Słońce już zachodziło. Sylwety drzew, przez których gęstwinę prze-

dzierały się jaskrawe blaski, wyraźnie rysowały się na tle purpurowego nieba.

— I przyrody nie lubicie? — cicho spytała Zoja Władimirowna.

— I przyrody nie lubię — odparł Trubnin.

— Dlaczego? Może także dziewczyna stanęła na przeszkodzie?...

Inżynier nachmurzył się. Było widoczne, że ostatnia uwaga zadrasnęła go do żywego.

— Sztuki nie można odłączyć od życia — zaczęła Sjemionowa nie patrząc na swego rozmówcę. — Dziwny z was człowiek... Ile piękna dokoła was! Popatrzcie tylko, jak ofiarnie ludzie pracują, jak walczą o przebudowę świata. Wreszcie weźcie technikę, którą tak kochacie, czy nie jest to znakomity materiał do wielkich poematów, zachwycających powieści, barwnych obrazów?

— Technika nie potrzebuje poezji.

— Owszem, potrzebuje. Jestem pewna, że ludzie nie lubiący sztuki i przyrody... Wybaczcie, Piotrze Antonowiczu, — przerwała Sjemionowa sama sobie — trudno mi wyjaśnić swoją myśl... Chciałam, was tylko spytać, dlaczego wy, człowiek gorąco kochający technikę, doskonały specjalista, umiejący na pamięć wszystkie wzory, jakie tylko istnieją, rozumiejący wszystkie maszyny i konstrukcje, dlaczego wy... nie zrobiliście sami jakiegoś wynalazku? Rozumiecie? Nie stworzyliście jakiegokolwiek oryginalnego systemu... Czy myśleliście o tym?

Trubnin natychmiast przygaśł, na twarzy jego pojawił się normalny u niego oschły wyraz.

— Myślałem... — odpowiedział w końcu.

— I do jakiego wniosku doszliście?

— Widzicie... jak wam to wyjaśnić? Wynaleźć cokolwiek — to znaczy zaledwie dać ideę początkową. Ale komu potrzebna idea nie wcielona

w życie? Wynaleźć coś — to znaczy zużyć, jak to przyznał pewien bardzo poważny wynalazca, dziesiątą część jednego procentu tych wysiłków, które są potrzebne, ażeby wynalazek został zrealizowany... Rozumiecie mnie. Jedna dziesiąta część jednego procentu. Cała armia pracujących inżynierów pracuje nad urzeczywistnieniem projektu. Przy tym idea początkowa zazwyczaj ulega takim przeobrażeniom, że już nie można uważać, iż należy do jednego człowieka... Kiedy słyszę, że jakiś inżynier wynalazł maszynę — nie podoba mi się to. A dlaczego nie wspomina się o ludziach, którzy pracowali, być może, w ciągu całego swego życia po to, aby wynalazek otrzymał praktyczne zastosowanie, aby maszyna uzyskała postać znaną nam obecnie?

— Więc to tak... — w zamyśleniu przemówiła Sjemionowa. — W ten sposób chcecie usprawiedliwić siebie?

— Ja wcale się nie usprawiedliwiam — chłodno ciągnął dalej Trubnin. — Ja robię swoje. Udoskonalam maszynę, doprowadzam do najwyższej dokładności ich pracę. Gromadzę i wcielam w matematyczne wzory swoje spostrzeżenia, przeprowadzam prace naukowo-doświadczalne. Na podstawie mojej roboty można budować trwałe i niezbędne maszyny.

W tym momencie w głębi alei ukazał się czarny pies. Zatrzymał się i machając ogonem obserwował siedzących na ławce. Wkrótce spoza zakrętu wyłonił się inżynier Krymow i mechanik Utoczkin.

— Oto — i nasz poeta — rzekł Trubnin. — Zaraz zapoznam was z nim — dodał wstając.

Rozdział piąty

Im bardziej się ściemniało, z tym większą energią Gremiakin chodził po swym gabinecie. Czasami tylko zatrzymywał się przy otwartym oknie, żeby głęboko odetchnąć świeżym wieczornym powietrzem, i znowu zaczynał krążyć z kąta w kąt.

— Stalowe rury... A gdyby tak powiększyć średnicę? Co?... Istotnie, powiększymy średnicę. — Dyrektor spojrział w głąb pokoju, gdzie w półmroku widniał ciemny zarys biurka.

W osiedlu zapalały się jedno po drugim światła. Na horyzoncie migały błyskawice. Gdzieś, daleko, rozlegał się huk grzmotu. Zbliżała się burza.

— Niech nam dostarczą samolotami! I już! — powiedział Gremiakin i szybko zbliżył się do stołu. — To wszystko... Żadnego sprzeciwu być nie może!

Nawet w samotności Konstantin Grigoriewicz nie przestawał się czuć członkiem dużego zespołu. Spierał się w myślach z ludźmi, usiłował ich przekonywać, zapytywał o radę. Godził się z ich zdaniem lub też zaprzeczał ich twierdzeniom. Była to swoista forma procesu twórczego, właściwa wielu ludziom, lecz u Gremiakina dochodząca do ostatecznych granic.

— Takie możliwości... A my? Zapytuję, co my robimy? — i obróciwszy się gwałtownie, dyrektor skierował się ku wyjściu.

Masywne drzwi otworzyły się na oścież i pozostały otwarte. Nina Leontiewna przymknęła je, przysłuchiwała się przez chwilę oddalającym się krokom, a później powoli usiadła przy stole.

Na korytarzu znowu rozległy się czyjeś kroki. Ktoś stąpał ciężko i pewnie. Drzwi się otworzyły i na progu ukazał się niewysoki, szeroki w ramionach człowiek w ukraińskiej koszuli i szerokich spodniach, wypusz-

czonych na mocne buty.

— To — Batia, sekretarz komitetu partyjnego. Prawdziwe jego nazwisko brzmiało Chwyła, co po ukraińsku znaczy fala. Iwan Michajłowicz Chwyła. Ale rzadko go tak nazywano. Przewisko, które otrzymał dawno już od swych towarzyszy-robotników dzięki swemu statecznemu wyglądowi, roztropności i dobroduszości, pozostało przy nim.

— Dobry wieczór. Nino Leontiewna. — Batia podszedł do sekretarki. — Jest u siebie?

— Dobry wieczór, Iwanie Michajłowiczu. Dopiero co wyszedł. Batia odwrócił się powoli i skierował się ku drzwiom.

— Wypadnie przyjść później. Wszystkiego najlepszego.

Tymczasem dyrektor kroczył przez olbrzymią halę, skąpo oświetloną kontrolnymi lampkami. Uważnie oglądał skomplikowane mechanizmy, ustawione w sali. Niektóre z nich tonęły w półmroku, zaledwie rysowały się ich kontury, inne były dobrze oświetlone.

Wolnym krokiem przesuwiał się dyrektor od jednej maszyny do drugiej. To potężne maszyny wiertnicze najrozmaitszej konstrukcji stoją na montażowych standach.

Oto błyszczący, stalowy cylinder otoczony systemem kół zębatych — to świder teleskopowy. Kiedyś pokładano w nim wielkie nadzieje, jednakże mechanizm ten zawiódł, toteż od dawna zaniechano z nim prób.

A oto elektroświder. Gdy pracuje — rury idące do ziemi nie obracają się. Na końcu nieruchomej sztaby metalowej — opancerzony motorek elektryczny, długi i cienki jak rura, głęboko pod ziemią uruchamia rylce, które rozdrabniają ziemię na drobny pył.

Świder pneumatyczny. Świder hydrauliczny. Cała kolekcja świderów znajdowała się na sali.

Najwięcej — świderów hydraulicznych. Od dawna już wykazały się do-

skonałą sprawnością. Woda wtłaczana pod ciśnieniem z powierzchni ziemi nie tylko uruchamia małą turbinę, lecz także żłobi kruszce. Równocześnie zaś stale przepłukuje przebity otwór i nie pozwala na zamulanie go ziemią.

Burza wzmagą się. Grzmoty rozlegały się zupełnie blisko. W wielkie, kwadratowe okna, oświetlane co chwila fioletoworóżowymi błyskawicami, poczynął bębnić deszcz.

Przy jednej z maszyn dyrektor zatrzymał się wyjątkowo długo. Oglądał ją uważnie, ze wszystkich stron, ze specjalnym upodobaniem.

Wklęśła muszla, zaopatrzona w szereg błyszczących stalowych rylców, wyróżniała się swymi rozmiarami wśród pozostałych części składowych maszyny.

Jest to szybkobieżny świder kopalniany. Jego przeznaczeniem jest wierceć ziemię tak, aby od razu dało się uzyskać szeroki otwór, przypominający wylot kopalni.

Świdry kopalniane znane są już od dawna. Zakład konstrukcyjny ma tylko ulepszyć istniejącą maszynę, stosując najnowsze zdobycze nauki i techniki.

— Wspaniale... — dyrektor spogląda na nową, niedawno przyśrubowaną część.

Doskonale zna konstrukcję tej maszyny budowanej pod kierunkiem inżyniera Trubnina. Widywał też część, która przyciągnęła jego uwagę, nie jest jednak w stanie powstrzymać się, aby raz jeszcze nie nacieszyć nią wzroku.

Właśnie przed paroma godzinami Gremiakin otrzymał polecenie, by przyspieszyć montaż szybkobieżnego świdra kopalnianego. Wykonanie tego zadania wymaga mobilizacji wszystkich sił. Oto dlaczego dyrektor obchodzi warsztaty, ogląda mechanizmy i wyposażenia techniczne,

rozplanowuje na terenie przyszłe przesunięcia ludzi

— Trubnin nie zawiedzie — mówi półgłosem. — Ale Krymow? Nowy pracownik... Czy można mu zaufać? Odcinek pracy wyjątkowo odpowiedzialny.

Konstantin Grigoriewicz opuszcza montownię. Wstępuje po schodach na drugie piętro i idzie długim korytarzem. Obok niego przesuują się szeregi drzwi. Tu mieszczą się laboratoria.

Mógłby wstąpić do każdego z nich. Nie potrzebuje wołać dozorczy, aby otworzył mu te lub inne drzwi. W kieszeni dyrektora leży „uniwersalny” klucz, pasujący do wszystkich drzwi instytutu: wmontowano w nie specjalne zamki.

Przed drzwiami z napisem: „Laboratorium rozpoznania elektrycznych” Gremiakin zatrzymał się. Dźwięk otwieranego zamka rozlega się na korytarzu.

Pod sufitem zapłonął łańcuch matowych kul, napełniając obszerny pokój łagodnym, rozproszonym światłem. Dyrektor powoli przesuwa się od stołu do stołu.

— Gdzie się mógł podziać? — mówi ze zdumieniem — jeszcze wczoraj był tu.

Ponownie ogląda wszystkie stoły, nie może jednak odnaleźć tego, co mu jest potrzebne. Oto aparatura do badania warstw gleby za pomocą odbijających się od nich fal dźwiękowych. To przyrząd do rozpoznania elektro-akustycznych... A oto przyrząd magnetyczny pozwalający na prowadzenie badań z samolotu schodzącego lotem koszącym ku ziemi... Oto precyzyjne przyrządy grawitacyjne, za pomocą których można ustalić najłżejsze odchylenia w sile przyciągania ziemi. Wykrywają miejsca położenia głęboko ukrytych pod powierzchnią ziemi ciężkich rud metali. Oto aparat akustyczny do wysłuchiwania podziemnych szmerów.

Jego wyczulone „uszy” — geofony, wkopane do ziemi, są w stanie uchwycić szum głęboko płynącej rzeki podziemnej lub gotowanie się maguny w pobliżu ognisk wulkanicznych.

— A to tak — pada cicha uwaga z ust dyrektora, gdy ogarnia spojrzeniem części rozrzucone po stole. — Rozmontowali. Dlaczego? Będę musiał jutro wezwać Cesarskiego.

Długo wpatrywał się w stół, na którym jeszcze wczoraj stała makieta aparatu do podziemnego ultradźwiękowego odbioru.

Przyrząd ten konstruuje jeden z najwybitniejszych specjalistów w dziedzinie dźwiękowych aparatów odbiorczych, inżynier Cesarski. Pracuje nad nim od bardzo dawna. Dopiero jednak wczoraj otrzymano pierwsze, wiele obiecujące rezultaty.

Pomysł nowego przyrządu jest niezwykle prosty. Od dawna już istnieje radiolokalizacja, pozwalająca za pomocą odbijania fal radiowych obserwować na specjalnym ekranie posuwanie się oddalanych przedmiotów. Radiolokalizator uprzedza o zbliżaniu się samolotów. Na ekranie ostatniego modelu radiolokalizatora, ustawionego na statku, rysuje się sylwetka okrętu nie dającego się zaobserwować z powodu mgły lub dużej odległości. I oto konstruktorzy aparatu do badania wnętrza ziemi postanowili zastosować radiolokalizację w swym zawodzie. Jakżeż do tego dojść? Przecież ultrakrótkie fale stosowane przy zwykłym radarze nie mogą rozchodzić się w pokładach ziemi. Część ich od razu odbija się od górnej warstwy ziemi, a pozostałe pochłonięte zostaną bez śladu.

Lecz w naturze istnieją inne fale, które łatwo rozchodzą się w ziemi, a zwłaszcza w twardych pokładach, kamieniach lub rudach. To fale ultradźwiękowe, których źródłem są dźwięki tak wysokie, że nie chwytają ich ucho ludzkie. Doświadczenia wykazały, że fale te można wykorzystać przy podziemnej lokalizacji.

Potężna wiązka ultradźwiękowych fal przebija pokład ziemi. Spotykając po drodze pokłady o odmiennej ścisłości fale odbijają się od nich w różnym stopniu — większym lub mniejszym. Odbite fale, podobnie jak echo, powrócą do aparatu i na telewizyjnym ekranie można będzie zaobserwować obraz podziemnego świata.

Długo jeszcze przemierzał dyrektor puste sale instytutu. Przypominał wodza, który w nocy ogląda rozmieszczenie pozycji i śpiących żołnierzy. Jutro wódz ukaże się wśród swych wojsk, a dziś błąka się pod osłoną nocy, oddając się rozmyślaniom i tworzy plany swych przyszłych sławnych czynów.

Ostatnim miejscem, do którego wstąpił dyrektor, było biuro konstrukcyjne inżyniera Trubnina. Ostrożnie schylał się nad deskami kreślarskimi. Czasem brał do ręki ołówek i robił drobne uwagi na grubym arkuszu, przypiętym pineskami. Te notatki, zawsze bardzo treściwe, często zdumiewające konstruktorów, którzy nie od razu orientują się, przez kogo zostały zrobione.

Przy jednym ze stołów dyrektor zatrzymał się dłużej, przysiadł na krzeselku i ujął arkusz papieru, który wpadł mu w ręce wśród rysunków kreślarskich. Na początku widział duży, wykaligrafowany tytuł, nie mający nic wspólnego z techniką badań geologicznych: „W blasku zorzy północnej” (Poemat).

Dyrektor nie zwrócił uwagi na nazwisko autora. Przeczytał tylko tytuł i kilka pierwszych wierszy.

— Co to ma znaczyć? W godzinach pracy. Trubnin miał racje... Oburzające — powiedział Gremiakin gniewnie i odłożył arkusik na miejsce. Powracał do siebie szybkim krokiem.

— Jakich ludzi nam przysyłają? Skandal... — mruzczał idąc.

Na schodach spotkał wstępującego na górę dyżurnego dozorcę

Panfierycza.

— Czy coś nie w porządku z ochroną przeciwpożarową — zapytał dozorca mijającego go dyrektora.

— Jaką znowu przeciwpożarową? Kto ci to powiedział? — burknął dyrektor zatrzymując się przed Panfieryczem.

— Może coś pomóc, Konstantinie Grigoriewiczu?

— Dziękuję. Panfierycz, *twoja pomoc* tu nie jest potrzebna powiedział Gremiakin i ruszył dalej.

Niebawem ukazał się w lokalu komitetu partyjnego.

— Skandal... — było jego pierwszym słowem. — Zabaweczkami się u nas zajmują...

— Przymknij najpierw, bracie, drzwi — spokojnie powiedział Batia wstając z krzesła. — Któż to, powiadasz, tak się zabawia?...

Rozdział szósty

— Przypominam wam, Olegu Nikołajewiczu, że wieczór literacki zaczyna się dziś o siódmej trzydzieści. Obiecaliście nam swój udział... — zwrócił się Katuszkin do Krymowa, widząc, że ten zabiera się do wyjścia.

— Dobrze, przyjdę. Wydaje mi się, że wspominiacie o tym po raz trzeci — odpowiedział z roztargnieniem inżynier.

Po wyjściu z budynku Oleg Nikołajewicz skierował się do sąsiedniego gmachu instytutu.

Padał gęsty deszcz. Wiał zimny, porywisty wiatr. Pogoda ta wzmagiała uczucie niezadowolenia, które opanowało Krymowa po dopiero co odby-

tej rozmowie z inżynierem Trubninem.

Oschłość Trubnina i jego negatywny stosunek do projektu nowej maszyny geologicznej pozostawiły w duszy Krymowa przykry osad. Trubnin nie wierzył w możliwość stworzenia nowej maszyny. Projekt Krymowa wydawał mu się zbyt śmiały, prawie fantastyczny. Swą nieufność uzasadniał szeregiem dowodów matematycznych, co prawda zdecydowanie wątpliwych i niezwykle skomplikowanych. Jednakże nie dowodzenia matematyczne peszyły Krymowa. Zdołałby przeciwstawić im swoje własne, równie skomplikowane, lecz zupełnie przekonywające. Najbardziej obraźliwy był niezmiernie nieufny stosunek Trubnina do pomysłów technicznych, odbiegających od ogólnie stosowanych założeń.

Trubnin uważany był za niedościgniętego specjalistę w dziedzinie ulepszeń wszystkich znanych w technice mechanizmów geologicznych. Maszyny, które wychodziły z jego warsztatu konstrukcyjnego, odznaczały się zwykle wielką wytrzymałością i doskonale znosiły próby w najmniej sprzyjających warunkach. Lecz koncepcje nie potwierdzone przez praktykę z reguły spotkały się ze strony Trubnina z nieufnością.

— Wszak i w technice powinniśmy szukać nowych, jeszcze przez nikogo nie zbadanych dróg — mówił Krymow do swego szefa.

— A no powinniśmy.

— Czemu więc odnosicie się do nich z taką obojętnością? Określacie je jako „fantazje”?

Przede wszystkim nie ma mowy o „obojętności” — odpowiedział Trubnin. — To się wam tylko wydaje... Po prostu nie jestem przekonany, że wasz projekt można będzie zrealizować. Nie mogę się interesować wszystkim na raz. Dobrze pracują tylko ludzie, którzy się nie rozpraszają, lecz całkowicie i bez reszty oddają swe siły jednej sprawie. Wy zaś, o ile mi wiadomo, nie stawiacie za cel swego życia urzeczywistnienia tego wasze-

go projektu.

— Nie rozumiem... Skąd wam o tym wiadomo?

— Natury podobne do waszej, mające skłonność do poetyckich uniesień, łatwo zapalają się do różnych idei i — wybaczcie mi — nie zawsze potrafią doprowadzić swe zamierzenia do końca...

Pomimo że Trubnin, który, jak się zdawało, zrozumiał, że obraża tym posądzeniem młodego inżyniera, zaczął potem mówić łagodniej, Krymow wyszedł nieco zdenerwowany.

Był tak pochłonięty swymi rozmyślaniami, że nie zauważył nawet niewielkiej grupki ludzi, którzy pomimo deszczu zebrali się przed plakatem nalepionym na ścianie. Ludzie stojący przy plakacie, wśród których był i mechanik Gorszkow, odprowadzili Krymowa spojrzeniami pełnymi ukrytej ciekawości.

— To właśnie on — oświadczył Gorszkow. — Poznałem go osobiście.

— Taki jakiś zarozumiały, aż się odwrócił, gdy nas mijał — zauważył potężny, wysoki mężczyzna stojący obok niego.

— Dziwnie podchodzicie do tego... — odburknął Gorszkow. — Być może pochłonięty był jakimiś poważnymi rozmyślaniami, co mu tam do nas...

Na nowych ludziach zręczny ton, jakim często odzywał się Gorszkow, sprawiał niekiedy nieprzyjemne wrażenie. Jednakże jego współpracownicy, którzy znali go od wielu lat, wiedzieli, że jest człowiekiem delikatnym i wrażliwym na cudze zmartwienia. Gderać zaś lubił z obawy, aby nie posądzono go, że jest ciapą.

— Warto by urządzić wieczór poświęcony astronomii — ciągnął tymczasem Gorszkow. — Dlaczego to w tym roku nie było ani jednego takiego wieczoru? To nie w porządku...

Jednakże propozycja mechanika nie znalazła poparcia u jego rozmów-

ców i jeszcze bardziej nachmurzony Gorszkow znów zaczął oglądać afisz.

Na plakacie widniało następujące ogłoszenie.

„Dziś w świetlicy geologiczno-badawczego instytutu odbędzie się wieczór literacki.

Poeta Oleg Krymow czytać będzie swoje poezje.

Ponadto wystąpią ze swymi nowymi utworami miejscowi poeci: A. Galunowski, N. Katuszkin, G. Pietriak i K. Tomlin.

Po występach dyskusja, w której udział weźmie Oleg Krymow.

Początek o godz. 19 min. 30“.

A tymczasem Oleg Nikolajewicz wszedł po schodach na piętro i przemierzwszy długi korytarz, znalazł się przed drzwiami, na których widniał napis:

ELEKTROBADAWCZA PRACOWNIA KONSTRUKTORÓW.

Miał się tu spotkać z inżynierem Cesarskim, któremu dyrektor, podobnie jak Trubninowi, zlecił, aby zapoznał się z projektem młodego wynalazcy. Krymow otworzył drzwi.

— Zdumiewające — dobiegł do jego uszu dźwięczny tenor rozlegający się właśnie w sali. — Zadziwiająco dobre. To dopiero dźwignia. Co to dużo mówić, wspanialeście to obliczyli. Odrobinę trzeba by tylko zaokrąglić... Ledwo — ledwo, o tu, w tym miejscu. Pawle Iwanowiczu, no — Pawle Iwanowiczu. Chodźcie tu, moi drodzy. Spójrzcie.

Paweł Iwanowicz Czibisow, siwy, długonogi konstruktor, unosi się ze swego miejsca i powoli zbliża się do niewielkiego ruchliwego człowieka o różowej, prawie okrągłej twarzy. To szef pracowni konstrukcyjnej, Modest Nikandrowicz Cesarski.

— Tu trzeba zaznaczyć dojścia — powiedział Cesarski robiąc jakieś uwagi na arkuszu kreślarskim.

Pozostawił konstruktorów samym sobie, by omówili dokładniej

sprawę dojsć i pomknął na przeciwległy koniec sali.

— No, jak tam wasze sprawy, moi drodzy? Pozwólcie spojrzeć... Ależ burza. A deszcz. Naprawdę wspaniały deszcz.

Nowy rozmówca Cesarskiego obrócił głowę w kierunku szerokiego okna i kątem oka spojrzął na potok, który spływał ze zmeńniałych szyb.

— Taka właśnie była pogoda, gdy dokonywaliśmy prób z aparatem „CS — 37“ w obecności ministra — powiedział szef pracowni z lekka ściszejając głos.

Aparat ten, mający służyć do wykrywania ukrytych pęknięć i raka w szynach kolejowych, wynaleziony został przez inżyniera Cesarskiego i swego czasu otrzymał bardzo pochlebną ocenę.

— Powiem wam — ciągnął Modest Nikandrowicz — że podziemny radiolokalizator otrzyma nie gorszą ocenę niż przyrząd „CS-37“. Pomyślcie tylko.

Cesarski przysunął do siebie kilka wielkich rulonów z wykresami i ostrożnie je rozwinął.

Burza wzmagala się. W obszernej sali pracowni stawało się coraz ciemniej. Co chwila rozlegały się potężne grzmoty, od których drżały szyby w oknach.

— A no... — rozpoczął znów Cesarski, uważnie przeglądając wykresy. — Weźmy choćby ten węzeł. Czyż są jakieś wątpliwości. Zapewniam, że nie ma żadnych! System przekazników jest sprawdzony. Ta część również... O-o! Macie już gotowe szczegółowe rysunki kadłuba. Chwileczkę, Chwileczkę!... Czy ta rama nie jest za wąska?

Na twarzy Modesta Nikandrowicza ukazało się kilka drobnych zmarszczek. Zatroškany spoglądał na rysunek, poruszając bezdźwięcznie wargami. Trwało to jednak zaledwie kilka sekund. Uśmiech znowu powrócił na jego twarz.

— Ach, wybaczcie — wykrzyknął. — Nie zwróciłem uwagi na odnośnik. No, tak! oczywiście wszystko w porządku! Bardzo was przepraszam.

Do rozmawiających zbliżył się mechanik Utoczkin.

— Jak to dobrze, żeście przyszli, Kostia! Właśnie chciałem po was posłać. Widzę, żeście już zmontowali tę część, którą poleciłem wam przygotować. Chyba się nie mylę.

— Jeszcze nie gotowa, Modeście Nikandrowiczu. Postaram się wykonać wasze polecenie za jakieś dwie godziny. Chciałem tylko was powiadomić, że czeka inżynier Krymow.

— Krymow?

— A no tak! Nowy inżynier.

— Aha! W sprawie tego niezwykłego projektu... Tak, tak zupełnie słusznie!

Cesarski przeprosił konstruktora, z którym przed chwilą rozmawiał, i skierował się do wyjścia.

— Bardzo się cieszę, że was poznaję! Proszę bardzo... proszę — powiedział do Krymowa, zapraszając go do swego gabinetu. — Proszę, abyście się czuli jak u siebie. Od dawna na was czekam! Proszę siadać...

Cesarski zaczął się kręcić po pokoju, przerzucając teczki z projektami i planami.

— Oto wasz projekt...

— Modeście Nikandrowiczu, pozwólcie mi wytłumaczyć szczegółowo...

— rozpoczął Krymow przysuwając się z fotelem do biurka.

— Oczywiście, oczywiście, Olegu Nikołajewiczu! Cały zamieniam się w słuch! To przecież takie interesujące! Wezmę tylko arkusz czystego papieru.

Cesarski sięgnął do kieszeni marynarki po wieczne pióro i z lekka się

zmarszczył.

— Bieda z tymi piórami. Prawdziwe nieszczęście! Otrzymałem niedawno w prezencie znakomite wieczne pióro naszej rodzimej produkcji. I proszę sobie wyobrazić — zgubiłem! A takie wspaniałe było pióro! Po prostu zadziwiające! No i znowu muszę pisać starym... A więc, słucham...

Po rozmowie z Trubninem towarzystwo Cesarskiego było dla Krymowa niezwykle przyjemne. Człowiek ten miał w sobie tyle czaru, że od razu Olegowi Nikołajewiczowi stało się lżej na duszy. Pomyślał sobie, że gdyby nawet Cesarski uznał jego projekt za bezwartościowy, nie sprawiłby mu tym takiej dotkliwej przykrości, jak Trubnin.

Lecz Cesarski wcale nie zdyskwalifikował projektu. Zachwycił się nim. Podziwiał jego niezwykłość. Modesta Nikandrowicza peszyło tylko jedno.

— Zadziwiające! — mówił — zadziwiające, że podobnych maszyn nie budują za granicą. Oczywiście — robiono usiłowania w tym kierunku, o ile wiem. Skończyły się one jednak niepowodzeniem. Zresztą, to nie ma znaczenia. Moja pomoc będzie polegała na tym, by zaopatrzyć waszą przyszlą maszynę w podziemny radar. Czy dobrze rozumiem?

Modest Nikandrowicz to schodził na uboczne tematy, to znów powracał do projektu.

Czas płynął szybko. Grzmoty oddalały się coraz bardziej.

— Lało wówczas jak z cebra... — opowiadał Cesarski bawiąc się wiecznym piórem. — Żebyście się tylko nie przeiębili — mówię do ministra. A on, proszę sobie wyobrazić, nie zwraca na to wcale uwagi. Wsiada z samochodu i idzie wprost na miejsce próby mego przyrządu, ku torom kolejowym.

Krymow wysłuchał opowiadania o wydarzeniu, które wślawiło imię inżyniera, z nieukrywanym zainteresowaniem.

— Będę się zawsze bardzo cieszył, gdy mnie odwiedzicie... Postaram się wam pomóc, jak tylko potrafię... — powiedział Cesarski na pożegnanie, odprowadzając Krymowa do drzwi..

Rozdział siódmy

Krymow opuścił pracownię, konstruktorską inżyniera Cesarskiego i skierował się do dyrektora. Spotkanie to wyznaczone było jeszcze z rana.

W poczekalni podszedł do niego młody człowiek z wijącymi się czarnymi włosami.

— Pozwólcie, że się przedstawię... — rzekł uśmiechając się wesoło. — Nazywam się Pietriak, rachmistrz oddziału produkcji.

— Inżynier Krymow... — Oleg Nikołajewicz wyciągnął doń rękę.

— Jak się wam podoba nasz instytut?

— Bardzo tu u was przyjemnie — odpowiedział Krymow pod wrażeniem swej rozmowy z Cesarskim.

— Mamy tu pierwszorzędnych chłopaków — ciągnął dalej Pietriak — spotkacie tu dużo ludzi, którzy będą wam bardzo potrzebni w przyszłej pracy artystycznej.

— W jakiej pracy? — zdziwił się Krymow.

— Przekonacie się sami. Chcemy was wciągnąć do pracy społecznej w najszerszym tego słowa znaczeniu.

— O ile tylko potrafię, chętnie będę wraz z wami pracował społecznie. Pozwólcie mi, się tylko trochę zadomowić.

— Wśród naszej młodzieży będziecie się cieszyli wielkim autorytetem.

Tacy jak wy są wszędzie pożądanymi gośćmi. Przygotowaliście się do występu? Mówił mi Katuszkin, że wszystko w porządku...

Krymow nawet nie podejrzewał, że mówią dwoma różnymi językami. Nie widział plakatu zapowiadającego wieczór literacki, w czasie którego miał czytać wiersze, i nie podejrzewał nadchodzącej awantury. Oleg Ni-kołajewicz nie interesował się na ogół poezją, nie słyszał nawet o poecie, który nosił to samo co on nazwisko i imię. Toteż przypuszczał, że jest mewa o mającej niebawem nastąpić rozmowie z dyrektorem.

— Właściwie mówiąc będzie to taka wstępna, ogólnikowa rozmowa — odpowiedział w zamyśleniu.

— Nic nie szkodzi — i tak będzie bardzo interesująca. Niewielu lu-dzi orientuje się u nas dobrze w tych oprawach — oświadczył stanow-czym tonem Pietriak.

— Co znowu? A inżynier Cesarski? Dopiero co z nim rozmawiałem. Wreszcie inżynier Trubnin...

Teraz z kolei zdziwienie odmalowało się na twarzy Pietriaka. Po raz pierwszy zdarzyło mu się słyszeć, że Trubnin interesuje się poezją.

— A jak się zapatrujecie na Katuszkina? Będzie co z niego? — znowu zapytał Pietriak. — Mamy z nim po prostu biedę. Chłopak nie lubi swej pracy. Teraz cała nadzieja w was...

— We mnie?

- Pewno. Wszyscy mamy nadzieję, że mu pomożecie...

— Tak... rzeczywiście, Katuszkinowi trzeba dopomóc... — niepewnie powiedział Krymow — trzeba istotnie pomóc i ja mu pomogę — zakończył twardo.

— Ach, to świetnie — wykrzyknął, uradowany Pietriak, mocno ści-skając rękę Krymowa. — Powtórzę mu to. I jeszcze jedno. Mamy tu jeszcze paru chłopaków w rodzaju Katuszkina. Pewno, że dla wszystkich

na razie trudno wam będzie znaleźć czas, ale stopniowo. W ogólnym rozwoju, że tak powiem, trzeba im także pomóc. Rozumiecie mnie?

— W zasadzie rozumiem. Wydaje mi się tylko, że zbyt wiele ode mnie oczekujecie.

Krymow chciał jeszcze coś dodać, ale w tej właśnie chwili Nina Leontiewna wezwała go do dyrektora.

— Pomówimy jeszcze o tym bardziej szczegółowo -- obiecał zegnając się z rachmistrzem.

— Przychodzę do was, Konstantynie Grigoriewiezu, żeby przedstawić wam sprawę jak najszybszego przystąpienia do budowy modelu maszyny według mego projektu — zaczął Krymów witając się z dyrektorem. — Oto szkice. Pierwszy model, sądzę, trzeba zbudować niewielki. — I Oleg Nikolajewicz rozłożył na biurku swoje rysunki,

Dyrektor przysunął je szybkim ruchem do siebie i zaczął uważnie przeglądać.

— Powiedzcie mi, proszę... czy istotnie macie zamiar poważnie zająć się tą sprawą, czy to tylko słomiany ogień? — zapytał niespodzianie, akcentując słowa „słomiany ogień”.

— Jak najbardziej poważnie.

— Hm... m...

Zapadła cisza.

— Rzecz w tym... — ciągnął Gremiak. — Pomysł takiej maszyny jest naprawdę niezwykły. Nie chcę przez to powiedzieć, że w tym nowym zupełnie pomysle tkwi jakieś zupełnie nierealne założenie. O nie. Jestem przekonany, że potrafilibyśmy urzeczywistnić niejednego, pomysł, który dziś wydaje się najbardziej fantastyczny. Nie o to chodzi. Decyduje człowiek, który podejmuje się zrealizować projekt, o ile, rozumie się, potrafi walczyć, pokonywać tysiące przeszkód. Czy czujecie się do tego zdolni?

— Oczywiście...

— Wcale nie jestem tego pewny... Do zrealizowania zaprojektowanej przez was maszyny potrzebna jest żelazna wola i... zdecydowane dążenie do jednego tylko celu. Rozumiecie mnie? Tylko jednego... Trzeba się poświęcić bez reszty tylko tej sprawie, być może w ciągu roku lub nawet kilku lat... Wy zaś... tak mi się przynajmniej wydaje, macie prócz tego jeszcze równoległe zainteresowania, którym oddajecie się z zamiłowaniem...

— Naprawdę nie rozumiem... — zaczął Krymow.

— Chwileczkę. Zaraz zrozumiecie. W naszym instytucie opracowuje się projekty wielu maszyn. Wszystkie one jak powietrze potrzebne są krajowi. Zanim zabierzemy się do projektu jeszcze jednej maszyny, zanim wprowadzimy ją, że tak powiem, do planu produkcyjnego, za wykonanie którego odpowiadamy tu wszyscy, muszę rozważyć wszystkie okoliczności. Muszę się zastanowić, komu powierzyć realizację projektu.

Dyrektor spojrzał na Krymowa. Spostrzegł, że siedzący przed nim inżynier słuchał go z na pół otwartymi ze zdumienia ustami.

— Nie mówię, że waszego projektu nie będziemy realizowali. Zbudujemy model maszyny nie oglądając się na jej niezwykły charakter i **wątpliwe** jeszcze założenia. Ale, niestety, na razie musimy odłożyć **szczegółowe** opracowanie projektu.

Krymow powoli uniósł się ze swego krzesła.

— Poczekajcie, poczekajcie... Nie ma powodu do obrazy instytucji jest przeładowany pracą. Dopiero co otrzymałem telegraficzne polecenie ze stolicy, aby przyspieszyć pracę nad ukończeniem szybkościowego wiertła szybowego.

— Dla wypełnienia tego zadania będę musiał wstrzymać niektóre inne prace, aby móc przerzucić ludzi i zwolnić sprzęt techniczny. Rozu-

miecie teraz, jaka wytworzyła się sytuacja.

Równie powoli jak wstał, Krymow **znowu** opadł na krzesło. To, co usłyszał, było dlań całkowitą niespodzianką.

— Masz tobie. Od razu spuszczaście nos na kwintę. Jakże będziecie umieli walczyć o wcielenie w życie waszego projektu, jeżeli tak od razu upadacie na duchu — znacznie łagodniej powiedział dyrektor. — Skończymy pracę nad świdrem kopalnianym i zabierzemy się do waszego wynalazku. Ludzi nam brak. Strasznie mało mamy ludzi... — zakończył Gremiakin.

Krymow bez słowa zaczął zbierać ze stołu swoje rysunki. Ręce drżały mu z lekka, a rozrzucone papiery, jak na złość, nie chciały zmieścić się w teczce.

— Nie wpadajcie w rozpacz, proszę — raz jeszcze próbował *go* pocieszyć dyrektor. — Widocznie wy — poeci — wszyscy jesteście tacy niecierpliwi. To nie to samo, Olegu Nikołajewiczu, co napisać poemat. Ten, kto poświęca się pracy technicznej, musi być systematyczny i wytrwały. Nawiasem mówiąc... Chciałem was zapytać, czy uważacie za właściwe pisanie wierszy w godzinach pracy?...

Krymow obrzucił dyrektora pełnym zdumienia spojrzeniem.

— Wierszy?... Doprawdy nie rozumiem — -wymówił z trudem, lękając ślinę.

— Widziałem na waszym stole kreślarskim rękopis wierszy.

— To nie moje... — speszył się Oleg Nikołajewicz.

— A czyjeż?

Krymow milczał. Przypomniał sobie o wierszach, które znalazł dzisiaj wśród rysunków na stole kreślarskim, pomyślał jednak, że nie przystoi mu zdradzać Katuszki.

— Tak, Olegu Nikołajewiczu. Pomiędzy sztuką a techniką jest pewna

różnica. Wspólną cechą jest tylko zdecydowane dążenie do celu. Nie upadajcie na duchu i nie gniewajcie się! — krzyknął dyrektor za Krymowem, który znalazł się już przy drzwiach.

„Niech diabli wezmą Katuszkiną! — myślał wynalazca. — Wszystko to stało się przez jego idiotyczne wiersze”,

Zdenerwowany rozmową z dyrektorem, nie zauważył nawet wchodzącego do gabinetu Bati i minął go nie odpowiedziawszy na jego pozdrowienie.

— Za coś go tak zbeształ? — zapytał zafrasowany Batia sadowiąc się na fotelu,

— Zdaje się, trochę tego... przesadziłem... — odpowiedział nieco speszony Gremiakin.

— Niepotrzebnie. Dziś właśnie ma recytować w świetlicy swoje utwory.

— Tak... **rzeczywiście**, zdaje się. niepotrzebnie... Lecz z drugiej strony, z **jakiej** racji pisze wiersze w godzinach pracy!

*

*

*

Katuszkin, wymachując rękami, miotał się po estradzie świetlicy.

Ostatnie przygotowania były już na ukończeniu.

Ustawiono i pokryto czerwonym suknem długi stół, na ścianie zawieszono duży portret Puszkina.

— Czemu nie ma jeszcze karafki z wodą? — denerwuje się konstruktor. — Wasia! — krzyczy na cały głos i pędzi po schodach na dół do garderoby.

Tymczasem na sali słychać głosy zbierających się widzów.

Żadnego zagajenia nie potrzeba — odezwał się ktoś z przybyłych

— Ale jak to! — Koniecznie trzeba coś powiedzieć!

— Wcale nie koniecznie...

— Gdzie Wasia?! Ja tak doprawdy nie mogę, towarzysze! Gdzie on się podział? — słychać głos Katuszkin, który jak wicher wpadł na estradę.

— Daj spokój z tym twoim Wasią! Powiedz lepiej, dlaczego nie ma dotychczas Krymowa?

— Rzeczywiście jest bardzo późno — zauważył Jermołow spoglądając na zegarek. — Towarzyszu Katuszkin! Dlaczego nie ma Olega Nikołajowi cza? Może wypadłoby, by ktoś po niego poszedł. Bądź co bądź ma tu być po raz pierwszy...

— Poszli już dawno. Cała delegacja...

Wkrótce zaniepokojenie organizatorów wieczoru wzrosło do najwyższego stopnia. Wysłani po Krymowa delegaci powrócili oświadczając, że go nigdzie nie mogli znaleźć.

— Powiedzcie mi wreszcie poważnie — zwrócił się do Katuszkin Jermołow, zaniepokojony nieobecnością Krymowa — czyście porozumieli się z nim dokładnie. Czy zgodził się na występ?

— Trzy razy przypominałem mu o dzisiejszym wieczorze! Chociaż... muszę się przyznać... — powiedział konstruktor speszony — że wyraźną zgodę dał mi tylko na swój udział w dyskusji. Licząc się z jego skromnością, zadowolilem się tym. Sądziłem, że zebrani potrafią go uprosić, aby zechciał recytować swoje wiersze.

Przed półtorej godziną rozmawiałem z nim w poczekalni dyrektora — wtrącił się do rozmowy Pietriak. — Pytałem, czy się przygotował do występu. Co prawda uprzedził mnie, że to będzie „rozmowa o charakterze ogólnym”, lecz w każdym razie nie wspominał o tym, że w ogóle może nie przyjść.

— Ech, wy! Or-ga-ni-za-to-rzy — przeciągle powiedział Jermołow. Nie porozumieliście się, jak należy, pokręciliście... To — nieodpowiedział-

ne postępowanie, towarzysze... Wstyd mi za was.

Tymczasem zgiełk na sali wzrastał. Ciężka kurtyna chwiała się niecierpliwie. Jakby pod naciskiem fali zdenerwowanych głosów.

Krymow opuścił gabinet dyrektora z uczuciem krzywdy.

„Jesteśmy zmuszeni odłożyć opracowanie projektu” — słowa dyrektora wciąż brzmiały mu w uszach.

Oleg Nikołajewicz szedł przez korytarz, ściskając kurczowo w rękach teczkę. Dokuczliwie głośno brzmiał dlań dźwięk własnych kroków, odbijających się od malowanych olejno ścian korytarza. Co się z wami dzieje? Opamiętajcie się wreszcie!

Krymow zatrzymał się. Zoja Władimirowna przytrzymała go za rękę.

— Nic nie rozumiem... Musiałam dosłownie pędzić za wami! Nie jesteście chyba tak roztrzępani... Co was tak zdenerwowało?

— Nie, nie... To nic — mruknął Krymow usiłując wyswobodzić swą rękę. — Rzeczywiście bywam nieraz roztargniony...

— Zapewne myśleliście się o czekającym was występie?

— Jakim występie? Proszę mi wybaczyć... bardzo się spieszę.

— Nic nie rozumiem. To bardzo dziwne... — Sjemionowa ze zdumieniem patrzyła na szybko oddalającego się inżyniera.

Chwilę stała nieruchomo, **wreszcie powziąwszy** zapewne jakieś **postanowienie** ruszyła za nim.

Krymow skierował się w stronę parku. Deszcz przestał już padać.

Promienie wieczornego słońca przedzierały się przez resztki chmur pędzonych przez wiatr. Niebawem zielone gałęzie, błyszczące **jeszcze** od wilgoci, otoczyły Krymowa ze wszystkich stron. Odszukał ławkę stojącą w głębi parku i usiadł skłaniając w zamyśleniu głowę nad **teczką** z rysunkami.

Myśli kłębiły mu się w głowie,

Oleg Nikołajewicz przypomniał sobie inżyniera Katuszkiną i jego uporczywe nalegania, aby przeczytał mu „swoje wiersze”. Na temat poezji mówił nie wiadomo dlaczego i Trubnin, człowiek, który był obojętny w stosunku do sztuki. I wreszcie dyrektor... Wszystko to było dlań dziwne i niezrozumiałe.

Krymow siedział długo, roztrząsając w myślach wszystkie możliwe rozwiązania tej zagadki. Słońce chyliło się ku zachodowi, na piaszczystej alei kładły się cienie drzew.

Stopniowo poczucie krzywdy zaczęło zanikać, a na jego miejsce szybko jak burza rodziło się w głębi duszy inne uczucie.

— Trzeba walczyć... — myślał Krymow. — Ubiegać się o realizację projektu — to mój obowiązek. Obowiązek społeczny. Nie mam się czego dąsać.

Uniósł głowę, uśmiechnął się i nagle odczuł wielką ulgę.

Wydało mu się nagle, że tuż obok niego poruszyły się gałęzie.

Istotnie nie mylił się, Spoza krzaków ukazała się Sjemionowa.

— Bardzo proszę mi wybaczyć — rzekła zbliżając się do ławki. — To niezbyt pięknie podpatrywać kogoś, ale zachowywaliście się tak dziwnie... Po prostu obawiałam się zostawić was samego.

Ukazanie się Sjemionowej uradowało Krymowa.

— Siadajcie, Zojo Władimirowna. Bardzo się cieszę, żeście tu przyszli. Zdaje się, że zachowywałem się rzeczywiście...

Krymow nie dokończył rozpoczętego zdania i zamilkł, jakby nie wiedział, co ma dalej mówić.

— Coś jest z wami nie w porządku. Gdybym mogła liczyć na waszą szczerłość, to zapewniam was... — zaczęła Sjemionowa i również nie dokończyła rozpoczętego zdania.

Przez chwilę oboje milczeli.

— Powiedzcie — przerwała wreszcie milczenie Zoja Władimirowna.
— Czy wy bardzo kochacie poezję?

— Doprawdy, nic nie rozumiem — mruknął Krymow. — Jakbyście się wszyscy zmówili, czy co? Dlaczego każdego tu interesuje poezja, sztuka?... Czego wreszcie chcecie ode mnie? Najbardziej na świecie kocham technikę. Zrozumcie — technikę. Technika — to dla ranie sztuka, to dla mnie poezja... Kocham ją całą moją istotą, romantycznie, głęboko...

Sjemionowa ze zdumieniem spojrzała na mówiącego, usiłując coś powiedzieć, lecz Krymow nie dał jej dojść do słowa.

— Moje wspomnienia z lat dziecięcych związane są właśnie z techniką — mówił inżynier w podnieceniu. — Oto idę z moją matką ulicami miasta. Przejeżdża samochód — w owe czasy była to rzadkość... Ogarnia mnie podniecenie. Nie jestem w stanie oderwać od niego oczu. A co dopiero, gdy nagle zatrzymał się obok nas uszkodzony motocykl. Mowy nie było, żebym się dał odciągnąć od niego. Stałem, oglądałem go ze wszystkich stron, obserwowałem każdy ruch człowieka, który go naprawiał... Pamiętam mego wuja inżyniera. Co to było dla **mnie** za święto, gdy nas odwiedzał. Wujek wydawał mi się **niezwykłym** człowiekiem: matka powiedziała mi, że buduje, maszyny... Wujek porusza ręką, **imitując** ruchy wału silnika korbowego. Usiłuje wytłumaczyć **mi** zasady pracy maszyny. Jego pięść opisuje koło, a ja widzę, jak **wujek obraca** ręką niewidzialną korbę. Serce mi bije. Wspaniała maszyna z tysiąca **drobniutkich** części, wyrysowanych przez moją -wyobraźnię, staje się **dotykalna**, rzeczywista... W nocy nie mogę usnąć. Do rana z mego małego, trzykołowego roweru **powinien powstać** samochód. Wydawało mi się, że koła roweru będą się kręciły bez **przerwy**, gdy do pedałów **przywiążę** sprężyny od materaca. Jedna — kurcząc się pociągnie pedał i rozciągnie drugą przywiązaną do drugiego pedału. Tak jedna **będzie** ciągnąć drugą,

obracając przy tym koła. Widziałem już siebie na tym **rowerze-samocho-** dzie, który pędzi asfaltowym chodnikiem ku zdziwieniu wszystkich chłopa- ków. Czekają mnie rozczarowanie. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że usiłuję wynaleźć perpetuum-mobile...

Krymow umilkł i oparłszy głowę na rękach, zamyślił się głęboko.

— Olegu Nikolajewiczu — odezwała się cicho Sjemionowa. — Jakiego jesteście zdania o Trubninie?

“ Jakby to powiedzieć. Wspaniały z niego specjalista... — z pewnym niezdecydowaniem odrzekł Krymow nie podnosząc głowy.

— Chciałam w tej właśnie sprawie z wami pomówić... — zaczęła znowu Zoja Władimirowna. — Trubrdn zainteresował mnie od pierwsze- go dnia naszej znajomości, Ścisłej mówiąc, nie on osobiście, lecz ludzie tego rodzaju. Myślę o inżynierach, którzy zamknęli się w wąskim kole specjalności, nie interesując się naturą, sztuką, a nawet... uważają za grzech interesowanie się takimi sprawami, Niestety, takich właśnie lu- dzi jest jeszcze u nas dość dużo.

— Istotnie, **Trubnin** jest właśnie taki — potwierdził Krymow.

— Wydaje mi się, że tacy ludzie nie mogą być pełnowartościowymi pracownikami.

— Zgadza się z wami — zauważył Krymow ożywiając się.

— Dyskutowałam wiele razy z Trubninem. I postawiłam sobie za za- danie przekonać go, że nie ma racji. Przecież to wspaniały fachowiec, mógłby pracować z dużo lepszymi rezultatami. Dopomóżcie mi w tej sprawie.

Oleg Nikolajewicz odwrócił głowę ku swej rozmówczyni i spojrzał na nią zdumionym wzrokiem.

Z oddali, dochodziły odgłosy podnieconych głosów. Po chwili **Krymow** ujrzał przed sobą Katuszkina i Kostię Utoczkiną.

— Olegu Nikołajewiczu, coście narobili? Widownia wypełniona do ostatniego miejsca... Czekają na was — z trudem chwytając oddech przemówił Katuszkin, zmęczony szybkim biegiem.

— Kto czeka na mnie? zapytał ze zdumieniem Krymow.

— Wszyscy. Czyżbyście zapomnieli o dzisiejszym wieczorze? W miasteczku instytuckim rozlepiliśmy osiem plakatów... Początek o siódmej trzydziści, a teraz dobiega już dziewiąta...

— Tak, tak, Olegu Nikołajewiczu, czekają na was z **niecierpliwością**. Cośmy się nabiegali, zanim was znaleźliśmy — dorzucił Utoczkin.

— Po prostu nie miałam odwagi przypomnieć wam o tym... — wtrąciła **Sjemionowa**.

— To ja, **oczywiście**, jestem trochę wobec was nie w porządku — prawie z płaczem ciągnął Katuszkin. — Przrzekliście mi wziąć udział w dyskusji, a ja napisałem w afiszach, że będziecie **recytowali** swoje wiersze. Czyście nie widzieli plakatów?

Zbity zupełnie z tropu. Krymow przenosił spojrzenie z Katuszkin na Utoczkin, z Utoczkin na Sjemionową.

— Chodźmy już, Olegu Nikołajewiczu — żałośnie prosił Katuszkin, Wyobraźcie sobie, co będzie za awantura, jeśli nie przyjdziecie. Gotowi są wszyscy pomyśleć, że jesteście dumni i nieprzystępni, a winę za wszystko ja ponoszę... Odczytacie po prostu parę wierszy. Choćby z ostatnich numerów miesięcznika „Cześć Pracy”. Zabrałem je ze sobą.

Dopiero teraz **Krymow spostrzegł, że** Katuszkin **trzyma** w ręku **kilka** pism. Zaczynał się *czegoś* domyślać.

— Co za wiersze? Pokażcie mi... — wyciągnął rękę po pisma.

— Tu **właśnie...** To jeden z lepszych — wyjąkał Katuszkin otwierając graby nie oprawiony zeszyt.

Dopiero teraz Krymow zrozumiał **wszystko**. Dojrzał swe imię i nazwi-

sko, odbite tłustym druidem nad tytułem wiersza.

— Ach. to tak... — powiedział przeciągle, spoglądając ze złością na Katuszkina, — Rozumiem **teraz. I wyście... urządzili ten wieczór** nie porozumiewając... — **Krymow** zaciął się, odetchnął głęboko i dodał — nie porozumiawszy się z poetą.

— Chodźmy, Olegu Nikołajewiczu... Chodźmy — błagalnym tonem przemówił Katuszkin. — To ja **zawiniłem wobec** was. **Ale publiczność** czeka.

— Rzeczywiście ambaras — wmieszał się Kostia. — Ludzie się zebrali...

Przez kilka sekund Krymow patrzył **nieruchomo w** jakiś nieokreślony punkt. W jego umyśle dojrzewiała **odważna** decyzja. Kurczowo ścisnął w rękę teczkę z rysunkami,

— Dobrze — **powiedział** wreszcie **głuchym** głosem, **wstając** z ławki.
— Idziemy.

Rozdział ósmy

Burza oklasków powitała Krymowa wchodzącego na estradę. Stał w pobliżu rampy.

— Towarzysze... — zaczął niepewnie, speszony zgiefkiem panującym na widowni, przypominającym brzęczenie roju pszczół.

Błask bocznych reflektorów i światło lamp scenicznych zupełnie go oslepiły, toteż twarze widzów wydawały się otulone lekką, dymną mgłą.

— Towarzysze — powtórzył głośniejszym głosem **umilkł**.

Zachowanie się Olega Nikołajewicza **wywołało lekkie zamieszanie** wśród organizatorów **wieczoru**, ale nikt jeszcze nie podejrzewał dojrzewającego skandalu. Przy stole prezydialnym siedzieli miejscowi poeci z **Katuszkinem** na czele.

Podniecenie na widowni wzmagало się.

Pod wpływem dziwaczego zachowania się Krymowa **rozsypywało się** w gruzy utarte **przeświadczenie** o poecie jako **władcy** dusz ludzkich, z łatwością **podporządkowującego** sobie **audytorium**. **Inżynier stał w** dalszym ciągu, przekładając z ręki do ręki grubą teczkę.

— Towarzysze! — odezwał się Oleg Nikołajewicz po raz trzeci. — Jeśli mam mówić o współczesnej poezji... Mam na myśli naszą pracę... i to, jak my wszyscy razem... — plątał się coraz bardziej.

Przy stole prezydialnym Katuszkin począł się wiercić niespokojnie, kurczowo ściskając ramia sąsiada.

— Czy nie można by wyrażać się mniej skomplikowanie. Przecież to nie wykład z astronomii — rozległ się aa sali niezadowolony głos Gorszkowa.

Szukając wzrokiem człowieka, który rzucił tę uwagę, **Krymow** dojrzał Trubnina i Sjemionową siedzących w drugim rzędzie. Na twarzy Zoi **Władimirowny** malowało się napięcie. **Wychyliwszy** się ku przodowi, Sjemionowa z uwagą i z wyraźnym zdenerwowaniem patrzyła na scenę. Trubnin przeciwnie, z roztargnieniem rozglądał się dokoła **swym** obojętnym **wzrokiem**.

— Przede wszystkim muszę was uprzedzić, że wcale nie jestem tym, za którego mnie bierzecie — nagle stanowczym głosem powiedział Krymów.

Cisza zapadła na sali.

— Dużo się dziś mówi u nas o współczesnej sztuce: o literaturze, mu-

zyce, malarstwie i rzeźbie. Rzadko jednak można usłyszeć o poezji w technice, o natchnionym romantyzmie twórczych poszukiwań przy konstruowaniu nowych maszyn... Są **wśród** nas ludzie, którzy sądzą, że nauka i technika mogą się obejść bez wzniosłego zapału poetyckiego — gromkim głosem zawołał Krymow, postępując krok naprzód. — A to nie jest **prawda**, dowiodę wam tego.

Katuszkin. nagle zbladł i uniósł się ze swego miejsca przy stole przydialnym.

— Uczciwie pracują zecerzy i inni pracownicy drukarscy... — nieco spokojniej ciągnął **Krymow**. — Wykonują wielką pracę. Tylko dzięki nim wychodzą na świat książki. Lecz pracownicy drukarscy byliby zmuszeni drukować wciąż jedno i to samo, gdyby zbrakło pisarzy... Uczciwie pracuje wielotysięczna armia inżynierów, budujących najprzeróżniejsze maszyny... Wypadłoby im jednak budować wciąż te same lub podobne do siebie maszyny, gdyby znikli wynalazcy. Czy nie ma podobieństwa między twórcami w dziedzinie literatury, sztuki i twórcami nowych idei w dziedzinie myśli technicznej? Czyż praca wynalazców nie jest procesem twórczym? Czyż może odbywać się rozwój techniki, jeśli zbraknie ludzi z zapałem usiłujących kroczyć niezbadanymi, często bardzo ciernistymi ścieżkami? Czy ci ludzie potrafiliby pracować, gdyby nie nosili w duszy wzniosłych, **romantycznych** idei technicznych?... Gdyby nie pożerał ich ogień poetyckiej **twórczości**...

Na **sali** rozległy się gorące **potakiwania**. Katuszkin usiadł **z powrotem**, rozkładając ręce.

— Pisarze i wynalazcy — to ludzie tego samego **gatunku** — Krymow jeszcze bardziej przysunął się do rampy. — To ludzie usiłujący tworzyć **rzeczy nowe**, usiłujący **w ten sposób służyć swej ojczyźnie**... Na ile **bezwolnych wysiłków** musieli się zdobywać **rosyjscy wynalazcy**, ile czekało

ich straszliwych zmaganiach w okresie przedrewolucyjnym, w **Pralce** z obojętnością, bezładem, brakiem zaufania. Nic prócz kpin i drwin nie zaznał ze strony carskich urzędników nasz wielki rodak, mechanik Połzunow, który zbudował pierwszą na świecie maszynę parową. Jak o jałmużnę **musiał** błagać o fundusze **na** budowę swego aparatu Możajski — wynalazca pierwszego **na** świecie samolotu. Wśród **całkowitego braku** zaufania, w sidłach podejrzanej **machinacji kapitalistów-przedsiębiorców** pracował Łodygin, twórca lampki elektrycznej. Wystarczy wspomnieć o tragicznym losie genialnego syna ludu rosyjskiego, Jabłoczkowa, wynalazcy światła elektrycznego, samopiszącego telegrafu i innych mechanizmów, które stały się nieodłącznymi częściami większości dzisiejszych maszyn elektrycznych. Zmuszony do opuszczenia kraju, pracował na dalekiej obczyźnie. Wszyscy wiedzą, jak traktowali Popowa, wynalazcę radia, niektórzy ograniczeni, bezduszni urzędnicy, uwielbiający wszystko, co pochodziło z zagranicy...

— A jak traktowano słynnego rosyjskiego astronoma Struwe? — rozległ się na sali podniecony głos mechanika Gorszkowa.

— Tak było w przeszłości... — podniósł znowu głos Krymow.

— Dziś dla uczonych radzieckich, dla radzieckich wynalazców zorganizowano wspaniałe instytuty, stworzono właściwe warunki do twórczej pracy. Setki tysięcy stachanowców-nowatorów i racjonalizatorów otoczonych zostało opieką partii i rządu. Wynalazca radziecki wie, że jego wynalazek nie zostanie zamknięty w szafie i ukryty starannie dla umożliwienia handlarskich kombinacji przedsiębiorców, jak się to dzieje w Ameryce lub w Anglii. Radziecki wynalazca wie, że każda nowa maszyna w naszym kraju przyczynia się do urzeczywistnienia gorącego pragnienia ludzkości — budowy komunistycznego społeczeństwa. W imię tych wielkich zadań wszystkie swoje siły, wszystkie zdolności radziecki wynalaz-

ca musi oddać sprawie postępu techniki radzieckiej. Musi być przygotowany do zaciętej walki — natura nie oddaje bez walki swych tajemnic, ale można spodziewać się od niej litości... Odnosimy zwycięstwa nad nią tylko dlatego, że w duszy człowieka radzieckiego płonie niegasnący ogień romantycznego zapału do pracy. Ten wzniosły, romantyczny stosunek do techniki... ten szlachetny upór radzieckich wynalazców-poetów technicznej twórczości — jest naszą dumą i chlubą!! — zakończył swoją mowę Krymow wysoko podnosząc rękę.

Odpowiedziały mu głośne okrzyki.

Zza stołu wstał Katuszkin.

— Towarzysze! — zaczął — zaszło nieporozumienie. To moja wina... Towarzysz Krymow — to nie jest Krymow... To jest naturalnie Krymow, ale nie ten... I tu bynajmniej...

Nowy wybuch oklasków i śmiechu zagłuszył słowa mówcy. Gdy się już uciszyło, z głębi sali rozległ się wysoki kobiecy głos.

— Opowiedzcie o swojej maszynie!...

Powiedziała to Zoja Władimirowna, Krymow stał niezdecydowany, nie wiedząc, co ma robić.

Tymczasem po małych drewnianych schodkach wspiał się aa estradę niemłody człowiek z czarną bródką i palącymi jak węgiel oczami.

— Nie zgadzam się z towarzyszem Krymowem — powiedział głośno, - inżynierowie nie są zecerami. Wynalazków i techniki nie można porównywać ze sztuką. To są dwa zupełnie odmienne pojęcia!

— I do techniki, i do sztuki trzeba odnosić się z zapałem... -- przerwał mu czyjś głos.

— Naturalnie, ale...

Na scenę szybko wszedł inżynier Cesarski.

— Towarzysze! — zaczął — Wszystko, co tu się dziś działo, jest nad-

zwyczajne! Wspaniałe! Naprawdę! Nie mieliśmy dotąd okazji pomówić o sprawach poruszonych dziś przez towarzysza Krymowa. Towarzysz Krymow ma rację. Nowatorów w technice musi cechować namiętny i romantyczny zapał! Twórczość wynalazcy w pewnym stopniu przypomina twórczość pisarza. To samo można powiedzieć o pracy konstruktora. Przypominam sobie taki wypadek. Pewnego razu...

Rozległ się przyciszony śmiech.

— Myślicie, że może chcę opowiedzieć o maszynie „CS—37“ — uśmiechając się powiedział Cesarski. — Nic podobnego! Zresztą będzie lepiej, jeśli wykorzystam jako przykład śmiały, techniczny pomysł, z którym dopiero co miałem możliwość zapoznać się. Zajrzyjmy do tej teczki z rysunkami ...

Inżynier podszedł do Krymowa.

— Kochany Olegu Nikołajewiczu, dajcie wasze rysunki...

Krymow z wyraźną niechęcią podał Modestowi Nikandrowieżowi teczkę, z którą nie rozstawał się nawet na chwilę w czasie przemówienia.

— Spójrzcie tylko na ten projekt — mówił w dalszym ciągu Cesarski rozwijając duży arkusz kalki kreślarskiej. — *Czyż to nie jest poezja? Cóż tu widzimy, towarzysze? Oto podobny do wrzeczona kadłub maszyny. Z tyłu płetwy jak u ryby... Z przodu system rylców, za pomocą których maszyna będzie wgryzać się w ziemię, rozpulchniając ją. Śmigła, za znaczną siłą wbijając się w ziemię, będą posuwały pocisk w głąb. W środku maszyny umieszczą się ludzie — odważni, podziemni podróżnicy, odkrywcy nieprzebranych skarbów geologicznych... Przecież to jest podziemna łódź, która będzie mogła dość szybko przedostawać się do dowolnych pokładów w głębi ziemi i przewycięzać każdą przeszkodę!... Czyż to nie jest romantyzm, towarzysze? Co za śmiała myśl! Co za polot naukowej fantazji! Zdobyć się na to mogła tylko natura poetycka, zdolna do marzeń*

i umiejąca porwać za sobą innych.

Uśmiechając się uprzejmie. Cesarski zszedł na widownię.

Inżynier Trubnin powstał ze swego miejsca. Kurczowo trzymając się poręczy stojącego przed nim krzesła, patrzył na estradę pełnym napięcia i niespokojnym wzrokiem.

Korzystając z ciszy, która zapanowała na sali, Katuszkin zdecydował się znów zabrać głos.

— Jak widzicie, towarzysze... to ja jestem winien, że towarzysz Krymów, który wcale nie jest poetą... — zaczął mówić zdenerwowany. Nie pozwolono mu dokończyć,

— Nieprawda! Nie macie racji! — rozległa się na sali wrzawa liczych głosów.

*

*

*

Po powrocie z instytutu dozorca Panfierycz zastał w swym domu uczniów miejscowej szkoły rzemieślniczej — gości wnuka Pieti. Stękając Panfierycz usadowił się przy stole obok szumiącego samowara.

— Takie to sprawy, zaczął kiwając głową. — Przed chwilą byłem na jednym ważnym zebraniu.

— Jakież to sprawy, dziadku? — chytrze uśmiechając się zapytał Pienia, czarnowłosy swawolny chłopak. Wiedział z doświadczenia, że należy spodziewać się ciekawego, a może nawet zabawnego opowiadania.

— A no tak... Było w świetlicy zebranie i mnie też tam zaprosili... „Przychodź, Panfierycz... powiadają — bardzo odpowiedzialne kwestie będą tam poruszane”. I rzeczywiście. Wystąpił inżynier, który niedawno zaczął u nas pracować. „Dlaczego — pytał on — nie staracie się wynaleźć nowych, niezwykłych maszyn? O co chodzi? Dusze macie oziębłe, czy co?”

A i ja chciałem poprosić o głos i opowiedzieć o swojej propozycji... Czego chichoczą?,..

Panfierycz groźnie popatrzył na wnuka, który omal nie zakrztusił się herbatą, i mówił w dalszym ciągu surowym, pewnym głosem.

— Z czego się śmiejecie? Budują w naszym instytucie różne maszyny do świdrowania ziemi? Budują! Cóż to za maszyny. Moim zdaniem najzwyklejsze, znane nauce. Tyle razy mówiłem dyrektorowi: dlaczego nie wybudujemy maszyny, która by świdrowała ziemię na głębokość dziesięciu kilometrów. Warto by sprawdzić, co tam się znajduje. A on mi odpowiada: „Poczekaj, Panfierycz, propozycję twoją wykorzystamy trochę później”, a ten inżynier chce pod ziemią jeździć łodzią...

— Łodzią?

— Tak. podziemną. Siadają do niej ludzie, zakorkowują, naciskają pedał i zaczynają pomału opuszczać się w dół... Wokoło zaś drogocenne kruszce.... Wszystko widać...

— W jaki sposób to zobaczą?

— Ech, ty głuptasie. A po co są specjalne szkła? Przez okienka.,.

— Zgniecie ich ziemia...,

— Ach, jaki z ciebie niedowiarek. Wszystko będzie w naukowy sposób obliczone... Ani mucha nie siądzie.... A ty mówisz: zgniotą.,.

— Będą budować taką maszynę?

— Naturalnie, że będą. Społeczeństwo tego wymaga.

— To dopiero maszyna, chłopcy — kręcił się Pietia podnosząc do góry duży palec.

— Jeszcze jaka! — potwierdził jego kolega, Wania Sawieliew, szczupły chłopak ze sprytną buzią. — Gdybyśmy mogli w takiej maszynie wyruszyć w podróż pod ziemią. Co? — dodał po chwili.

Nastąpiło milczenie. Cicho śpiewał samowar, słychać było sierpami

herbaty, którą chłopcy pili ze spodków.

— Maszynę taką trzeba koniecznie zrobić — odezwał się wreszcie Pietia. — Dziadku — powiedział podstępnie — za następnym razem, gdy będziesz zaproszony na zebranie, zaproponuj.... Niech zbudują z początku małą, maleńką maszynę na próbę: ot choćby taką... tu Pietia rozłożył ręce, pokazując objętość przyszłego modelu.

— Ale głuptas z ciebie — rozgniewał się znów Panfierycz. — Wiadomo, że dużej nie będą od razu budowali...

— Dlaczego więc zwlekają?

— Mówią, że instytut przeciążony jest pracą. Rozumiesz?

— U nas w szkole rzemieślniczej można zbudować — odezwał się balsem jeden z chłopców.

— Oj, wy szczeniaki — uniósł się Panfierycz. — Prosiłem Pietię, żeby dorobił klucz do zamku w drwalni i po dziś dzień go nie ma.

Dotknięci w swej godności rzemieślnicy odburknęli:

— My, dziadku, mikrometry już wyrabiamy: przyrząd o dokładności do jednej setnej milimetra. A wy robicie wymówki o jakiś klucz — wyniosłe oświadczył Wania Sawieliew.

Wielka mi rzecz. Mikrometry... gderał dalej Panfierycz wstając od stołu.

Podziemna maszyna — to nie jakiś tam wasz mikrometr.

Rozdział dziewiąty

Następnego dnia Krymow obudził się z bólem głowy. Z przykrością przypomniał sobie o tym, co zaszło wczoraj. Wydawało mu się, że jego wczorajsze wystąpienie było niegodne poważnego człowieka, dziecinny

wybryk.

Godzina była wczesna. Dzień wstał znowu pochmurny. Słońce, które z rana zazwyczaj oświetlało jego pokój, jeszcze się nie ukazało.

Krymow ubrał się i usiadł przy biurku. Przed nim leżała gruba teczka z rysunkami, Otworzył ją z wolna. — Co teraz robić? Co zrobić, żeby projekt jak najprędzej mógł być urzeczywistniony? — pieg Nikołajewicz przerzucił rysunki. — Oto pierwsza przeszkoda... A ile ich jeszcze będzie. W wielkich mękach rodzi się maszyna ulegająca niezliczonym zmianom... I tu coś nie tak — bąknął, gorączkowo przerzucając niebieskawe arkusiki papieru.

I nagle przypomniał sobie swoją rozmowę z dyrektorem: „Obecnie instytut pracuje nad urzeczywistnieniem projektów innych maszyn. Każda z tych maszyn jest potrzebna dla kraju. Niemożliwe jest wykonanie wszystkiego od razu, Ułożony jest plan pracy. Musi być zachowana kolejność”.

„Ale... — Krymow aż się podniósł od stołu, tak nieoczekiwana była myśl, która przemknęła mu przez głowę. Może moje rysunki, wyliczenia są mało przekonujące? Może dlatego właśnie dyrektor nie śpieszy się z budową pierwszego modelu maszyny?”

Znów usiadł i zagłębił się w badanie odbitek.

— A no tak... Oto tu... To jest całkiem niedopuszczalne — mówił inżynier sam do siebie, prędko robiąc ołówkiem notatki w zeszycie. Pochłonięty obliczeniami nie zauważył, że na zegarze wybiła dziewiąta godzina. Był to właśnie czas, kiedy powinien być już przy pracy.

Coraz prędzej, biegał **ołówek**. Krymow **jednym** ruchem przekreślił na krzyż niektóre arkusze sztywnej kalki kreślarskiej.

— Nie to, nie to — mrucał.—To nie jest przekonujące... Wszystkie obliczenia trzeba skontrolować...

Nagle opanowuje go uczucie niepewności. Czy dobrze postępuje? Trzeba się poradzić, rozważyć...

Przerzucając rysunki, Krymow zatrzymał się na jednym z nich, małym prostokątnym kawałeczku kalki, i znalazł **niewielki** błąd, zrobiony przy sporządzaniu rysunku. Zdumiewające, że nie zauważył tego wcześniej. A więc w innych obliczeniach mogą też być błędy.

Krymow nie słyszy pukania do drzwi i nie widzi, jak do pokoju wchodzi sekretarz komsomolskiej organizacji, Jermołow.

Tymczasem wchodzący zastyga na progu ze zdziwienia: inżynier Krymow drze jakieś rysunki.

— Co wy robicie, Olegu Nikołajewiczu! — woła i rzuca się ku stołowi.

— A co? — **Krymow** odrywa się od rysunków i zmieszany patrzy na stojącego przed nim człowieka.

— Drzecie rysunki... Czyż tak można?

-- Rysunki... No tak... Przecież nie są mi potrzebne, Sjergiej Iwanowiczu.

— Niepotrzebne wam? Myślicie tylko o sobie?

-- Niszczą tylko te rysunki, które mnie nie zadowolają. Zamiast nich będą robił inne. Rozumiecie?

— Nie rozumiem...

-- Cóż w tym niezrozumiałego?

— Nie rozumiem, dlaczego niszczyte stare. Czy to przeszkadza do zrobienia nowych?

— Postanowiłem zrobić wszystko na nowo. Muszę całkowicie wyzwolić się spod wpływu starych... Te rysunki nie zadowolają mnie. Będą mnie trzymały w niewoli, będą przeszkadzały myśleć.

— Poczekajcie. Czy wolno podejmować poważne postanowienia, nie

poradziwszy się z nikim. Postępujecie tak pod wpływem zdenerwowania. Przecież to jest jasne...

— Nie, Sjergiej Iwanowiczu, nie jestem aż tak zdenerwowany, jak się to wam wydaje. Co się zaś tyczy zasięgnięcia porady u kogoś — macie rację. Niestety, doprawdy nie wiem, kogo się poradzić. Chyba inżyniera Cesarskiego?

Myślicie, że oprócz inżyniera Cesarskiego w instytucie nie ma innych ludzi? Mylicie się! Wstrzymajcie się z decyzją do wieczora. Nawiasem mówiąc, byłem przed chwilą w biurze konstrukcyjnym i widziałem się z waszym kierownikiem Trubninem. Prosił, by wam powiedzieć, że o ile czujecie się źle, jesteście zdenerwowani, czy jak tam... to możecie nie przychodzić dziś rano. Przez ostatnie dni zrobiliście dużo poza godzinami pracy.

Gwałtowny ruch, którym dyrektor otworzył drzwi wchodząc do swojego gabinetu, kazał Ninie Leontiewnie domyślić się, że zanosi się na bardzo niespokojny dzień. Pospiesznie schwyciła teczkę z papierami i poszła za dyrektorem.

— Proszę natychmiast wezwać Trubnina — rzucił Gremiakin siadając na swoim miejscu. — Na dwunastą trzydzieści proszę zwołać na naradę kierowników montażowych i mechanicznych pracowni. Gdzie jest poczta?

Nina Leontiewna w milczeniu położyła na stole paczkę depesz i listów. Gremiakin zaczął je przeglądać.

Tak. Nie ma żadnych zmian. Nowe zarządzenia z centrali mówiły o tym samym. Prace nad szybkobieźnym świdrem kopalnianym powinny być ukończone w najkrótszym terminie. Zalecono, aby dla wykonania tego zadania nie żałować sił ani środków.

Najbardziej przykre było to, że z powodu konieczności przyspieszenia

prac nad świdrem trzeba było chwilowo przerwać niektóre inne prace. Już sam fakt, że coś podobnego trzeba było stosować w instytucie, posiadającym potężne urządzenia i wielkie rezerwy ludzi, świadczył, jak doniosłe i ważne jest to zadanie.

Piotr Antonowicz wszedł do gabinetu swym zwykłym spokojnym krokiem. Usiadł w obitym skórą, głębokim fotelu, założył nogę na nogę i zaczął obserwować dyrektora.

— Piotrze Antonowiczu, życ nam nie dają z tymi terminami. Spójrzcie tylko — odezwał się Gremiakin, gwałtownym ruchem podając inżynierowi blankiet telegraficzny.

— Dziwnie... — powiedział Trubnin, spoglądając na blankiet przez okulary w rogowej oprawie.

— Nie ma w tym nic dziwnego. Musimy wykonać rozkaz i wykonaćmy go.

— Są jednak granice. Istnieje granica wytrzymałości i określony zapas sił w każdym mechanizmie. W danym wypadku praca, którą ma wykonać maszyna, przechodzi granicę jej wytrzymałości. Może nastąpić katastrofa.

— Głupstwa... głupstwa — wykrzyknął głośno dyrektor, zrywając się z miejsca. — Zmobilizujemy cały kolektyw instytutu.

— Nadmiar ludzi będzie tylko przeszkadzał.

— Wszystko zależy od rozmieszczenia stanowisk. Zaraz to ustalimy.

Konstantin Grigoriewicz nachylił się nad stołem i zaczął gorączkowo przerzucać leżące w teczce rysunki i obliczenia.

— Ten szczegół jest już gotowy... Tu trzeba zrobić zmianę. Oddział numer trzy... Zanotujcie: oddział numer trzy. Czy był już kontrolowany agregat z nowymi rylcami?

— Sprawdziliśmy już. Rezultaty niewiele lepsze niż przy starych

rylcach.

—No nic. W tych dniach otrzymamy partię rylców z twardego stopu.

Spokojny i pozornie obojętny na wszystko w świecie inżynier Trubnin ożywia się, ruchy jego stają się energiczniejsze. Przysuwa się również do stołu i zaczyna szybko przerzucać rysunki, notować na skrawkach papieru jakieś cyfry. Z kieszeni wyciąga małą, grubą książkę — informator: jest to nierozłączny towarzysz Piotra Antonowicza. Białe suwak migoce w powietrzu niby pałeczka w ręku zonglera. Trubnin dokonuje obliczeń.

Suwak oraz informator pełny najrozmaitszych wzorów są, jak wydaje się, nierozzerwalną częścią Trubnina. Nie należy jednak sądzić, że nie zna on na pamięć wzorów i kombinacji wielkich cyfr. Suwaka używa tylko dlatego, że ułatwia on mu pracę.

Pewnego razu, gdy jeden ze współpracowników poprosił go o podniesienie do trzeciej potęgi trzycyfrowej liczby, suwaka nie było pod ręką. Piotr Antonowicz, zastanowił się przez chwilę i w pamięci trzykrotnie przemnożył trzycyfrową liczbę.

Do gabinetu wszedł Batia.

— Nateszcie — rzekł dyrektor odrywając się od rysunków. Już chciałem posyłać po ciebie... spóźniłeś się o całe pięć minut!

— Pięć minut — to wiele czasu, nie przeczę... — uśmiechnął się Batia.

— Sytuacja obecnie jest taka, że trzeba cenić każdą minutę. Spójrz tylko, co tu się dzieje. Opowiedzcie, Piotrze Antonowiczu.

W ciągu godziny ogólny plan reorganizacji pracy był gotowy. Trzeba było tylko sprecyzować go w drobniejszych szczegółach, przeprowadzić naradę z kierownikami pracowni i urządzić ogólne zebranie pracowników instytutu dla omówienia wagi podejmowanych prac.

— Tak, a co będzie z waszym nowym poetą? Może przeniesiecie go do

pracowni Cesarskiego, a na jego miejsce weźmiecie jakiegoś bardziej pewnego konstruktora? — zwrócił się dyrektor do Trubnina w końcu narady.

— Nie — stanowczo odpowiedział inżynier.

— Nie będzie wam przeszkadzał?

— Wręcz przeciwnie — z jeszcze większym zdecydowaniem powiedział Piotr Antonowicz.

Dyrektor wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć: „No, to już wasza sprawa”.

— Przy okazji chciałem cię spytać: czyś słyszał o wczorajszym wieczorze literackim? — z ledwo dostrzegalnym uśmiechem, zapytał dyrektora Batia, gdy Trubnin wyszedł z gabinetu,

— Nie. Bo co?

— Nic nadzwyczajnego... Spóźniłem się, bo właśnie chciałem się z kimś naradzić... Więc ty o niczym nie wiesz?

Gremiakin popatrzył zdziwiony na Batię.

— Nie rozumiem... — powiedział — tyle mamy teraz spraw na głowie, że każda sekunda jest droga, a ty myślisz o jakimś tam wieczorze literackim.

— Dobrze, dobrze... Nie będę więcej myślał. Uspokój się. Pomówmy lepiej o piątym oddziale.

Jednakże nie dane im było pomówić o piątym oddziale. Do gabinetu weszła Sjemionowa.

— Otrzymałam dodatkowe zarządzenie — zaczęła mówić. — Mam dopilnować tego, żeby przyrząd do pobierania próbek ziemi w świdrze kopalnianym włączał się automatycznie co dziesięć minut.

Wypadło zająć się sprawą automatycznego przyrządu.

— Nie mogę — powtarzał dyrektor. — Nie mogę... To, czego wyma-

gacie, znowu zahamuje pracę. Powinniście to zrozumieć.

— A więc chcecie zatrzymywać świder co dziesięć minut, żeby geolodzy mogli pobierać próbki? I ta maszyna ma się nazywać szybkobieżnym świdrem? — pytała Zoja Władimirowna.

— Rzeczywiście. O tu, z tej strony znajdzie się miejsce dla automatu — wtrącił Batia, uważnie oglądając rysunek.

Przekonany tymi argumentami, Gremiakin zgodził się na to, że przyrząd automatyczny konieczny jest do świdra.

— Przy. sposobności. Konstantinie Grigoriewicz... Czy instytut zamierza w najbliższym czasie rozpocząć budowę modelu maszyny Krymowa? — zapytała dyrektora Zoja Władimirowna korzystając z chwili ciszy.

— Co takiego? — cicho zapytał dyrektor, — To on już zdążył i was zainteresować swoim projektem?

— Słyszałam jego przemówienie...

— Jakie przemówienie?

W tej chwili Sjemionowa zauważyła, że Batia daje jej jakieś tajemnicze znaki. Łatwo było się domyślić, że chce. by milczała i nie podejmowała rozmowy na temat projektu Krymowa.

— Nie rozumiem, towarzysze — mówił dalej Gremiakin. — Każda chwila jest teraz dla nas droga... Nie przeczę, że projekt Krymowa jest bardzo ciekawy. Ale czyż możemy teraz się nim zajmować. To jest bardzo śmiały projekt... Nieomal fantastyczny. Pomimo to, powtarzam, zajmiemy się nim. Ale czyż możemy mówić o tym teraz, kiedy jesteśmy zmuszeni przerwać nawet rozpoczęte już pracę, bardziej realne i mające znacznie większe zastosowanie w praktyce.

— Skończmy z tą sprawą — twardo powiedział Batia, autorytatywnym głosem.

Rozdział dziesiąty

Mimo obietnicy danej **Jermołowowi**, Oleg **Nikołajewicz** zniszczył jeszcze jeden rysunek. **Zrobiwszy to westchnął z ulgą i uzbroił się w ołówek i linijkę.**

Czas leciał szybko, Krymow pracował z zapalem, ledwie dążył kłaść na papier nowe myśli i techniczne rozwiązania, które rysowały mu się w głowie zadziwiająco wyraźnie. Nie zauważył nawet, że się ściemniło i pomału mrok zaczął zapełniać jego małe pokój. Głośne pukanie do drzwi oderwało go wreszcie od pracy. Na progu zobaczył Piotra Antonowicza.

— Przeszedłem na chwileczkę... — powiedział patrząc uważnie wprost na niego.

Oleg **Nikołajewicz** był przygotowany, że usłyszy jakieś niemiłe nowiny.

— Taka to sprawa... — Piotr Antonowicz zatrzymał się na środku pokoju i wyjął z bocznej kieszeni suwak. — Jeżeli macie zamiar użyć do rozpylania kruszcu rylców z ujemnym kątem oporu, to jak możecie się obejść bez dodatkowych szczęk?

Krymow milczał. Przez długą chwilę stali naprzeciw siebie.

Szybko pracował suwak w rękach Piotra Antonowicza. Rzeczowo, jak gdyby to był wykład, mówił o swoich badaniach w dziedzinie borowania ziemi. Badania te nie zostały jeszcze opublikowane, więc inżynier Krymow nie może ich znać. A przecież może to mu być bardzo potrzebne.

Pożegnawszy się niespodzianie, Trubnin wyszedł.

„Czego właściwie chciał... — myślał Oleg **Nikołajewicz**. — Mógłby

przecież poinformować mnie o swych spostrzeżeniach na temat rozpylania kruszcu i w biurze przy pracy, tym bardziej że nie są mi one potrzebne w obecnej fazie studiów nad świdrem kopalnianym. To dziwne... W każdym razie trzeba to, co mówił, wziąć pod uwagę przy opracowywaniu maszyny podziemnej".

Tymczasem Piotr Antonowicz, który opuścił gmach frontowym wyjściem i skierował się w stronę parku, spotkał Zoję Władimirownę.

— Dziwne się czasem dzieją rzeczy — powiedział, prawie nie patrząc na Sjemionową. — Rylce z ujemnym kątem oporu — zjawisko dobrze znane... Wyobraźcie sobie jednak, gdy zacząłem dziś o tym myśleć, doszedłem do wniosku, że jeżeli wyposażyć je w dodatkowe szczęki...

Nastąpiło szczegółowe wyjaśnienie.

— Piotrze Antonowiczu. Przecież te spostrzeżenia można zużytkować i w maszynie Krymowa — powiedziała Zoja Władimirowna patrząc na Trubnina.

— W maszynie Krymowa? Tak, tak. Już o tym myślałem. Właśnie przed chwilą byłem u niego. Jestem przecież bezpośrednim zwierzchnikiem Olega Nikołajewicza i wypadało dowiedzieć się o stanie jego zdrowia.

Nie było go dziś w biurze przez cały dzień.

— Jak on się czuje?

— Moim zdaniem nieźle. Omówiliśmy z nim dokładnie sprawę rylców z ujemnym kątem oporu. Podzieliłem się z nim swoimi spostrzeżeniami na ten temat...

— Czy tą sprawą będzie się Krymow zajmował przy budowie świdra kopalnianego?

— Skądże! Nic podobnego — zdziwił się Piotr Antonowicz — Krymow pracuje na zupełnie innym odcinku i z rylcami nie ma nic wspól-

nego.

— Teraz rozumiem wszystko! — powiedziała uradowana Sjemionowa.

— Pożegnaj was i biegnę. Mam pilną sprawę do załatwienia.

Trubnin ze zdumieniem patrzył na oddalającą się Zoję Władimirownę, nie mogąc zrozumieć, co ją tak ucieszyło.

Nie upłynęła jeszcze godzina, jak znowu ktoś przeszkodził Krymowowi w pracy. Był to Kostia Utoczkin, który zjawił się ze swoim nieodłącznym psem.

Rozgościł się jak u siebie w domu, nie zwracając uwagi na niezadowolenie gospodarza.

— Pracuję — próbował mu wytłumaczyć Oleg Nikołajewicz.

— Wiem! — wesoło zawołał Kostia. — Nie byliście nawet na obiedzie...

Wszystko wiem! Zaraz przyniosą tu obiad i kolację.

— Po co? Przecież nie prosiłem o to.

— Nie wolno, Olegu Nikołajewiczu! Regulamin bojowy na to nie pozwala... Systematyczne przyjmowanie pokarmu jest jednym z podstawowych warunków utrzymania zdolności bojowej żołnierza — żartował Utoczkin.

— A w wypadku gdy żołnierz znajdzie się na terenie nieprzyjacielskim?

— To co innego. Ale przecież tu dokoła nasi.

— Nie wszyscy, Kostia...

— Nie widzę nieprzyjaciół.

— Nie widzicie, ale ja widzę — odpowiedział Krymow, myśląc o tym, że chyba nie uda mu się już pozbyć Kostii.

Ten dobroduszny i trochę śmieszny młodzian był w instytucie

pierwszą osobą, do której poczuł sympatię. Zapraǳnął porozmawiać z nim szczerze.

— Nie wiem., dlaczego dyrektor odniósł się tak chłodno do mojego projektu — zaczął.

— Nieprawda...

— Mój bezpośredni kierownik, inżynier Trubnin, też wykazuje zupełną obojętność.

— To jeszcze nie wiadomo...

— Jedyńy człowiek, który mnie rozumie — to inżynier Cesarski.

— Znów nieprawda.

— A to dlaczego?

— Cesarski do wszystkiego odnosi się z zachwytem.

Zapukano do drzwi i z tysiącem przeprosin wszedł konstruktor Katuszkin.

— Wybaczcie, Olegu Nikołaj ewiczu, że przyszedłem do was bez uprzedzenia — mówił, opędzając się kapeluszem od radośnie witającego go psa. — Wszyscy są pod silnym wrażeniem waszego wczorajszego przemónia. Po prostu — wspaniale. Czy mogę usiąść?

Katuszkin, zachłystując się z przejęcia, zaczął opowiadać o tym, co sły-szał od kolegów o wczorajszym wieczorze literackim. Z jego opowiadania wynikało, że w ogóle nie miał to być wieczór literacki, tylko wszyscy się zebrali, żeby wziąć udział w dyskusji o romantyzmie w technice.

Do pokoju weszła kelnerka i Krymow, któremu głód już dokuczył, słuchając Katuszkiną, zaczął zmiatać przyniesiony obiad.

— Jakie to mądre stworzenie — zachwycił się konstruktor wskazując na psa ogryzającego kości, które rzucił mu Krymow. — Wiecie, Olegu Nikołajewiczu, zauważyłem kiedyś, że Dżulbars doskonale orientuje się w poezji. Chcecie się przekonać?...

Katuszkin wstał, wyprostował się na całą swą wysokość i zaczął czytać wiersz Nadsona.

Pies w dalszym ciągu w milczeniu ogryzał kość.

— Teraz przeczytam mój własny utwór! — powiedział poeta przerywając czytanie.

Nie wiadomo, czy dlatego, że Katuszkin podniósł głos, czy też z jakiejś innej przyczyny, pies nagle wyszczerzył zęby i głucho warknął.

— Widzicie — powiedział żałośnie konstruktor, przerywając czytanie - nawet pies się orientuje!

Oleg Nikołajewicz zrozumiał, że Katuszkin usiłuje go rozweselić.

„Czyżbym rzeczywiście wyglądał tak posępnie?” — pomyślał i spojrzął przelotnie w duże lustro, które stało w rogu pokoju. To, co zobaczył, potwierdziło jego domysł: z lustra patrzyła wychudła twarz i zapadnięte oczy.

Nagle na korytarzu dały się słyszeć kroki i pod drzwiami Krymowa rozległ się czyjś głuchy głos:

—Nie wypada... Trzeba zapytać o pozwolenie.

Do pokoju zajrzał Jermołow.

— Nie jestem sam, ze mną są towarzysze... nasi komsomolcy. Możemy wejść? — zapytał zwracając się do Krymowa i jednocześnie ściskając rękę Katuszkina i Kosti.

—Naturalnie! — odpowiedział Krymów wstając od stołu.

—Tu jest cała delegacja... — ciągnął Jermołow stojąc przy drzwiach i wpuszczając czterech wysokich młodzieńców.

Goście usiedli w milczeniu.

Krymow pytająco spojrzął na Jermołowa, jakby usiłując dowiedzieć się, co to wszystko znaczy. Ten jednak udawał, że nie dostrzega spojrzenia Krymowa,

— Jak się miewa twój pies, Kostia? — zwrócił się do mechanika.

— Przez cały dzień, gdy byłem w pracy, znowu nie wyprowadzono go na spacer! Prawdziwe nieszczęście.

— A ja-jaj... Jak można tak obchodzić się ze zwierzęciem. Można by pomyśleć, że twoja matka nie lubi psa.

Za drzwiami znowu rozległy się kroki, ktoś rozmawiał szeptem przez chwilę i wreszcie nieśmiało zapukał do drzwi.

— Wejść — powiedział Oleg Nikołajewicz.

— Chcielibyśmy zobaczyć inżyniera Krymowa — powiedział cienki, drżący ze wzruszenia, dziecinny głos.

— Jestem Krymow. Czego chcecie?

— Postanowiliśmy pomówić z wami — chłopczyk wszedł do pokoju. Za nim postępowało dwóch innych.

— Pietia! To ty? — zawołał Jermołow.

-- Ja.

— O czym chcecie mówić z towarzyszem Krymowem?

— To się tyczy jego maszyny... podziemnej.

— Poczekaj, poczekaj. Czy ktoś prosił was, abyście tu przyszli?

— Wcale nie, samiśmy przyszli.

— Nic nie rozumiem — wzruszył ramionami Jermołow.

— I ja też — dodał Oleg Nikołajewicz.

W tej chwili znów ktoś zapukał do drzwi.

— Można wejść? Witajcie, towarzysze! Czy jesteśmy w komplecie?— zapytał przybyły.

— Ludzi, Iwanie Michajłowiczu, zebrało się więcej, niż przewidywaliliśmy.

— Przyszli tu jeszcze rzemieślnicy — zaczął Jermołow.

-- Jacy rzemieślnicy? — zdziwił się Batia.

- Pietia, wnuk Panfierycza, i jeszcze dwóch innych.
- Stiepan Szapowalenko i Wania Sawieliew — wtrącił Pietia.
- W jakim celu przyszliście?
- Chcemy dopomóc towarzyszowi inżynierowi budować podziemną maszynę... Mamy projekt.
- Patrzcie no! A to chwaty.
- Potraficie utrzymać tajemnicę, chłopcy?
- Jaką tajemnicę?
- Musimy utrzymać w tajemnicy wszystko, o czym będziemy tu mówili.
- A o czym będziemy tu mówili?
- O podziemnej maszynie. Jak dopomóc w jej budowie.
- Rozumie się. Sprawa poważna. Wiadomo!... — zawołali chórem chłopcy.

Zanim przyszedł Batia, Krymow sądził, że przyjaciele jego zebrali się, aby pomówić o wczorajszym wieczorze literackim, pofantazjować o poruszającej się pod ziemią maszynie i podtrzymać go na duchu. Teraz zrozumiał: obecni coś zamyślają, co jednak, tego jeszcze nie wiedział.

— Towarzyszu Krymow! Dlaczego zniszczyliście plany? Przyznaję się, że nie spodziewałem się tego po was — zaczął Batia nabijając fajkę tytoniem.

— Zniszczyłem te, które wydawały mi się niedokładne... — niepewnie odpowiedział Oleg Nikołajewicz. — Zamiast zniszczonych, zdążyłem już zrobić nowe... Część tylko naturalnie — dodał po krótkiej przerwie.

— Tak się nie robi. Krytycyzm wobec wykonanej pracy, dążenie do osiągnięcia lepszych wyników — to bardzo cenne cechy. Nie odpowiadają wam rysunki? Zróbcie nowe! Po co jednak niszczyć stare? A nuż będziecie chcieli do nich powrócić! Czyż tak nie bywa?

— Bardzo wątpię, czy moje plany będą prędko potrzebne.

— Nie wiadomo jeszcze. Ja na przykład myślę, że będą nam potrzebne dziś jeszcze.

— Kto może ich potrzebować? W jakim celu? — cicho zapytał Krymow, z trudem hamując podniecenie.

— Chyba wiecie, że instytut wykonuje obecnie terminowe zadanie. Nie ma więc mowy o tym, aby można było natychmiast przystąpić do doświadczeń nad waszą maszyną. Za dwa — trzy miesiące instytut niewątpliwie zajmie się waszym projektem. Mnie jednak i niektórym jeszcze towarzyszą przyszedł do głowy pewien pomysł, pozwalający na szybką realizację waszego projektu.

— Nie rozumiem... w jaki sposób?...

— Zaraz to omówimy... Najważniejsze jest to, że ludzie mają ochotę wam pomóc. Projektowana przez was maszyna podziemna jest tak śmiałym projektem, że wielu uważa go za fantastyczny. Rzykujemy zatem, że wysiłki nad realizacją tego projektu pójdą na marne. Przychodzą tu jednak ludzie, którzy chcą podzielić z wami to ryzyko. Proponuję wykonanie małego modelu doświadczalnego waszej maszyny w godzinach wolnych od pracy.

— Rozumiem... zaczynam rozumieć — przemówił zmieszany, ale uradowany Krymow.

— Małą maszynę można zrobić u nas, w szkole rzemieślniczej. Trzeba tylko pomówić z kierownikiem... — powiedział Pietia.

— Widzicie, towarzyszu Krymow, ilu znalazło się chętnych — ciągnął Batia. — Oto macie twórczy romantyzm w technice, o którym mówiliście wczoraj. Taki romantyzm możliwy jest tylko w naszym kraju... Czyż w ustroju kapitalistycznym znaleźliby się ludzie, którzy chcieliby pomagać wynalazcy, nie żądając wynagrodzenia, nie widząc w tym żąd-

nej osobistej korzyści?

— W moich poprzednich obliczeniach znalazłem niewielki błąd. Trzeba by go pokazać dyrektorowi... — zaczął mówić Oleg Nikołajewicz, ale Batia przerwał mu.

— Czy warto, towarzyszu Krymow, niepokoić dyrektora? Ma on teraz, jak to się mówi, kłopotów powyżej uszu. Otrzymał, jak wiecie, terminowe i niezwykle ważne zadanie. Słyszałem, że i wam przypadł w udziale bardzo odpowiedzialny odcinek... Trubnin nalegał, żeby go powierzono właśnie wam,

— Mnie?... Odpowiedzialny odcinek?... I mówicie, że nalegał na to Piotr Antonowicz?.., — ze zdziwieniem zapytał Krymow.

— Z całą pewnością. Dyrektorowi, powtarzam, o przygotowaniu modelu mówić nie trzeba. Nawet lepiej, jeżeli nic o tym nie będzie wiadział. Konstantin Grigoriewicz jest takim człowiekiem, że zainteresuje się na pewno waszą pracą i to odwróci jego uwagę od głównego zadania. W ogóle nie trzeba o tym mówić za dużo.

Krymow, przejęty do głębi, podniósł się ze swego miejsca.

— Towarzysze... — przemówił cicho i umilkł.

— Rzeczywiście najlepiej wykonać tę pracę w warsztatach szkoły rzemieślniczej — rozległ się głos Jermołowa.

— Pomyślmy. Obejrzymy rysunki, naradzimy się i przystąpimy, jak to się mówi, z ołówkiem w ręku do opracowania projektu — odpowiedział Batia wstając.

Rozdział jedenasty

Niewielu wiedziało, że oprócz pracy nad szybkobieżnym świdrem ko-

palnianym, którą pochłonięty był cały instytut, w pracowni szkoły rzemieślniczej wre nie mniej wytężona praca. Kilku komsomolców — wykwalifikowanych mechaników — po skończeniu pracy w instytucie, zamiast udać się do domu, szło w kierunku niewielkiego, wybudowanego z cegły budynku, znajdującego się w głębi parku. Pracowali tam przy montowaniu małego metalowego aparatu. Pomagało im trzech uczniów szkoły rzemieślniczej. Trochę później zjawiał się Kostia Utoczkin. Musiał on najdłużej ze wszystkich pozostawać w laboratorium Cesarskiego. Krymow i Katuszkin po przyjściu do pracowni wkładali granatowe kombinezony robocze i na równi z pozostałymi pracowali z młotkiem i pilnikiem w ręku.

Zgodnie z zapadłą na naradzie u Krymowa decyzją, wszyscy surowo przestrzegali tajemnicy. Parę razy zaglądał do warsztatu Panfierycz poszukując wnuka. Jednak dalej niż na próg nie wpuszczano dozorczy.

W dniu świąteczne wszyscy wyruszali na pole. Robili to z wielkimi ostrożnościami: szli w pojedynkę o rozmaitej porze. Dwóch dźwigało model zawinięty w brezentowy płaszcz.

Do pracowni wracali wybrudzeni ziemią, ale weseli i zadowoleni.

Nie zawsze jednak tak było. Pewnego dnia powrócił z pola bardzo zdenerwowani.

Gdy się zebrali na drugi dzień wieczorem, zmartwili się jeszcze bardziej. Model został rozebrany do najdrobniejszej śrubki. Części jego rozrzucone były w nieładzie na stołach. Jak się okazało, zdemontował je Krymow w nocy po wyjściu wszystkich z pracowni.

— Nie należało pozostawiać Olega Nikołajewicza samego... — smutnie powiedział Kostia oglądając naoliwione trybiki, na zmontowanie których stracił tyle czasu.

Niebawem zjawił się Katuszkin. Oświadczył, że Krymow dziś nie

przyjdzie, ponieważ nie spał całą noc i źle się czuje. Oto buntownicza dusza! Wiecznie niezadowolony. Zdaje mi się, że wszystko chce rozpocząć od nowa...

Budowniczo wie małej maszyny ucichli. Bezcelowo tułali się po pracowni nie wiedząc, do czego się zabrać.

— Nie trzeba zanadto słuchać inżyniera - oświadczył nagle Pietia. — Taki wynalazca, wciąż wymyśla coś nowego... W taki sposób nigdy nie skończymy modelu. Zmontujemy znów maszynę i pójdziemy w pole bez niego.

Propozycja była bardzo śmiała, ale Katuszkin ją poparł.

— Rzeczywiście, towarzysze! — przemówił gorąco. — Wiecznie niezadowolony z siebie i z osiągniętych wyników — to charakterystyczna cecha prawdziwie twórczych natur. Nie macie pojęcia, jak bardzo ciągnie mnie zawsze, aby przerabiać na nowo swoje, tylko co napisane wiersze! Rozumiem Krymowa... Gdybym miał obok redaktora, który od razu wskazywałby błędy, wyobrażacie sobie chyba, o ile moje wiersze byłyby lepsze!

Postanowiono zmontować natychmiast maszynę, rozebraną przez **wynalazcę** pod wrażeniem nieudanej próby w polu. Montaż maszyny miał się ku końcowi, kiedy późno wieczorem w pracowni zjawił się Krymow w towarzystwie Jermołowa.

Później przyszedł Batia. Swoim zwyczajem usiadł na wysokiej ławce i zapalił fajkę.

— Czego się denerwujecie? Dlaczego się tak śpieszycie? — powiedział dowiedziawszy się, o co chodzi. — Czyż tak można? Wcale nie trzeba, aby maszyna była skończona do dnia próby świdra kopalnianego.

Pracujący przy maszynie nie oponowali, chociaż byli innego zdania. Mieli swoje własne plany.

Dzień pracy kończył się. Pomału cichł szum obrabiarek. To tu, to tam, w obszernej hali montowni gasły elektryczne lampy.

Do Gorszkowa podszedł instruktor Katuszkin.

— Ja znowu do was, Pantalejmonie Jewszejewiczu!

— Przynieśliście zapewne nowe...

— O, nie... Przyszedłem do was z prośbą. Parę dni temu daliście mi okrągły kawałek żelaza 35 mm średnicy, obecnie potrzebny mi jest kawałek, jakiś odpadek o 40 mm średnicy.

— To głupstwo, towarzyszu inżynierze — burknął Gorszkow. — Naturalnie, kawałki żelaza nie mają żadnej wartości. Oto ile tego tu leży. Tylko kłopot ze sprzątnięciem. A jednak coś tu nie jest w porządku. Po co wam żelazo?

— Widzicie... to taka sprawa. Jakby to wam wytłumaczyć — zaczął się płatać Katuszkin. — Jednym słowem, potrzebne mi to do pewnego doświadczenia. Nie pójde przeciw do magazynu po mały kawałek i nie będę wystawiał zapotrzebowania na całą sztabę.

— To już byłoby oburzające — ostro zauważył Pantalejmon Jewszejewicz, podejrzliwie spoglądając na konstruktora.

Wybrawszy odpowiedni kawałek żelaza, Katuszkin zawiązał go w gazetę i odszedł. Ponieważ bardzo się spieszył, nie zauważył, że za nim idzie Gorszkow.

Gdy konstruktor wszedł do warsztatu szkoły rzemieślniczej, wszyscy już byli na miejscu.

— Oto... mam... — powiedział rozwijając papier przed Kostią Utoczkinem. — Można będzie wytoczyć z tego kawałka? Żeby tylko znów nie zepsuć... Gdzie jest rysunek?

Wszyscy byli tak zajęci swoją pracą, że nie zauważyli stojącego w drzwiach Gorszkowa, który stanął u wejścia i skrzyżowawszy ręce na

piersiach, obserwował, co się dzieje.

— Tak się nie robi, towarzysze! — rozległ się nagle nad uchem Krymowa, zajętego montażem maszyny, głos Gorszkowa. — Co to za nowe porządki?... Jeżeli wszyscy inżynierowie zaczną się zajmować montażem, nic z tego dobrego nie wyjdzie!

— Jak się tu dostaliście? — ze zdziwieniem zapytał Oleg Nikołajewicz. — Kto was wpuścił?

— Czy to nie wszystko jedno, jak się tu dostałem! Podejrzewałem, że coś nie jest w porządku, i przyszedłem. To ten rysunek? Odejdźcie, nie przeszkadzajcie... Czemu bierzecie się nie do swoich spraw? Wasza rzecz obliczać i projektować, a nie zajmować się montażem części.

— Czyż wy wiecie, co my tu robimy? — zapytał Utoczkin.

— Czemu miałbym nie wiedzieć? Od razu widać. Montujecie teleskop dla badań astronomicznych w wolnych chwilach od zajęć — odpowiedział mechanik, chytrze mrugając okiem. — Trzeba było od razu zwrócić się do mnie o pomoc, mam przecież zamiłowanie do badań astronomicznych. Widzę, że tu pracy jeszcze niemało... — dodał przyciągając do siebie kadłub maszyny.

Rozdział d w u n a s t y

Nadszedł wreszcie uroczysty, dawno oczekiwany dzień próby szybkościowego świdra kopalnianego.

Już od rana na doświadczalnym placu, ogrodzonym wysokim, drewnianym płotem, panowało ożywienie. Ludzie krzątali się koło ogromnej maszyny, zmontowanej na gąsienicowym ciągniku.

Maszyna wyglądała bardzo okazale. Na szerokiej platformie, mocno

wpierającej się potężnymi gaśienicami w ziemię, wznosi się wysoka metalowa konstrukcja wieży. Z górnego końca zwiesza się w dół błyszcząco stożek, rozszerzający się w swej dolnej części. To on, zaopatrzony w setki mocnych rylców, będzie wiercił ziemię pozostawiając po sobie okrągły otwór. Obok stożka, otaczając ze wszystkich stron szeroki metalowy **wał**, umieszczone są czerpaki transportem, które będą zabierały spulchnioną ziemię i wyciągały ją na górę. Od chromowanych i kadmowanych części maszyny odbijają się olśniewające promienie porannego słońca.

Inżynier Trubnin, wyprostowany i surowy, daje ostatnie wskazówki. Dyrektor wyjaśnia komisji, która przyjechała na tę próbę z centrum kraju, urządzenie maszyny, mówi o trudnościach, z którymi spotykali się przy konstruowaniu i budowie tego agregatu. Narzeka na niezadowalającą jakość rylców, dostarczonych przez fabrykę.

Plac pomału zapełnia się pracownikami instytutu — budowniczymi nowej maszyny.

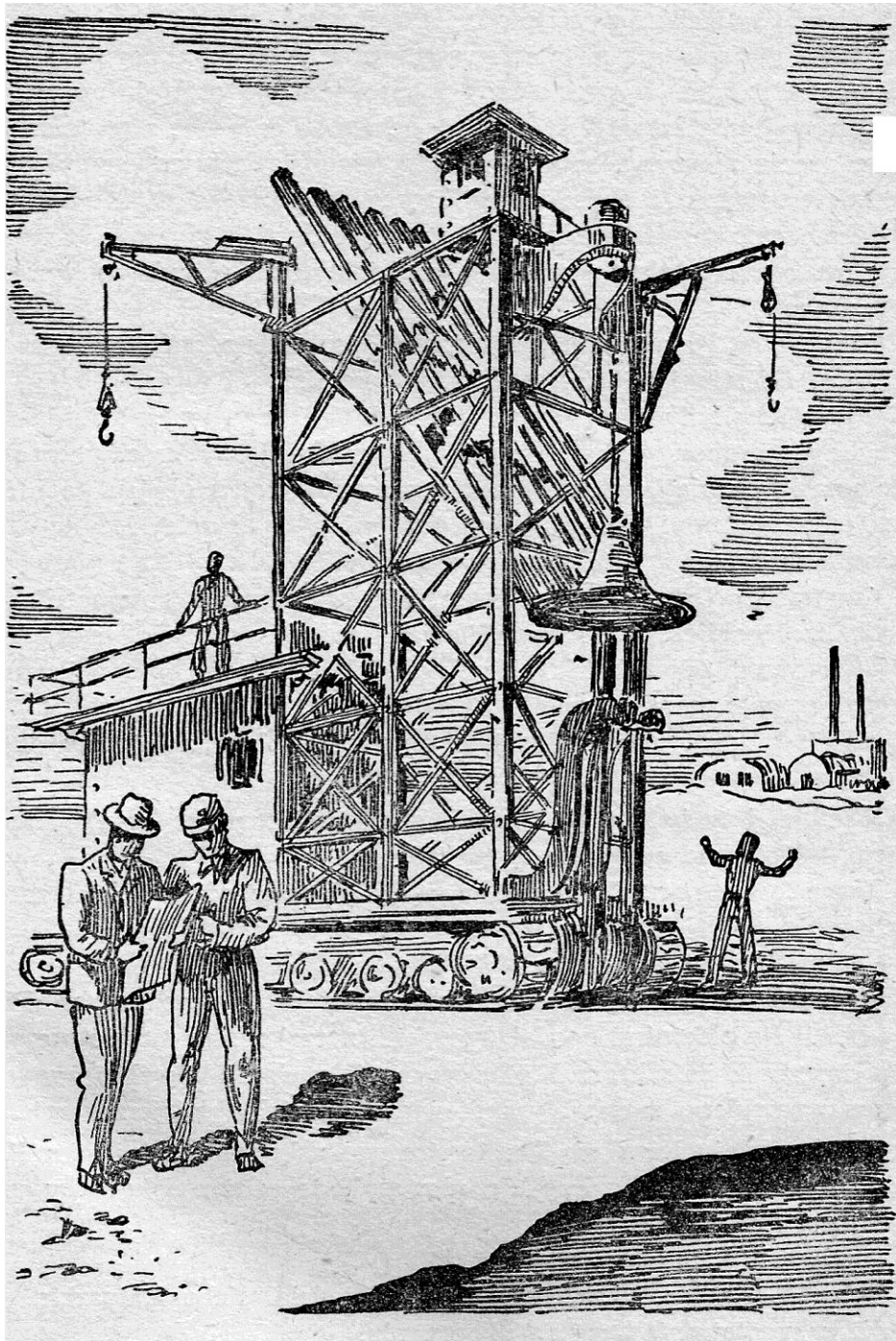
— Ciekawym, jak został rozwiązany problem ześrubowywania rur — zapytał Cremiakina jeden z członków komisji.

— Tylko automatycznie! Niepodobna osiągnąć tego inaczej. Ludzie nie nadążyliby ześrubowywać rur ręcznie. Przy dużej szybkości pogrążania się w ziemię głowicy świdra, przez nas zaprojektowanej, jest to nie do pomyslenia. Automat ześrubowuje rury jedną po drugiej i tylko dzięki temu rura rośnie w miarę pracy maszyny.

— Czy można liczyć na niezawodne funkcjonowanie automatu?

— Ta część obliczona i zaprojektowana została osobiście przez Trubnina — z dumą odpowiedział dyrektor, jak **gdyby** to było najbardziej przekonującym argumentem.

W małej dyżurce, przylegającej do wysokiego płotu, pełnił swą służbę Panfierycz.



— Wielkie dziś święto — zwrócił się do Katuszkin wychodzącego z placu. — Jak tam, wszystko w porządku?

— Wszystko w porządku, dziadku — pośpiesznie odpowiedział zagadnięty.

Był czymś bardzo zatroskany,

Ku zdumieniu Panfierycza Katuszkin podszedł do jego wnuka, Pieti który bawił się z dziećmi opodal dyżurki, i zaczął z nim mówić o czymś. Wysłuchawszy konstruktora Pietia rzucił się pędem i skrył się za najbliższym pagórkiem, zarośniętym niewielkimi, zielonymi krzakami.

Jeszcze bardziej zdziwił się Panfierycz. gdy usłyszał, jak inżynier Krymow, który ukazał się w przejściu niewątpliwie w tym celu, żeby spotkać Katuszkin, zapytał cicho:

— Umówiliście się co do sygnału?

— Tak... Pietia jest łącznikiem — odpowiedział cicho Katuszkin. Ostatnie przygotowania były na ukończeniu.

Zapuszczono wreszcie silnik. Metalowa konstrukcja drgnęła, dał się słyszeć głuchy warkot dużych kół zębatych.

Szeroki stożek, obracając się szybko, dotknął ziemi, wznosząc potężną chmurę pyłu i grudek ziemi, i z przeraźliwym gwizdem skrył się w tym tumanie. Zaczęły pracować transportery wysypując ze swych gardzieli czarną ziemię. Dało się słyszeć rytmiczne szczęknięcie automatu ześrubowującego rury.

Ludzie jeszcze ciasniej zwarli się pierścieniem dokoła maszyny.

Przy tarczy rozdzielczej stał Piotr Antonowicz Trubnin. Patrzył spokojnie przez wielkie, rogowe okulary, czuwając nad przyrządami kontrolnymi.

Nie podobna było odgadnąć, co się dzieje w duszy tego człowieka. Mo-

żliwe, że był zdenerwowany nie w mniejszym stopniu niż inni, ale nikt nie potrafiłby tego stwierdzić.

Pomału obraca Trubnin wielkie koło sterowe. Monotonna pieśń maszyny zaczyna dźwięczeć o ton wyżej. Szybciej szczęka automat. Wskazówka przyrządu kontrolnego, wykazującego szybkość pogrążania się głowicy świdra w ziemię, wznosi się.

— Chyba dość, Piotrze Antonowiczu — mówi stojący obok dyrektor — Zbliżamy się do kresu...

Szum powodowany przez głowicę świdra, wgrzyzającą się w kruszec, cichnie w miarę pogrążania się głowicy w ziemię. Słychać tylko słaby, jednostajny szmer trybów i szczękanie automatu.

Piotr Antonowicz znów obraca sterowe koło, zwiększając szybkość wiercenia. Wskazówka pomału zbliża się do jaskrawoczerwonej linii.

Dyrektor nie może spokojnie ustać na miejscu: wyciąga rękę w kierunku Trubnina, to znów cofa ją, wyjmując nie wiadomo po co notes z kieszeni, a potem go chowa.

Budowniczo wie maszyny stoją wstrzymując oddech.

Ale oto wskazówka mija czerwoną linię i zamiera. Maszyna, mimo że osiągnęła tempo szybsze od projektowanego, pracuje nadal dokładnie. Tylko nieco gwałtowniej niż dotąd wstrząsa się jej kadłub.

Piotr Antonowicz schodzi z pomostu, jak gdyby w ten sposób chciał wyrazić, że zrobił wszystko, co do niego należało, i więcej już nic zrobić nie można.

W powietrzu rozległ się potężny okrzyk „hura!”.

Ku ogrodzeniu terenu doświadczalnego zbliżyło się kilku rzemieślników. Między nimi był i Pietia. Podejrzliwie oglądał się dokoła, jak gdyby zamierzał wdrapać się na płot,

Panfierycz wyskoczył z budki i pogroził wnukowi.

— Ja ci... dam... — zawołał. — Widzicie, co wymyślił.

Tymczasem hałas na placu doświadczalnym zaczął cichnąć. Obecni zdążyli już powinszować budowniczym świdra i zabierali się do wyjścia. Nadeszła właśnie pora obiadowa. Szybkobieźny świder miał kontynuować pracę. Po upływie paru godzin komisja odbiorcza zamierzała powrócić na miejsce próby, by przekonać się, że mechanizm pracuje bezbłędnie.

— Konstantynie Grigoriewiczu — zwrócił się Batia do dyrektora. — Chciałbym zamienić z tobą parę słów na osobności.

Ujął Gremiakina pod rękę i odprowadził go na bok. To, co powiedział Batia, najwidoczniej poruszyło dyrektora. W podnieceniu wykrzyknął na cały głos:

— To nie może być! Nie uwierzę, dopóki sam nie zobaczę... Zaproponuj to komisji...

Batia zbliżył się do członków komisji z następującymi słowami:

— Korzystając z waszej obecności na dzisiejszej próbie, postanowiliśmy pokazać wam jeszcze jeden mały wynalazek. Czy zgodzicie się go obejrzeć?

Członkowie komisji odpowiedzieli twierdząco.

— W takim razie — dajcie tu maszynę — polecił Batia Katuszkinowi. Katuszkin rzucił się ku wyjściu.

Minął kwadrans, a konstruktor wciąż nie wracał. Wszystkich opanowało zniecierpliwienie.

— Gdzie się znów podział? Co to za wynalazek? Co to ma znaczyć?— dały się słyszeć zdziwione głosy współpracowników instytutu.

Niebawem jednak stało się coś, co sprawiło, że wszyscy zapomnieli o Katuszkinie.

Oto do stukotu, który wydawał świder i do którego wszyscy się zdążyli już przyzwyczaić, zaczął się wplątywać jakiś obcy, nowy dźwięk.

Był to zły znak. Wskazywał, że regularna praca mechanizmu została czymś zakłócona. Doświadczeni mechanicy zawsze poznają niedokładność w pracy maszyny po zmienionym dźwięku, jaki nagle zaczyna ona wydawać; podobnie nieregularne bicie serca pozwala lekarzom skonstatować chorobę. Ale maszyna była mało jeszcze znana i nikt nie wiedział, co oznacza ten nowy, wydobywający się z niej dźwięk.

— Zdaje mi się, że nie należało przeciążać maszyny — zauważył jeden z członków komisji, wsłuchując się uważnie.

Geolog Sjemionowa podniosła i pokazała mówiącemu kawałek kamienia wyrzuconego przed chwilą z transportem.

— Kwarzec — wyjaśniła — głowica świdra zetknęła się z pokładem kwarcu i prawdopodobnie dlatego pojawił się inny dźwięk.

Lecz inżynierowie wiedzieli, że to przypuszczenie jest mylne. Głowica świdra zagłębiła się tak bardzo, że szum rozbijanego pokładu nie mógł już osiągnąć powierzchni.

— To nic, towarzysze. Nie trzeba się spieszyć. Zobaczymy, co będzie dalej — usiłował uspokoić obecnych Batia.

Tymczasem szum wzrastał. Można już było określić, skąd się wydobywa. Okazało się, że nie maszyna jest temu winna. Szum wydobywał się spod ziemi, niedaleko, tuż obok...

— Ziemia się unosi, towarzysze — zawołał ktoś cofając się.

Wszyscy zwrócili się w jego stronę.

Pęczniąc pod wpływem niewidzialnej siły, ziemia poruszyła się i ukazały się metalowe części jakiegoś mechanizmu...

Ludzie stali jak zaczarowani. W ciągu paru sekund mała maszyna wypełzła na powierzchnię ziemi i niezaradnie, jak gdyby wyjęta z wody ryba, poruszała swoimi metalowymi szczękami. Ostre zęby, umieszczone na przodzie cylindra błyszczącego jak lemiesz pługa, obracały się w dal-

szym ciągu. Mechanizm kręcił się po ziemi, ciągnąc za sobą elektryczne przewody, wylaniające się z utworzonego otworu.

— Zupełnie nieprawdopodobna historia. Skąd się to wzięło? — dały się słyszeć zdziwione okrzyki.

— To jest model ruchomej maszyny, poruszającej się pod ziemią, wynalazek towarzysza Krymowa — powiedział Batia.

Wszyscy skupili się dookoła maszyny, która przed chwilą wyszła spod ziemi.

— I ja nic o tym nie wiedziałem! — zawołał dyrektor odprowadzając na bok Batię. — Czemu nic mi o tym nie powiedziałeś?

— Konstantinie Grigoriewicz! Drogi mój! — odpowiedział Batia kładąc rękę na ramieniu przyjaciela. — Czyż w okresie terminowej i odpowiedzialnej pracy przy szybkobieżnym świdrze można było odrywać twoją uwagę z powodu takiego drobiazgu, jakim była budowa maleńkiego modelu... Przecież nie wiadomo było, jakie będą rezultaty. Krymowowi trzeba było dodać otuchy. Prócz tego, jeżeli chłopcy po pracy chcieli się zająć tą maszyną, czyż mieliśmy im tego zabronić? A nuż coś z tego wyjdzie. I wyszło... Czy słusznie postąpiłem?

— Wcale w to nie wątpię. Najzupełniej słusznie. Rzeczywiście nie mógłbym poświęcić tej sprawie czasu ani uwagi. A nuż bym się tym zainteresował... — mówił Gremiakin, mocno ściskając rękę Bati. — Chodźmy, obejrzymy dokładnie...

Oczy dyrektora płonęły. Podeszedł do mechanizmu i ukląkł przed nim.

— Hura — aaaa! — rozległy się zza płotu głosy chłopców. To młodzi budowniczowie modelu wyrażali swój zachwyt z powodu pomyślnego zakończenia próby.

— Z jakiego punktu wypuszczono model? Gdzie budowniczowie tej maszyny? — rozległy się głosy obecnych, którzy zrozumieli ze słów Bati,

o co chodzi. — Więc kierowano nią przy pomocy przewodów... Wspaniale utrafili! Zuchy!

— To nadzwyczajne — dał się słyszeć rozentuzjasmowany głos inżyniera Cesarskiego.

Ku maszynie przecisnął się Piotr Antonowicz. Uważnie i spokojnie zaczął obserwować pracę mechanizmu.

— Założenie prawidłowe... Rylce z ujemnym kątem natarcia. Zuchy — z zadowoleniem powiedział Trubnin. — Skąd ją wysłali? — zwrócił się do Bati.

— Zza wzgórza znajdującego się niedaleko stąd... — odpowiedział zapytany. — Przeszła pod ziemią i wyszła tu.

Prezes komisji zwrócił się do Bati.

— Dziękuję za pokazanie modelu — powiedział. — Nie wątpię, że podobne maszyny mają ogromną przyszłość.

— Hej, towarzysze! — zawołał dyrektor — teraz zbudujemy taką maszynę do badań geologicznych, że ha! Ach, zuchy! Gdzie jest Krymow?

— Kry mowa! — zawołała Sjemionowa. — Dajcie tu autora i budowniczych maszyny.

— Autora! Budowniczych! — rozległy się głosy.

Ale Krymowa nie znaleziono. Wyszedł podzielić się radością z powodu udanej próby z przyjaciółmi, których większość nie miała prawa wstępu na teren doświadczeń. Na miejscu był tylko Katuszkin.

— Czyż to nie jest romantyzm? Czyż to, towarzysze, nie jest poezja? — zaczął konstruktor wzruszonym głosem. — Zapał, którym byliśmy porwani, powołał nas do budowy tego modelu — wyciągnął rękę w kierunku podziemnego mechanizmu. Uchwyciwszy jednak niezbyt przychylnie spojrzenie stojącej obok Sjemionowej. Katuszkin zaciął się.

A tymczasem z wiertłem szybowym działo się coś niedobrego. Coraz

mniej kruszcu wysypywała paszcza transportera. Maszyna zaczęła hu-
czeć, jak gdyby jej było ciężko, jak gdyby ją zmęczyła praca.

Nikt nie zauważył, kiedy z koła wyszedł inżynier Trubnin. podszedł
do deski rozdzielczej i stanął u sterownicy. Coraz mniej ziemi wyrzucała
maszyna.

Nareszcie zwróciło to uwagę dyrektora. Wraz z Batią pośpiesznie udali
się w stronę świdra. Za nimi podążyli inni.

— Piotrze Antonowiczu, transporter źle pracuje. Czy widzicie to?

— Widzę... — cicho odpowiedział inżynier i nacisnął na dźwignię.
Szum ucichł natychmiast. Maszyna zatrzymała się. Dokoła zapanowała
cisza.

Tylko wysoko na niebie nie przestawały głośno śpiewać polne ptaki...



CZĘŚĆ DRÓGA

Rozdział pierwszy

Krymow położył się na otomanie i pograżył się w rozważaniach.

Udana próba maleńkiego modelu otwierała szerokie horyzonty dla wielkiej prawdziwej maszyny „podziemnej łodzi”, prującej głębiny ziemi. Teraz nic nie zatrzyma i nie zmieni biegu wydarzeń.

Oleg Nikołajewicz widział już siebie siedzącego przy sterze wielkiej „podziemnej łodzi”. Na telewizyjnym ekranie dźwiękowego radaru przesuwają się bajeczne obrazy podziemnego świata.

„Aha, lokalizator” — pomyślał Krymow. — Coś utrudnia zakończe-

nie pracy nad nim w laboratorium Cesarskiego. Nie możemy przecież wyruszyć w podróż podziemną nie mając w maszynie radiolokalizatora. Trzeba się dowiedzieć, co się tam dzieje u Modesta Nikandrowicza...

W tej właśnie chwili ktoś delikatnie zapukał do drzwi. Oleg Nikołajewicz zerwał się z tapczanu i skierował ku drzwiom.

Na progu ukazała się Zoja Władimirowna.

— Wybaczcie mi spóźnioną wizytę — zaczęła. — Muszę pomówić z wami w bardzo ważnej sprawie.

Przysuwając gościowi fotel, Krymow zauważył, że Sjemionowa jest czymś zdenerwowana.

— Przede wszystkim... chcę wam powinszować — Zoja Władimirowna wyciągnęła rękę do inżyniera. — Cieszyłam się i byłam dumna z was i z ludzi, którzy pomogli w realizowaniu waszej idei.

— Ludźmi, którzy stracili tyle, tyle sił, żeby dopomóc w urzeczywistnieniu projektu, rzeczywiście można się chlubić. Co się zaś tyczy mnie, to prawdopodobnie jest jeszcze za wcześnie — odpowiedział jej Krymow.

— Ale... przychodzę do was z prośbą... — ciągnęła Sjemionowa.

— Postaram się ją spełnić.

— Czy pamiętacie naszą rozmowę w parku przed waszym występem w świetlicy?

Sjemionowa umilkła na chwilę, a potem powiedziała patrząc mu prasto w oczy:

— W chwili obecnej Piotrowi Antonowiczowi Trubninowi jest bardzo ciężko... Nie jest on człowiekiem zbyt towarzyskim i dlatego jest mu podwójnie ciężko... Próby świdra kopalnianego trzeba było przerwać. Możliwe, że jest to drobna usterka, która jutro rano zostanie usunięta, możliwe jednak, że cała konstrukcja jest wadliwa i wymaga gruntownej

przeróbki. Wyobraźcie więc sobie człowieka z natury skrytego, który ma mało przyjaciół. Siedzi w tej chwili sam w mieszkaniu i przeżywa swoje niepowodzenie. Od decyzji komisji zależy jego autorytet i imię nieskazitelnego i doświadczonego fachowca.

— Cóż mam zrobić? — spytał Krymow zakłopotany, domyślając się ku czemu zmierza jego rozmówczyni.

— Odwiedzić go...

— Nie wiem, czy będzie chciał mnie widzieć? Mówiliście z nim o tym?

— Nie, nie mówiłam, ale jestem głęboko przekonana, że powinniście pójść do niego... Właśnie wy. Zapewne wiecie dlaczego?

Krymow ociągał się z odpowiedzią.

— Niepowodzenie Trubnina zbiegło się z udaną próbą waszego modelu — wytłumaczyła Sjemionowa. — Musicie go odwiedzić i dowieść w ten sposób, że w najmniejszym stopniu nie straciliście wiary w niego. Rozumiecie mnie?

Oleg Nikołajewicz wstał.

— Macie rację... — odpowiedział cicho. — Ale czy Piotr Antonowicz zechce mnie widzieć teraz u siebie?

— Myślę, że tak. Przecież on was bardzo szanuje.

— Mnie?

— Tak, was.

Krymow ze zdziwieniem spojrział na Sjemionową. Przypomniał sobie, jak chłodno rozmawiał z nim zawsze Trubnin. Co prawda Piotr Antonowicz był oschły absolutnie wobec wszystkich.

— On szanuje was za tę zaletę, której sam nie posiada --- za wasz romantyczny stosunek do twórczości technicznej...

— Pójdę do niego. Sądzicie, że należy zrobić to teraz?

— Tak, teraz... Ja też przyjdę tam, tylko trochę później.

Sjemionowa podniosła się i nie żegnając się wyszła.

Dziwne uczucie ogarnęło Krymowa, gdy zamknął za nią drzwi. Oleg Nikołajewicz przypomniał sobie, że po zakończeniu próby świdra kopalnianego ani razu nie podszedł do Piotra Antonowicza, nie powiedział ani słowa. Niespodziewane powodzenie sprawiło, że zapomniał o wszystkim na świecie.

„Jak to niedobrze...” — pomyślał wychodząc na ulicę.

Na dworze owionęła go ciepła, łagodna, południowa noc. Ledwo odczuwalny wiatr, jakby obawiając się zakłócić uroczystą ciszę, ostrożnie poruszał liśćmi drzew.

Nisko nad horyzontem, jak gdyby przyklejony do aksamitnego nieba, wisiał wąski sierp księżyca.

Krymow wolno szedł aleją prowadzącą do gmachu, w którym mieszkał Trubnin. Pod nogami cicho chrzęścił piasek, na którym kładły się cienie rzucane przez liście.

„Co mu powiem? — męczące myśli chodziły mu po głowie. Coraz bardziej zwalniał kroku. — Przyszedłem wyrazić mu współczucie... Głupio. Spróbuję omówić techniczne przyczyny niepowodzenia. Ale naprawdę, co się tam mogło stać?...”

Krymow zatrzymał się. Przez pewien czas stał, niby wsłuchując się w słaby szum wiatru, a później energicznie zawrócił w przeciwnym kierunku. Oto furтка — wyjście z parku. Oleg Nikołajewicz obejrzał się.

Koło ogrodzenia trzypiętrowy dom. Dalej, za furtką, rozłożyło się pole.

Niedaleko widnieje ciemny płot terenu doświadczalnego. Krymow skierował się tam szybkim krokiem.

W dyżurce spotkał Panfierycza. Staruszek uważnie sprawdził przepustkę i wzruszył ramionami, zdziwiony tak późnym przybyciem inżyniera. Na prośbę Krymowa dozorca wręczył mu elektryczną latarkę z akumulacją.

torem.

Oleg Nikołajewicz znalazł się w obrębie ogrodzenia. Rzucając na ziemię fantastycznie długi cień, stoi oświetlona, blaskiem księżyca maszyna wiertnicza. Obok — przypominając z daleka piramidę egipską — leży wysoka, stożkowata kupa ziemi. Ziemię tę zdążył wyrzucić na powierzchnię świder wiertniczy przed zatrzymaniem.

Krymow zbliżył się do szerokiego otworu i skierował tam olśniewający snop światła elektrycznego. Pionowa ściana znikła, zdawało się, w bezdennej głębi. Światło ginęło w gęstym, nieprzeniknionym mroku. Zszybu ciągnęło wilgocią.

Inżynier przesunął światło latarki na grubą, stalową rurę, która zagłębiała się pod ziemię w środku szybu. Obok niej, jak gdyby ciągnące się bez końca schody, opuszczały się w dół czerpaki pogłębiarki. Były one jeszcze napełnione ziemią: zastopowany mechanizm nie zdążył wyrzucić jej na powierzchnię.

Krymow potracił nogą prostokątny łańcuch pogłębiarki. Łańcuch zakoleśniał się i równocześnie zaturkotały żelazne czerpaki z wilgotną ziemią.

— Wytrzyma.. — mruknął Krymow i zaczął pośpiesznie zdejmować marynarkę.

Po chwili już schodził ostrożnie w dół wykorzystując czerpaki jako stopnie. Nie było to łatwe. Cały łańcuch głucho dzwonił kołysząc się nieustannie, na głowę inżyniera sypały się grudki ziemi. Światło elektrycznej latarki, przymocowanej do pasa, oświetlało tylko niewielki odcinek, miejsce zaś, na którym trzeba było stawiać nogi, pozostawało w cieniu. Krymow wyraźnie słyszał własny oddech, odbijający się echem od ścian i zwielokrotniony przez głęboką studnię.

Długie, nieskończenie długie wydawało się to zejście. Krymow zatrzymywał się, by odpocząć, i znów schodził coraz niżej. Na głowę w dalszym

ciągu sypała się ziemia, oślepiając oczy, wpadając za kołnierz.

Nareszcie noga dotyka twardego oparcia. Oleg Nikołajewicz kieruje światło latarki na skomplikowane urządzenie, znajdujące się przy zakończeniu pogłębiarki. Uważnie ogląda go ze wszystkich stron. Jedną ręką musi się trzymać stalowej rury, w przeciwnym razie ryzykuje, że zsunie się w dół po śliskiej, mokrej glinie powierzchni stożka.

Krymow nie widzi śladów uszkodzenia. Dlaczego więc pogłębiarka przestała podawać na powierzchnię rozpulchnioną glebę? Ziemia, która trafiła do czerpaków, ułożyła się grubą warstwą dokoła stożka obok ściany. Być może, że ta właśnie warstwa hamuje pracę maszyny.

W głowie inżyniera zaświtało nagle przypuszczenie. Dla sprawdzenia, czy istotnie taka właśnie jest przyczyna złego funkcjonowania świdra, konieczne było obejrzenie głowicy w tym stanie, w jakim znajdowała się w chwili zatrzymania.

Po wydobyciu agregatu na powierzchnie nie dałoby się już tego stwierdzić.

Krymow schyla się niżej. Usiłuje przestawić na inne miejsce trochę zdrętwiałą nogę. Wówczas właśnie wydarzyło się to, czego starał się uniknąć wszystkim: siłami. Noga ześlizguje się. Gruba rura, której trzymał się Krymow lewą ręką, doguje się nagle. Krymow pada w *dół*. Prawa noga uwięzła pomiędzy dwoma metalowymi częściami maszyny. Gwałtowny ból w stawie zmusza Krymowa do głośnego krzyku. Próbuje wyswobodzić nogę, przeklinając swoją nieostrożność.

* *

Gabinet Trubnina tonął we mgle tytoniowego dymu. Inżynier palił bez przerwy i duża popielniczka, stojąca na biurku, już dawno była przepelniona niedopałkami.

— Dziwię się, że Krymowa dotychczas **nie** ma — odezwała się **siedzą-**ca w fotelu Zoja Władimirowna.

— Prawdopodobnie już nie przyjdzie — niepewnie odpowiedział Piotr Antonowicz.

— Przyjdzie. Radził się mnie, czy wypada mu was odwiedzić.

— Żeby złożyć mi wyrazy współczucia...

— Dlaczego współczucia? Czyż niepowodzenie, które się wydarzyło, nie tyczy się również jego? Czyż nie pracował wraz z wami nad projektem świdra?

Trubnin zrobił nieokreślony gest.

— Co go może teraz obchodzić uszkodzenie zwykłego, kopalnianego świdra — zaczął mówić cicho. — Myśli jego są daleko i bujają w obłokach... Co dla niego znaczy pogłębiarka obliczona i zaprojektowana wypróbowanymi metodami. Pracował gorliwie i solidnie w moim biurze konstrukcyjnym. Wyobrażam sobie jednak, jak mu było ciężko, kiedy tuż obok szła robota nad modelem jego maszyny.

— Piotrze Antonowiczu!

— Czy mam prawo wymagać od niego zainteresowania moją „prozaiczną” pogłębiarką — ciągnął dalej Trubnin zapalając nowego papierosa. — Jego przeznaczeniem jest odkrywać nowe mechanizmy, a moim budować dawno znane maszyny wiertnicze...

— Chyba już pójdę — powiedziała Zoja Władimirowna podnosząc się.

„A jednak Krymow nie przyszedł... — myślała idąc po schodach, — Czyżby Trubnin miał rację?”

Rozdział drugi

Tego dnia inżynier Cesarski powrócił do domu znacznie później niż zwykle.

Zjadł pośpiesznie kolację i pod pozorem, że ma pilną pracę do wykonania, natychmiast zamknął się w swoim gabinecie.

W rzeczywistości nie miał żadnej pilnej roboty. Strapiony, chodził z kąta w kąt. Na jego zazwyczaj uśmiechniętej twarzy osiadł smutek.

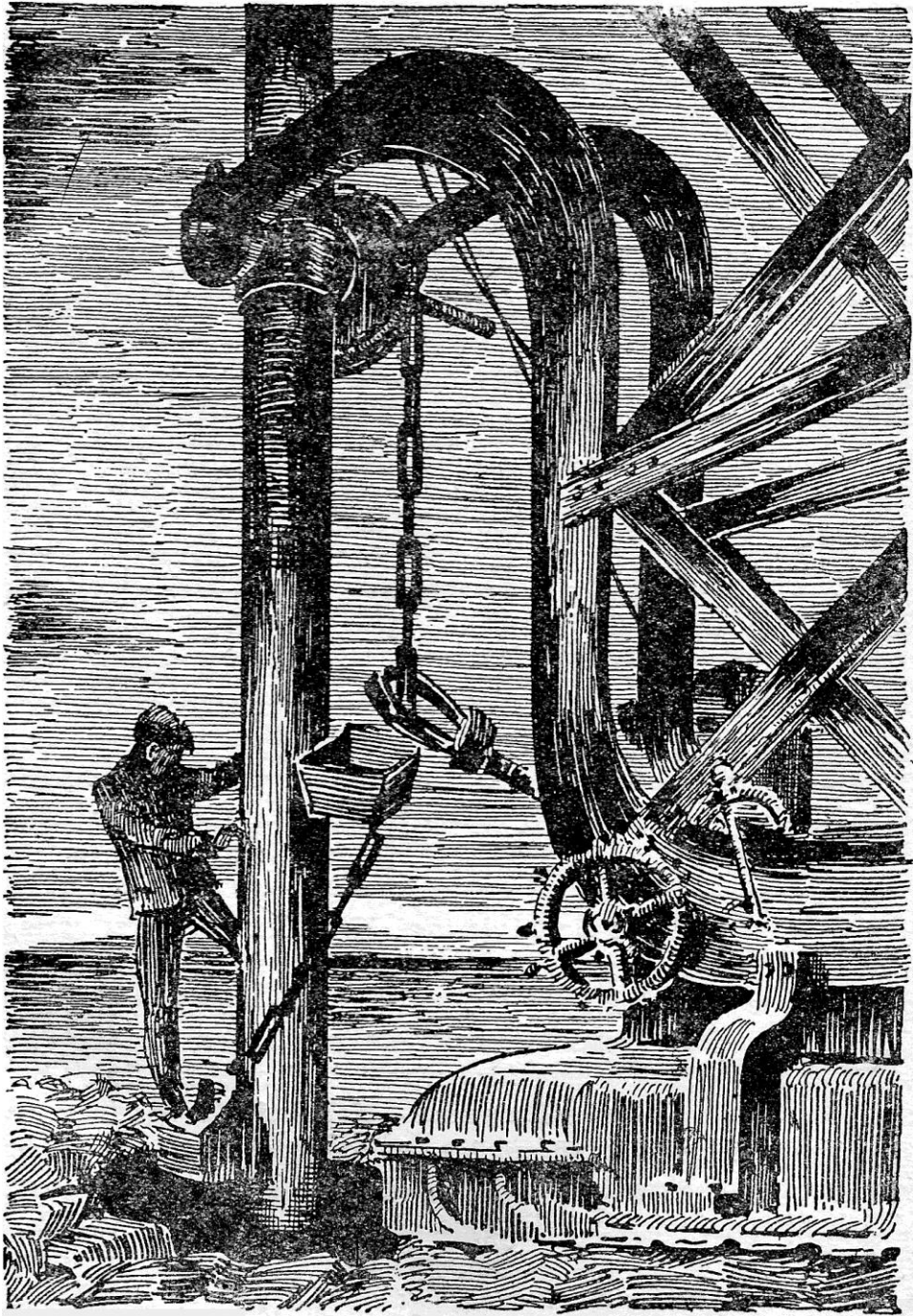
Podszedł do okna. by opuścić roletę i zatrzymał się na chwilę. Z wysokości czwartego piętra widać było zalane światłem księżycy pole i płot dokoła terenu doświadczalnego, na środku którego czerniała sylwetka świdra kopalnianego.

— Więc to tak... — mówił do siebie inżynier odchodząc od okna i znowu pogrążając się w smutnych rozmyśleniach.

Wypadki dnia dzisiejszego wzburzyły Modesta Nikandrowicza. Chodząc po gabinecie wciąż rozmyślał o niespodzianym ukazaniu się spod ziemi maleńkiego modelu maszyny Krymowa i o burzliwym zachwycie obecnych przy tym ludzi.

Cesarski był trochę zazdrosny o powodzenie, które przypadło w udziale Krymowowi. Ten mały, bardzo sympatycznie wyglądający człowiek był niezwykle ambitny. Jednak przy opracowywaniu podziemnego radaru dźwiękowego, nad którym trzymał się już od dwóch lat. niepowodzenia prześladowały go jedno po drugim. A tu -wypadło mu być świadkiem takiego sukcesu młodego inżyniera!

Cesarski zaczął przeglądać we wspomnieniach swą przeszłość. Myśl jego wciąż powracała do czasów, kiedy wynalazł defektoskop * „CS—37” — przyrząd, który przyniósł mu sławę wielkiej miary fachowca. Modest Rikandrowicz podszedł do ściany, na której widniały liczne fotografie.



Zdjęć jest dużo. Na przykład na jednym uwidoczniono go wraz z ministrem, przy próbie aparatu „CS—37” w polu. Co prawda fotograf uchwycił niezupełnie szczęśliwy moment. Minister patrzy gdzieś w bok jakby nie zwracał uwagi na stojącego obok inżyniera.

Na drugim zdjęciu — Modest Rikandrowicz w towarzystwie swych najbliższych współpracowników. U dołu wykaligrafowano wyraźny napis „Modestowi Nikandrowiczowi Cesarskiemu, ku pamięci uroczystego dnia zakończenia pracy”. Pod fotografią widnieje wiele podpisów.

Wzrok Cesarskiego zatrzymuje się na następnym zdjęciu. Oto on i dość sławny uczony a zagranicy stoją obok siebie.

W pamięci Cesarskiego wyłaniają się kolejno wszystkie momenty pobytu gościa w Instytucie naukowo-badawczym. Przypomina sobie, jak uprzedzające grzeczny był ten ckliwie uśmiechający się, zgrzybiały starzec. Ile pochlebnych i jak się Modestowi Nikandrowiczowi zdawało, wyjątkowo komplementów usłyszał od niego w obecności innych

— Pan jest niezwykle utalentowanym inżynierem! Ho, ho!.. Bardziej niż utalentowanym — mówił starzec. — Jaka szkoda, że nie mogę wypytywać pana o wszystko. Rozumiem, że to są tajemnice waszej firmy... Mówmy raczej o szczegółach.

„Ma bardzo dużo taktu i skromności” — pomyślał wówczas Cesarski, Inżynier z trudem hamował chęć opowiedzenia o swych osiągnięciach. Pragnął zaimponować zagranicznemu gościowi.

* **Defektoskop** aparat służący do **wykrywania** niewidocznych gołym okiem defektów **i** wad **w** metalach.

Modest Nikandrowicz odsunął się od ściany i znów zaczął chodzić po gabinecie,

„Co hamuje naszą pracę? — myślał z wysiłkiem. — Wyniki są wcale niezłe. Nie można zaprzeczyć. Laboratoryjny model radaru dźwiękowego już działa. „Prześwieca” ziemię na głębokość pięciu metrów. Na małym fluoryzującym ekranie aparatu telewizyjnego można zobaczyć obraz geologicznych nawarstwień. Jeszcze trochę wysiłku, a będzie można zwiększyć zasięg aparatu do pięćdziesięciu... stu... może nawet dwustu metrów... Może to jednak wcale nie jest takie proste? Może lepiej zadowolić się osiągniętym sukcesem i rozpocząć eksploatację aparatury zdolnej do prześwietlania pokładu ziemi na głębokość pięciu metrów?

Przecież to już nie jest tak skomplikowane!... Za miesiąc lub dwa zdoła wyprodukować potrzebny przyrząd o ograniczonym zasięgu działania. Tak, ale... — Modesta Nikandrowicza niespodzianie zatrzymuje nowa myśl. „A jeśli powiedzą wówczas: No i cóż ten Cesarski? Po takim wspaniałym wynalazku jak „CS—37” mieliśmy prawo oczekiwać czegoś nadzwyczajnego! A on?...” Nie! Trzeba naprawdę osiągnąć jak najlepsze rezultaty badań i skonstruować przyrząd, który dosłownie dokona przewrotu w technice poszukiwań geologicznych,

„Technika radziecka w dziedzinie badań geologicznych powinna otrzymać i otrzyma najdoskonalszy w świecie przyrząd” — postanawia Modest Nikandrowicz.

Zbliżył się do biurka i usiadł na miękkim, obitym skórą fotelu.

Przypomniał sobie, że już przed dwoma miesiącami w wydziale zaopatrzenia instytutu złożone zapotrzebowanie na oprowadzenie z zagranicy specjalnego przyrządu pomiarowego, który niedawno ukazał się na rynku. Przyrząd ten powinien być pomocny w doprowadzeniu do końca pracy nad radarem.

Kiedy po raz pierwszy stwierdzono w pracowni potrzebę posiadania takiego przyrządu pomiarowego, Modest Nikandrowicz bez większego wysiłku dokonał odpowiednich obliczeń i obmyślił schemat aparatu. Według jego wskazówek wykonano prowizoryczny przyrząd zwany makietą. Na podstawie doświadczeń z próbnym modelem można było po dokonaniu nieznacznych zmian i ulepszeń zmontować pełnowartościowy przyrząd.

Początkowo Modest Nikandrowicz bardzo się szczylił swym pomysłem i nawet umieścił na ten temat w fachowej prasie artykuł teoretyczny. Lecz z biegiem czasu zapalił się do innej, ważniejszej pracy i pozostawił aparat pomiarowy jako model laboratoryjny, nie bacząc na to, że stary i doświadczony konstruktor Paweł Pawłowicz Czibisow niejednokrotnie prosił, aby pozwolił mu na własną rękę prowadzić dalsze prace nad ukończeniem modelu.

— Nie, nie — odpowiadał zazwyczaj Modest Nikandrowicz. — Mimo wszystko będzie to odrywało moją uwagę od zasadniczych spraw. Gdy mi się uda zepchnąć bieżącą robotę, sam się zajmę przyrządem.

Gdy jednak kiedyś w cenniku pewnej zagranicznej firmy Cesarski spostrzegł reklamę przyrządu przeznaczonego do tego samego celu, zapragnął dowiedzieć się, jak tam rozwiązano to techniczne zagadnienie.

Instytuty naukowo-badawcze niejednokrotnie dla kontroli i przeprowadzenia porównań nabywały zagraniczne aparaty. Toteż żądanie Cesarskiego, aby sprowadzić z zagranicy niewielki przyrząd pomiarowy, nie zdziwiło nikogo. Zgłoszenie przyjęto i obiecano dostarczyć niezbędny przyrząd w możliwie najkrótszym czasie.

I oto teraz Modest Nikandrowicz żyje pod wrażeniem, że pracę hamuje mu brak zamówionego przyrządu i że znajdującego się w pracowni modelu nie ma ochoty korzystać: zdaje mu się, że jest on mniej dokładny

od oczekiwanego przyrzędu.

„To jest oburzające — myślał Cesarski. — Upłynęło dwa miesiące, a przyrzędu wciąż nie ma. Czyż naprawdę będę musiał oderwać się od bieżącej pracy i zająć się wykończeniem mojego aparatu pomiarowego? Nie, to jest nie do pomyślenia w dzisiejszych warunkach”.

Modest Nikandrowicz podszedł do stołu i dostrzegł między papierami grubą przesyłkę pocztową. Zerwał opakowanie i zobaczył pismo, na którego okładce widniały maszyny geologiczne w różnych kolorach. Był to zagraniczny miesięcznik poświęcony zagadnieniom techniki poszukiwań geologicznych.

Przerzucił niedbale sztywne, skrzypiące w palcach karty pisma i nagle na jego twarzy ukazało się coś pośredniego między grymasem a uśmiechem.

— A cóż to? Skąd to wzięli? Ciekawe! — szeptał bezdźwięcznie.

Otworzył okno i zaczął chodzić po pokoju. Wreszcie pomału i niezdecydowanie skierował się ku drzwiom.

Po kilku minutach Modest Nikandrowicz szedł już parkową aleją przylegającą do domu.

— Nie jest to zbyt wielki zaszczyt, ale w każdym razie jeszcze jeden dowód uznania — szeptał idąc.

Księżyc wiszący wysoko na niebie, oblewał drzemiący park olśniewającym, srebrzystym blaskiem.

— Zojo Władimirowna! I wy też na spacerze? Co za cudowna noc! — radośnie zawołał Modest Nikandrowicz zobaczywszy idącą mu na spotkanie Sjemionową.

— Rzeczywiście, piękna noc — odpowiedziała zatrzymując się Zoja Władimirowna. — Przed chwilą byłam u Trubnina — dodała przyglądając się Cesarskiemu.

— Jakże się inżynier czuje? Na pewno ciężko przeżywa to niepowodzenie. I potrzebne to było?... Właśnie miałem zamiar wstąpić do niego. Sam nie wiem, czemu nie wstąpiłem? — mruknął Modest Nikandrowicz, usiłując przypomnieć sobie okoliczności, które przeszkodziły mu odwiedzić kolegę. — Naprawdę przykro mi... bardzo przykro...

— To, że wy go nie odwiedziliście, można wam jeszcze wybaczyć — w zamyśleniu ciągnęła Sjemionową — ale inni koledzy powinni się wstydzić...

Zoja Władimirowna zacięła się, nie wiedząc, czy ma mówić dalej.

— Kogo macie na myśli? — współczująco zapytał Modest Nikandrowicz.

— Krymowa...

— Ach, tak. To rzeczywiście nieładnie. Skorzystam z okazji i powiem wam że znalazłem dziś u siebie dosyć zabawną rzecz. Wyobraźcie sobie, wracam dziś do domu i widzę na stole lipcowy numer zagranicznego miesięcznika „Maszyny Geologiczne”. Przeglądam i ku memu zdumieniu spostrzegam swoje nazwisko. Co u diabła! Wszak nie pisałem! Nie będę przecież pisał do miesięcznika, który, jak wiadomo, dla przypodobania się firmom zagranicznym, zajmuje się tylko fałszowaniem naukowych i technicznych prawd! Okazuje się, że przetłumaczyli mój artykuł opublikowany przed rokiem w „Wiadomościach techniki geologiczno-obszaryjnej”. Przetłumaczyli, nie pytając nawet o pozwolenie! Po co? Równocześnie — proszę na to zwrócić uwagę — umieszczono go na czołowym miejscu.

— No więc co z tego? — zapytała z wyraźnym roztargnieniem Zoja Władimirowna.

— Pewnie, że nic nadzwyczajnego! Ciekawe jest jednak to, że liczą się z pracami naukowymi radzieckich uczonych. Gdy nasz instytut od-

wiedział znany zagraniczny uczyony, zresztą zapewne pamiętacie to zdarzenie...

Modest Nikandrowicz nie zdołał dokończyć zaczętego zdania. W pobliżu rozległy się przyciszone głosy, szelest kroków i zza zakrętu ukazało się dwóch ludzi. Poruszając się z trudnością i ciężko utykając na lewą nogę szedł Krymow. Podtrzymywał go dozorca Panfierycz.

— Olegu Nikołajewiczu! Co się stało? — zaniepokoił się Cesarski rzucając się na spotkanie.

— Nic groźnego!... — odpowiedział Krymow z trudem opanowując ból. — Taki głupi wypadek.

Sjemionowa ze zdziwieniem patrzyła na zbliżających się.

— Co się stało? — zapytała Sjemionowa, gdy Krymow zatrzymał się obok niej, wybrudzony gliną od stóp do głów.

— Wpadłem do jakiegoś dołu... — odpowiedział głucho Oleg Nikołajewicz unikając wzroku Sjemionowej.

— Bardzo to dziwne....

— A cóż w tym dziwnego! — wtrącił Panfierycz. — Naukowe prawo przyciągania ziemskiego. Tylko tyle. Gdybyście tam byli, też byście wpadli...

— Boli? — zapytała Zoja Władimirowna ujmując Krymowa pod rękę.

— Trochę. Zdaje się, że zwichnąłem nogę.

— Nie przypominam sobie, żeby tu były jakieś doły — powiedziała Sjemionowa w zamyśleniu.

— Czy to ma jakieś znaczenie? — denerwował się Cesarski. — Stało się! Fakt, że noga boli.

— Naukowy fakt! — poprawił Panfierycz i zauważył, że należy ruszyć dalej.

Rozdział trzeci

W ciągu dnia odwiedziło Krymowa wielu przyjaciół. Oleg Nikołajewicz leżał w łóżku z zabandażowaną nogą i prawie nie mógł się poruszać.

Odwiedzający współczuli mu i dziwili się niedorzeczności wypadku. Rzeczywiście, było to dość dziwne.

Z opowiadania Krymowa wynikało, że gdy wyszedł wieczorem do parku, potknął się o coś w ciemnościach i runął do dołu. W rezultacie naciągnęły mu się ścięgna w lewej nodze. O prawdziwym przebiegu wydarzeń Krymow nie opowiadał, Panfierycza zaś, który go spotkał, gdy z nadzwyczajnym wysiłkiem udało mu się wydobyć z szybu na powierzchnię, uprosił, aby nikomu nie mówił o jego bytności na terenie doświadczalnym.

Oleg Nikołajewicz uważał, że nie wypada opowiadać o tym, co zaszło w rzeczywistości. Bał się zwłaszcza, aby nie dowiedział się o tym Trubnin. Jakże niemądry wyda się inżynierowi taki postępek! Jeśli Krymow chciał sprawdzić słuszność swoich domysłów o przyczynach wadliwego funkcjonowania pogłębiarki, mógł przecież poczekać do rana i umówić się z głównym mechanikiem Instytutu, który by zorganizował bezpieczne zejście przy pomocy dźwigu.

Po południu, przy łóżku chorego zasiadł Kostia Utoczkin, który wzięt na siebie rolę pielęgniarki. Po pokoju kręcił się pies. Coraz to podchodził do Utoczkina i pytająco patrzył w oczy swego pana, jakby chciał powiedzieć: „Po co tu siedzimy? Czy nie lepiej byłoby biegać po parku?”

Chcąc rozerwać Olega Nikołajewicza, Kostia opowiadał o swych przeżyciach na froncie. Niedługo jednak byli sami. Inżynier Trubnin przyszedł odwiedzić Krymowa.

— Jak się miewacie? — zaczął sadowiąc się na krześle.

— Nieźle... Dziękuję... — odpowiedział Krymow trochę speszony.

— To, co się wam przytrafiło, to nie jest wypadek odosobniony. Przed dwunastu łąty jeden z moich przyjaciół potknął się o korzeń drzewa i musiał potem leżeć przez osiem dni. Chwileczkę... Tak, tak, istotnie, stało się to przeszło dwanaście lat temu.

Krymow odetchnął z ulgą.

„Nie wie, o co się potknąłem” — pomyślał.

— Jakże, Piotrze Antonowiczu, stoją sprawy ze świdrem kopalnianym?

Czy wydobyto już głowicę na powierzchnię? — zapytał pragnąc nadać rozmowie inny kierunek.

Trubnin wzruszył ramionami i odpowiedział z wyraźną niechęcią.

— Podniesiono. Na razie jednak nie znaleźliśmy przyczyny wadliwego funkcjonowania pogłębiarki.

— Czy zwróciliście uwagę na przekładnię ślimakową? Czy nie dostała się tam ziemia przez otwór do usuwania błota? — mówił dalej Krymow.

— To możliwe. Jutro z rana głowica będzie zdemontowana i wówczas się dowiemy. — Trubnin sięgnął do kieszeni i wydobył suwak. — Możliwe, że są jakieś defekty w łożyskach rolkowych w skrzynce biegów. Trzeba sprawdzić obciążenie — powiedział zamyślony i pogрузzył się w obliczeniach.

— Piotrze Antonowiczu! — zwrócił się do niego Krymow, unosząc się na łożku. — Mam do was prośbę...

— Słucham.

— Nie demontujcie głowicy świdra przed sprawdzeniem, czy...

Krymow począł tłumaczyć, co jego zdaniem należałoby sprawdzić.

— Czemu tak myślicie? Jakie macie na to podstawy? — zdziwił się

Trubnin. — Można by sądzić, że zbadaliście stan głowicy bezpośrednio pod ziemią. O nie, wasze rozważania nie wydają mi się przekonujące... Jutro zdemontujemy głowicę i wówczas wszystko się wyjaśni.

— W takim razie nie rozbierajcie beze mnie — prosił Krymow. — Przypuszczam, że jutro będę się już czuł lepiej i przyjdę na teren doświadczalny.

Piotr Antonowicz z niedowierzaniem spojrzął na mówiącego. Natarczywość Krymowa była dla niego niezrozumiała.

— Nie — odpowiedział stanowczo. — Nie wolno wara tego robić. Lekarz kazał wam leżeć jeszcze pięć dni i musicie ściśle zastosować się do jego rady.

Piotr Antonowicz złożył choremu życzenia szybkiego powrotu do zdrowia i odszedł.

— No, no... — odezwał się przeciągle Kostia po wyjściu Trubnina. — Myślę, że on i we śnie nie rozstaje się ze swym suwakiem. Dziwnie oschły z niego człowiek. W każdym jednak razie wolę go od mojego kierownika Cesarskiego...

— Dlaczego? — zdziwił się Krymów, dla którego nazwisko Cesarskiego kojarzyło się z miłymi i serdecznymi wspomnieniami.

Kostia przysunął się bliżej do chorego i miał zamiar opowiedzieć o swym zwierchniku. W tej samej jednak chwili rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł sam Cesarski.

Podszedł do Krymowa, szeroko rozkładając ręce, jak gdyby chciał go wziąć w ramiona.

— Jakie to okropne! Jakie to niedorzeczne! — wykrzykiwał zbliżając się do łóżka. — Akurat musiało się to stać w obecnej chwili. Co mówi lekarz?

— Kazał mi leżeć pięć dni.

— Ach, to fatalne! — ciągnął dalej Modest Nikandrowicz siadając na fotelu. — Z całego serca współczuję wam. Ale, ale... Przyszedłem przecież wam pogratulować. Zgadnijcie czego?

— Nie mam pojęcia...

— Przed chwilą słyszałem rozmowę... Już przygotowuje się zarządzenie — mówił ścisząc głos. — Zostanie zorganizowane nowe biuro konstrukcyjne, które zajmie się konstruowaniem maszyn poruszających się pod ziemią, a przeznaczonych do badań geologicznych. Biuro, które będzie się zajmowało opracowywaniem waszych pomysłów. I wy będziecie kierownikiem tego biura.

Krymow spodziewał się, że w instytucie będzie miał możliwość pracować nad swoim wynalazkiem, ale wiadomość, że w tym celu zostanie zorganizowany cały nowy dział i że jemu, młodemu inżynierowi, okazano tyle zaufania, była dlań wielką niespodzianką. Dlatego też dobrodusznie uśmiechający się Modest Nikandrowicz, który oznajmił mu tę radosną nowinę, wydał się Olegowi Nikołajewiczowi szczególnie miły i bliski

— To niemożliwe! — przemówił wreszcie, usiłując ukryć wzruszenie.

— Właśnie że tak! Cieszę się za was i jestem przekonany, że prawdziwa maszyna będzie szybko zbudowana i stanie się znakomitym narzędziem do badań geologicznych. Wiecie co? — Modest Nikandrowicz znów ściszył głos, jak gdyby miał zakomunikować jakąś tajemnicę. — Doszedłem do wniosku, że po zbudowaniu waszej maszyny, szybkobieżny świder kopalniany straci całą swoją wartość.

— Nie bardzo was rozumiem...

— Co tu jest niezrozumiałego? Wszystkim wiadomo, że wasza poruszająca się pod ziemią maszyna obniży znaczenie świdra szybowego. Czy się mylę? Wasza maszyna może przebić szeroki otwór w ziemi pod

każdym kątem. Komu więc, pytam, będzie potrzebny świder kopalniany? Naturalnie, szkoda Trubnina — ciągnął wzdychając Cesarski — tak wiele nad nim pracował... Ale cóż zrobić... Najważniejsze jest słuszne rozwiązanie sprawy.

— Nie godzę się z wami.

— Będziecie teraz ze sobą rywalizowali — mówił dalej Cesarski, nie zwracając uwagi na słowa Kryrnowa.

— Jak to rywalizowali? — ze zdziwieniem zapytał Oleg Nikołajewicz.

Dotknęły go słowa Cesarskiego. Wydało mu się, że siedzi przed nim nie Modest Nikandrowicz, zawsze życzliwie usposobiony dla wszystkich, ale ktoś inny.

Cesarski jednak szybko się zorientował i powiedział z przejęciem.

— Trubnin jest dość oschły, ale to nadzwyczaj miły człowiek. Trzeba go dobrze poznać, żeby go móc należycie ocenić.

— Modeście Nikandrowiczu, jak stoją sprawy z podziemnym radarem dźwiękowym? — zapytał Krymow chcąc w ten sposób zmienić temat rozmowy.

— Rozumiem, rozumiem — poderwał się Cesarski. — Obecnie radar interesuje was już bezpośrednio. Będziecie musieli wmontować go do waszej łodzi podziemnej. Tak, tak...

— O, do tego jeszcze daleko! Po prostu interesuje mnie ta wasza praca.

— Na razie nie ma nic specjalnie pocieszającego — westchnął Cesarski. — Kostia wie, ile trudności musimy zwalczyć. Gniewa mnie okropnie opieszałość naszego wydziału zaopatrzenia. Dotychczas nie mogę otrzymać z zagranicy przyrządu do pomiarów natężenia pola fal ultradźwiękowych, który zamówiłem już przed dwoma miesiącami. To jest wprost oburzające!

Modeście Nikandrowiczu! Przecież podobny przyrząd, zbudowany

według waszych rysunków, pracował wcale nieźle. Nie jest co prawda wykończony, nie został ostatecznie sformowany, ale wykonanie tego można by polecić Pawłowi Pawłowiczowi albo komuś innemu — wtrącił się do rozmowy Utoczkin.

— Zawsze się was żarty trzymają, Kostia — odpowiedział uśmiechając się Cesarski.

— Podziemny radar — to taki znakomity wynalazek... — powiedział w zamyśleniu Krymow. — Trzeba, żeby znalazł zastosowanie jak najprędzej. Po co zwlekać, Modeście Nikandrowiczu? Czyż nie można sobie poradzić bez tego zagranicznego przyrządu?

Cesarski wyprostował się, twarz jego spoważniała i przemówił uroczyście:

— Nie pozwolę, aby z murów mojej pracowni wyszedł przyrząd, póki nie będę miał pewności, że jest doskonały. Cenię moje nazwisko... Nazwisko budowniczego aparatu „CS-37“. Zdobyłem sobie dobre imię ciężką pracą i nie chcę go stracić.

— Czyż ktokolwiek mógłby wam odjąć dawne zasługi? — zdziwił się Krymow.

— Ho, ho!... Zapewniam was, że ocena człowieka z łatwością może ulec zmianie, gdy zamiast dobrego przyrządu ukaże światu jakieś draństwo. Cała dawna sława pójdzie w zapomnienie. Głośny i uznany specjalista przez tysiące lat może więcej nie stuknąć palcem o palec, lecz mimo to będzie autorytetem w swoim fachu. Wystarczy jednak, by wykonał marny przyrząd lub nawet rzecz pośledniejszego gatunku, a ludzie zapomną o wszystkim, co stworzył dotąd. Ocena ostatniego lwom będzie decydująca. Czyż nie mam racji?

— A jednak coś tu jest **nie w** porządku! — zaprzeczył **Krymow**. — Wyglądałoby waszym zdaniem, że raczej należy siedzieć beczynnym i

unikac ryzyka w koncepcjach technicznych, gdyż w razie niepowodzenia **stracić** można poprzednio zdobytą sławę.

— Nic podobnego! — uniósł się Cesarski. — Wcale nie to miałem na myśli... Rzecz jasna — trzeba pracować, lecz zawsze troszczyć się o to, by nowe osiągnięcia przewyższały dawne. Czyż jest w tym coś niewłaściwego? Przy sposobności... — rzucił niedbale, otwierając numer zagranicznego pisma. Spójrzcie: oto przekład mojego artykułu o aparacie pomiarowym służącym do określania natężenia tal ultradźwiękowych... Przedrukowali to, co jeszcze w minionym roku ogłosiłem w naszym miesięczniku.

— O ile się orientuję, jest tu mowa o przyrządzie, który jest wam obecnie niezbędny do pomyślnego wykończenia podziemnego radaru? — zapytał Krymow przyglądając się rysunkom.

— Istotnie. Zbudowałem taki przyrząd... Pracował jednak, jak to już wspominałem, wadliwie. Leży gdzieś tam w naszej pracowni. Pojęć nie mogę, dlaczego przedrukowali ten mój artykuł... Wszak za granicą ukazał się już podobny przyrząd. Prawdopodobnie oparto go na innych zasadach. Pamiętacie, Kostia, pokazywałem wam kiedyś ogłoszenie reklamujące ten przyrząd. Przecież właśnie wy chodziliście do wydziału zaopatrzenia, aby zamówić go dla naszej pracowni. I do tej pory go jeszcze nie ma...

— Czemu jednak, Modeście Nikandrowiczu, nie doprowadziliście swoich prób do końca? — zapytał Krymow.

— Jakby to powiedzieć? W gruncie rzeczy cały ten przyrząd to nic nadzwyczajnego. Wcale nie będzie miał szerszego zastosowania.

— Ale, jak widzicie, za granicą wcale się z tym nie liczyli i urządzenie, podobne do waszego, wyprodukowali. No, a teraz sprowadzacie je z zagranicy. To trochę dziwne...

Krymów nie mógł nie spostrzec, że po twarzy Cesarskiego, skąpo oświetlonej stojącą na biurku lampą, przebiegł lekki skurcz.

— Co wy mówicie? — szepnął.

— Pomyślcie tylko — ciągnął Krymow. Wasze prace nie dobiegły jeszcze do końca, a wyście pośpieszyli się z ich opublikowaniem. Po co? Wydaje mi się, że czas stracony na opracowanie artykułu należało raczej poświęcić na ostateczne wykończenie modelu...

Cesarski wstał.

— Chyba już pójdę... — powiedział cicho. — Jesteście osłabieni, Olegu Nikołajewiczu, i nie powinniście się denerwować. Zaczynamy się spierać... To niedobrze... Zapewniam was, że wcale nie mam do was żalu. Nie trzeba o tym myśleć! Leżcie spokojnie, wypoczywajcie, starajcie się jak najszybciej odzyskać zdrowie. Jeśli będziecie mieli ochotę, powrócimy później do naszej dzisiejszej rozmowy. No, już idę. Wszystkiego dobrego!

Do widzenia, Modeście Nikandrowiczu. Nie gniewajcie się na mnie... — powiedział Krymow przymykając oczy.

Cesarski ostrożnie, prawie na palcach wyszedł z pokoju.

— Obraził się — szepnął Krymow.

— A niech tam! — odpowiedział Kostia.

— O, nie, Kostia, tak stawiać sprawy nie wolno — ciągnął dalej Krymow unosząc się na poduszce. — To nie sztuka kogoś obrazić i rozgniewać. Znacznie trudniej jest przekonać kogoś, że się myli, że nie ma racji, Wcale nie mam zamiaru go bronić.

— Nie warto, Olegu Nikołajewiczu, myśleć o nim. Rzeczywiście, nie powinniście się denerwować... — zaniepokoił się Utozkin.

— O, nie, Kostia... Trzeba się takimi sprawami przejmować. Poglądy Cesarskiego są z gruntu błędne.

Wyczerpany rozmową, Krymow opuścił głowę na poduszkę. Twarz jego pałała: zapewne gorączka się wzmogła.

Znowu ktoś zapukał do drzwi.

Na progu ukazali się Eatia i Jemiołow.

— O ho — ho! — wykrzyknął Batia zbliżając się do łoża chorego — mówili, że to głupstwo,... a tu poważna sprawa!

Krymow otworzył oczy.

— Leżcie spokojnie — zatroskał się Batia. — Zaraz wychodzimy... Przynieśliśmy wam miłą nowinę, ale to już później... Czy dawno był tu lekarz? — zapytał Kostię.

— Przed trzema godzinami.

— Był tu Cesarski... — przemówił Krymow. — Trzeba mu pomóc. Iwanie Michajłowiczu. Jakoś tam u niego praca kuleje... i w ogóle coś mi się widzi, że z nim jest niedobrze.

— Wiem, wiem... wiem o wszystkim! Oczywiście, że mu pomożemy. Skarżył się na coś?...

— Chyba nie...

— Denerwuje go. że nie ma dotąd przyrzędu, który zamówił — wtrącił Kostia.

— No, więc leżcie spokojnie, Olegu Nikołajewiczu, i o niczym nie myślcie. Powracajcie do zdrowia, nabierajcie sił... — mówił Batia.

— Wy zaś, towarzyszu Utoczkin, przyjdźcie, proszę, jutro do mnie. Musimy się naradzić, jak pomóc Cesarskiemu...

— Trzeba poprosić i komsomolców z pracowni Cesarskiego — dodał Jemiołow.

— Dobrze, dobrze... poprosimy... Zrobimy wszystko, co trzeba.

Rozdział czwarty

— Dziwni bywają ludzie — powiedział Panfierycz popatrzawszy z ukosa na wnuka.

— A co takiego, dziadziu? — zapytał ów przygotowując się do snu.

— Otóż idę sobie, a naprzeciw mnie — inżynier Trubnin. „Dzień do-

bry, Panfieryczu — mówi. — Jak to się stało, że Krymow omal nie zła-
mał nogi? Gdzie się to mogło wydarzyć". No, jakże ja mam mu to wyjaś-
nić, jeżeli to sprawa poufna!

— Ale, coś ty, dziadziu!

— Ot masz i „coś ty” — z niezadowoleniem zamruczał Panfierycz. —
Idziemy dalej. Park — mówię — marny nadzwyczajny. Za każdym razem
z nadejściem wiosny posypuje się dróżki piaskiem, przycina się drzewa
w głównych alejach. Wypadek z towarzyszem Krymowem jest wyjątko-
wy. W ogóle po całym parku można chodzić bez obawy, nawet po naj-
bardziej ustronnych miejscach i spokojnie rozkoszować się przyrodą. „A
ty lubisz przyrodę?” — pyta mnie. „Wiadoma rzecz — odpowiadam. —
Raduje się serce, kiedy człowiek widzi, jak wszystko dokoła żyje i roz-
wija się!” — „A śpiew lubisz?” — „Także lubię. Jakże można żyć bez
śpiewu? Na wielkie sprawy waży się człowiek, jeżeli pieśń mu w duszy
dźwięczy...”

Piętka, który zdążył już położyć się do łóżka, popatrzył ze zdziwieniem
na dziadka, którego oczy lśniły młodym i swawolnym ogniem.

— Ot, towarzysz Krymow bardzo lubi śpiew! Na poważnym zebraniu
w klubie oświadczył: „Trzeba — powiedział — aby uczone i inżynier
ustosunkował się do swej pracy, jak do pieśni. Jest wówczas zdolny do
szlachetnych uczynków”.

— Ja dobrze znam Krymowa — z dumą powdedział Piet'ka. — Pra-
cowaliśmy razem nad modelem maszyny podziemnej. O jakim uczynku
mówisz?

— Wiesz, wiesz — rozgniewał się nagle Panfierycz. — Za dużo wiesz..
Powiedziano — sprawa poufna więc nie pytaj się.

*

* *

Cesarski wrócił do domu w fatalnym nastroju.

— Cóż to takiego? Jakie on ma prawo prawić mi morały? — mruzczał inżynier, zamykając na klucz drzwi swego gabinetu.

Modestowi Nikandrowiczowi zdawało się, że w ciągu całego życia, a przynajmniej od momentu, kiedy uzyskał rozgłos wybitnego inżyniera-konstruktora, nikt nie powiedział mu w oczy tak zuchwałych słów.

Cesarski zaczął szybko chodzić po pokoju, założywszy ręce do tyłu.

„Zaledwie wyklął się z jaja, a już pogardliwie i z wyższością krytykuje prace innych — myślał inżynier. — Wyobrażam sobie, jak on w głębi duszy ustosunkował się do Trubnina, Kręci, wyraźnie kręci... A ja za niego walczyłem na tym głupim wieczorze poezji, wychwalałem, byłem tak przychylnie usposobiony, a on..,“

Modest Nikandrowicz uspokoił się dopiero wtedy, kiedy sobie przypomniał, że Krymow miał wysoką temperaturę, a w takim wypadku ludzie bywają rozdrażnieni i często nie zdają sobie sprawy z tego, co mówią.

Nagle rozległ się dzwonek telefonu. Cesarski podszedł szybko do biurka i podniósł słuchawkę.

— Słucham. Dobry wieczór! Co wy mówicie! Naprawdę części gotowe? To nadzwyczajne! Tak, tak... Próba jutro? Nie, to do niczego. Nie warto... Dlaczego nie warto? Trzeba popatrzeć, przemyśleć. Sam osobiście muszę wszystko sprawdzić. Bardzo możliwe, Pawle Pawłowiczu, że niektóre części trzeba będzie przerobić. A o wyjściu w pole w najbliższym czasie nie może być nawet mowy. Poprzednia próba nie udała się — dosyc tego! Próby zawiesza się i nie może być więcej żadnych rozmów... Do dyrektora sam zadzwonię. Wszystkiego dobrego!

Modest Nikandrowicz położył słuchawkę na widełki aparatu telefonicznego i podszedł do okna.

„Dobrze, że odwołałem jutrzejszą próbę. Pogoda, zdaje się, zmienia się i jutro będzie lał deszcz. Znajdować się w polu nie będzie szczególnie przyjemnie”.

Cesarski patrzy na plac doświadczalny, rozjaśniony światłem księżyca. W oddali, u samego horyzontu widać ciemne chmury. Z rzadka zapalają się czerwone błyski piorunów.

Ale co to? Modest Nikandrowicz wpatruje się uważnie. Na placu doświadczalnym dzieje się coś niezrozumiałego: mała postać ludzka odsuwa się od maszyny stojącej w środku pola. Wszystkie ruchy człowieka świadczą, że trudne mu iść. Kuleje. Któż to taki?

— Nic nie rozumiem — mruczy Modest Nikandrowicz. — To nie może być. To nieprawdopodobne...

Chorych często dręczą koszmary. Niekiedy człowiek widzi we śnie długą nić, która ciągnie się z monotonnym brzęczeniem w niewiadomą, bezkresną dal. Chory usiłuje wyciągnąć rękę, aby zerwać nić i tym sposobem przerwać męczące, jednostajne brzęczenie, ale brak mu sił. Nie może wstać, poruszyć się, dźwignąć z miejsca, a nić huczy i huczy bez końca...

Krymowowi majaczyła się taśma. Ona również ciągnęła się obok niego w nieskończoność, również brzęczała. Znikała w głębokim dole. Brzęczenie było podobne do oddalonego warkotu traktora. Ale nie, to nie traktor — to szybkobieżny świder wiertniczy, a taśma — to łańcuch pogłębiarki... I dziwna rzecz: łańcuch opuszcza się w dół zamiast podnosić się do góry. A potem... Dlaczego w czepaku nie znajduje się ziemia, lecz małeńkie, białe przedmioty wydłużonego kształtu? „Suwaki logarytmiczne”... — przelatuje w świadomości Krymowa. No, tak. A oto rozlega się głos inżyniera Trubnina: „Obliczymy,, obliczymy... obliczymy...”. „Nie można ufać tylko obliczeniom” — usiłuje powiedzieć Krymow, ale nie

może. A głos huczy dalej: „Obliczymy... obliczymy... obliczymy”. — „Nie można ufać tylko obliczeniom” — wykrzykuje Krymow i budzi się.

Przeciąga dłonią po twarzy obficie zroszonej potem. Następnie znowu zapada w sen. I znowu śni mu się owa taśma znikająca w ziemi. Ale teraz zupełnie wyraźnie oprócz monotonnego brzęczenia słysząc bulgotanie wody.

„To woda przecieka przez tuleje osiowe... — powstaje myśl w świadomości chorego. — Trzeba spraw^dzić niezwłocznie... inaczej jutro rozbiórą mechanizm i nic nie będzie można zobaczyć”.

Krymow znowu obudził się.

„Co trzeba sprawdzić niezwłocznie? — już na jawie myśli, usiłując podnieść się nieco. — Ach, tak... skrzynkę biegów”.

Dziwne rzeczy dzieją się niekiedy z człowiekiem opanowanym przez silną gorączkę. Najczęściej myśli płaczą się i wszystko ukazuje się w fałszywym świetle. Bywa i odwrotnie: mózg pracuje dokładnie i z niezwykłą precyzją, przypominają się sprawy dawno zapomniane, przypominają się z najdrobniejszymi szczegółami. Myśl, która zrodziła się przed chwilą u Krymowa w gorączkowym majaczeniu, okazała się rzeczywista i prawie dotykalna.

Krymow ostrożnie opuszcza chorą nogę z łóżka. Ręce drżą, zęby szczękają, ból nogi dokucza, ale Krymow na nic nie zważa. Staje na podłodze i robi kilka niepewnych kroków w kierunku szafy. Postanowił niezwłocznie udać się na plac doświadczalny, aby sprawdzić swoje przypuszczenie. Wczesnym rankiem robotnicy przystąpią do rozbiórki głowicy, świdra i później już nie będzie można tego zrobić.

Starając się pokonać ból, oparty na kijku Oleg Nikołajewicz udaje się na plac.

Najbardziej niepokoiła Krymowa myśl, czy przy wejściu nie dyżuruje

Panfierycz. Staruszek, znający istotną przyczynę choroby inżyniera, oczywiście za nic nie dopuści go do maszyny. Ale obawy Olega Nikołajewicza okazały się płonne. Przy wejściu stał młody chłopak. Inżynier, kosztem nieprawdopodobnego wysiłku ukrył, że kuleje i z udaną beztroską pokazał przepustkę.

— Jakoś późno idziecie, towarzyszu inżynierze — zauważył dozorca.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział Krymow usiłując się uśmiechnąć.

— Zapomniałem obejrzeć, w jakim stanie znajduje się pewna część, a jutro już może być za późno, bo maszynę rozbiorą. Dajcie no mi latarkę elektryczną.

Zbliżywszy się do świdra mechanicznego, Krymow poczuł się zupełnie źle. Powróciły się zawroty głowy i nieprzewyciężone osłabienie w całym ciele. Postawiwszy latarnię na ziemię, inżynier przystąpił do oględzin metalowych części.

Praca posuwała się powoli. Trzeba było przechodzić od jednej części maszyny do drugiej i nachylać się nad nimi, co było niezwykle uciążliwe.

Wreszcie Krymow znalazł to, co mu było potrzebne. Wsunął rękę w szeroki otwór metalowego korpusu i namacał śliską powierzchnię wału.

Od tej chwili zaczęło się twórcze rozwiązywanie skomplikowanego zadania technicznego: budowanie łańcucha wniosków, opartych na spostrzeżeniach i faktach. Krymow upewnił się, że wał dosyć lekko porusza się wzdłuż swej osi. A zatem kołnierze ochronne łożysk nie mogą ściśle przylegać do korpusu. Teraz trzeba zobaczyć, w jakim położeniu zatrzymało się koło zębate głównego wału wprowadzającego czerpaki w ruch. Skierowawszy wąski snopek światła w szparę między korpusem i tarczą ochronną, Krymow zbadał masywny tryb zębaty, szorstki od przylepionych grudek ziemi.

Pracował z zapalem, zapomniawszy o chorej nodze. Tylko niekiedy

przy nieostrożnym ruchu ostry, męczący ból dawał znać o sobie. Wtedy Oleg Nikołajewicz przerywał pracę, oddychał głęboko i zebrawszy siły, skupiwszy całą swoją wolę, przystępował znowu do dalszych badań.

Po dostrzeżeniu i porównaniu szeregu szczegółów, Krymow zrozumiał przyczynę niedociągnięć technicznych, które przeszkadzały maszynie pracować normalnie.

Nie było już żadnych wątpliwości, wszystko stało się zrozumiałe. Teraz można było śmiało twierdzić, czego mianowicie brak mechanizmowi, aby mógł on pracować nieprzerwanie i regularnie.

Czując dotkliwy ból w nodze, Krymow przysiadł ostrożnie na żelaznym kowadłku stojącym obok niego.

— Olegu Nikołajewiczu! Cóż to znaczy? Już pięć minut stoję koło was i zupełnie nie mogę zrozumieć... — dał się słyszeć zdziwiony głos.

Krymow odwrócił głowę i zobaczył inżyniera Cesarskiego.

— Musiałem tutaj sprawdzić... — odpowiedział patrząc z roztargnieniem na Modesta Nikandrowicza.

— Jednak, przepraszam... Przecież jesteście chorzy!

— To błahostka...

— Nic nie rozumiem — mówił dalej Cesarski. — Co może was tu interesować?

— Przyczyna uszkodzenia, oczywiście — odezwał się Krymow usiłując podnieść się z ziemi.

Cesarski spostrzegłszy to rzucił się ku choremu, aby mu pomóc wstać.

— Dlaczego wstaliście z łóżka? — mówił gniewnie, — Czyż jutro bez was nie ujawniono by tego uszkodzenia?

— Niestety, po rozebraniu maszyny nie ujawniono by.

— Nie rozumiem...

— Przy rozbieraniu maszyny Trubnin od razu naruszyłby połączenie

kołnierza ochronnego z korpusem i jego uwagi uszedłby pewien drobiazg. Mówiłem o tym Piotrowi Antonowiczowi, ale on zaczął się spierać ze mną i w żaden sposób nie chciał się zgodzić.

Cesarski ujął pod rękę chorego inżyniera i ostrożnie poprowadził go do wyjścia.

— Zdumiewające, po prostu zdumiewające...—mrucał idąc. — Wyobrażam sobie, jak jutro wszyscy będą zdziwieni dowiedziawszy się o tej historii.

— Nikt nie powinien dowiedzieć się o niej — rzekł Krymow zatrzymując się. — Słyszycie, Modeście Nikandrowiczu? — nikt...

— No, dobrze, dobrze... Przyrzekam — z zakłopotaniem odpowiedział Cesarski. — Chodźmy, położę was do łóżka. Nie powinniście się denerwować, Olegu Nikołajewiczu. Pozwólcie tylko, że zadam wam jedno pytanie: W jaki sposób dowie się o waszych spostrzeżeniach inżynier Trubnin, jeżeli nie macie zamiaru opowiedzieć mu o swojej bytności na placyku...

— Bardzo zwyczajnie — Krymow odetchnął ciężko. — Jutro z rana, jak można najwcześniej, zanim robotnicy zdążą przystąpić do rozbiórki maszyny, wy, Modeście Nikandrowiczu, zgłosicie się do Trubnina i zażądacie, aby niezwłocznie poszedł z wami na plac doświadczalny. Rozmawiajcie z nim w ten sposób, jak gdyby propozycja wychodziła od was. Pokażcie mu luz wału i w jakim położeniu zatrzymało się nowe koło zębate. Szczegóły objaśnię wam po drodze...

Minęli zdziwionego dozorcę i powoli szli przez park, który zaczynał już szarzeć. Zbliżał się świt.

Rozdział piąty

Dyrekcja instytutu poświęciła wiele uwagi organizacji nowego biura **konstrukcyjnego**. Niedawno zbudowane skrzydło gmachu zostało w całości oddane do dyspozycji tego oddziału.

Po krótkiej, lecz gorącej dyskusji z dyrektorem, udało się **Krymowowi przenieść** do swego biura prawie wszystkich **wykonawców** małego modemu. Może **właśnie** dlatego znaczną część jego współpracowników **stanowiła** młodzież.

Szybkobieżny świder inżyniera Trubnina po niewielkich przeróbkach świetnie wytrzymał wszystkie próby i został odesłany do specjalnej fabryki dla seryjnej produkcji. Praca konstruktorska nie kończyła się jednak na tym, ponieważ powstały nowe wymagania. Trzeba było powiększyć szybkość wiercenia.

Gdy **omawiano** to zagadnienie, znaleźli się **ludzie**, którzy **zaczęli opowiadać przeciw udoskonaleniu świdra wiertniczego**. Uzasadniali oni swój **sprzeciw tym, że ruchoma maszyna** podziemna **może z powodzeniem zastąpić** świder. Przecież **łódka** podziemna — **jako mechanizm swobodnie poruszający się** w pokładach ziemi i **pozostawiający za sobą tunel** — może **być** wykorzystana **również** jako świder. Świder wiertniczy robi w ziemi tylko **pionowy otwór**, podczas **gdy** łódka podziemna zdolna jest zrobić **nie** tylko **pionowy**, lecz i pochyły a nawet poziomy. Wobec tego, po co **kłopotać się o świder wiertniczy** — mówili ci ludzie.

Starano się ich przekonać, że łódka podziemna przeznaczona jest głównie do „**podróży**” pod ziemią w celu **przeprowadzenia** badań geologicznych. Całkowicie zastąpić świdra wiertniczego nie będzie mogła.

Prace nad ulepszeniem świdra nie zostały przerwane, ale dla **wszyst-**

kich stało się zrozumiałe, że pomiędzy **świdrem i łódką** powstaje **współzawodnictwo** i jak to **niektórzy nazywali „rywalizacja”**.

Warunki tego **współzawodnictwa** były nierówne. **Opracowanie superszybkościowego świdra** wiertniczego **mogło** odbywać się **spokojnie**, bez **niespodzianek**. W produkowaniu pomagała wieloletnia praktyka w konstruowaniu narzędzi wiertniczych. Ale łódź podziemną **budowano po raz pierwszy na świecie**.

Na **początek Oleg Nikołajewicz** postanowił **urzeczywistnić coś pośredniego pomiędzy małym**, już istniejącym modelem **i dużą łodzią — koroną jego marzeń**. Z tego względu **biuro** konstrukcyjne **Krymowa** zajmowało się teraz projektowaniem **i budową łódki podziemnej**, w której mógł się pomieścić **tylko** jeden człowiek.

Maszynę niewielkich rozmiarów w wypadku **jakichkolwiek** niepowodzeń łatwiej przerabiać i modyfikować. Małą maszynę można sporządzić szybciej i mniejszym kosztem. Upewniwszy **się** ostatecznie, że mechanizm funkcjonuje dobrze, można by podjąć budowę całego okrętu podziemnego.

Już od samego początku istnienia biura konstrukcyjnego do budowy łódki podziemnej, Krymowa zaczął niepokoić zbyt zaczepny duch „rywalizacji”, który zrodził się między niektórymi jego współpracownikami a pracownikami biura inżyniera Trubnina. Każdy był przejęty swoim zadaniem, uważał je za najważniejsze i w tym nie było nic złego.

Czasami jednak do Olega Nikołajewicza dochodziły wieści, że niektórzy współpracownicy w czasie dyskusji o kwestiach podstawowych gorączkowali się nadmiernie, omal że nie kłócili się.

Niepokoił się Krymow jeszcze i czymś innym. Chodziło o to, że wykonanie podziemnego radaru bardzo się opóźniało. Jakże można podróżować pod ziemią, nic nie widząc przed sobą, Wszak jeżeli poru-

szająca się pod ziemią maszyna, przeznaczona głównie do poszukiwań podziemnych, nie będzie zaopatrzona w przyrząd pozwalający **widzieć** „poprzez ziemię”, to zginie prawie cały sens jej istnienia.

*

* *

— Posprzeczaaliśmy się ostatecznie... Z Nataszą posprzeczaaliśmy się... — mruknął Kostia Utoczkin.

— Jakże to się stało? — zapytał Krymow.

Szli przez park. Kostia odprowadzał Olega Nikołajewicza, który śpieszył się do dyrektora na posiedzenie.

— No, **więc** Natasza powiedziała — mówił dalej Kostia — **że** ludzie podróżujący łódką podziemną będą **w niebezpieczeństwie**, podczas gdy ludziom pracującym szybkoobrotowym świdrem wiertniczym nic **nie** zagraża. Ja zaprzeczyłem. Natasza upierała **się** przy swoim. **No**, i **od tego** się zaczęło.

Krymow, wobec którego Kostia nie miał żadnych tajemnic, dobrze wiedział, że jego przyjaciel zabiega o względy studentki Nataszy, która niedawno przyjechała na praktykę i pracowała w laboratorium Trubnina.

— Pogodźcie się — zawołał wesoło, pragnąc dodać otuchy przyjacielowi. — To nie jest powód do sprzeczki.

— Jak mani jej udowodnić, że podróż w łódce podziemnej będzie zupełnie bezpieczna — nie mógł się uspokoić Kostia.

— **Powiedz**, że poprowadzisz łódkę w pierwszej, najbardziej niebezpiecznej próbie. Wtedy w jej oczach staniesz się bohaterem i pogodźcie się! zażartował Oleg Nikołajewicz.

Ta myśl podobała się zapewne Kosti, bo od razu znacznie poweselał.

Utoczkin przygotowywał się do dalszej rozmowy na ten temat, ale usłyszawszy przeraźliwe szczekanie Dżulbarsa. opuścił **Krymowa**, żeby

dowiedzieć się, o co chodzi.

Wkrótce zobaczył, jak Dżulbars. to przypadając do ziemi, to podsakując, atakuje jakiegoś starszego człowieka, opędzającego się laską.

Kostia pobiegł na pomoc.

— Cóż to takiego? — krzyczał staruszek. — Gdzie ja się znalazłem? Tu jest instytut czy psie podwórko, pytam was?

— Na pewno zamierzycie się laską. Tego wyjątkowo nie znosi mój pies... — usprawiedliwiał się Kostia.

— Tak! Zamierzyłem się, wyobraźcie sobie... A czy nie wolno mi się bronić? Tak sądzicie!

Kostia z trudem uspokoił staruszkę i zaofiarował się odprowadzić go,

— Jestem hydrologiem i paleontologiem — opowiadał w drodze nowy znajomy. — Zajmuję się badaniem z dawna wymarłych zwierząt. No, muszę wam się przyznać, że byłbym bardzo rad, gdyby wszystkie psy i koty należały do wymarłych. Nie lubię...

Wyjaśniło się, że paleontolog poszukuje biura konstrukcyjnego Krymowa. Kostia poinformował go, że w obecnej chwili Krymowa tam nie ma, ale wkrótce nadejdzie.

Po upływie kilku minut Kostia zaprosił gościa do gabinetu Olega Ni-kołajewicza.

— Może ja **mógłbym być** w czym użyteczny? — zwrócił się do paleontologa inżynier Katuszkin siedzący przy biurku. — Pozwólcie, że się przedstawię.

— Tołmazow Georgij Stiepanowicz — odpowiedział staruszek wyciągając rękę. — Hydrolog i paleontolog. Do was przybyłem **głównie** jako **paleontolog**.

— Bardzo mi przyjemnie, bardzo mi przyjemnie! — życzliwie uśmiech-

nał się Katuszkin.

— Oto list, w którym znajduje się decyzja waszego dyrektora— mówił dalej Tołmazow podając papier.

Katuszkin pogrążył się w czytaniu, a gość zaczął się rozglądać po małym, lecz bardzo przytulnym gabinecie.

— Mam nadzieję, że posiadacie rysunki do projektu? — zapytał konstruktor przerywając czytanie.

— Oto tu jest niewielki **szkic** ołówkowy. Oczywiście, konstrukcję będziecie musieli obmyślić sarni — to jest tylko pomysł, Potrzebne mi jest sporządzenie niewielkiego mechanizmu, ułatwiającego oczyszczanie **szkieletów z** ziemi, która do nich przywarła. W ogóle ta praca na pierwszy rzut oka wydaje się łatwa, a w gruncie rzeczy wymaga największej ostrożności!

— Rozumiem, rozumiem... Skonstruowanie waszego przyrządu w rzeczywistości jest pracą bagatelną, ale widzicie, o co chodzi...

Katuszkin przerwał, jak gdyby zastanawiając się nad najlepszym sposobem wypowiedzenia swej myśli.

— Trochę **niezrozumiałe** jest, dlaczego dyrektor skierował was właśnie do nas. Przecież trzeba sporządzić taki drobiazg, **a my** tutaj — **mam na** myśli nasze biuro konstrukcyjne — zajmujemy się sprawą posiadającą ogromne znaczenie państwowe.

— Jak to drobiazg? Dla kogo drobiazg? — oburzył się staruszek.

— Ja rozumiem — mówił dalej Katuszkin — dla was przyrząd jest rzeczą potrzebną. Ale dla nas, ludzi rozwiązujących olbrzymi problem, rzecz można, problem poszukiwań geologicznych w światowej skali — to drobnostka.

— I co z tego wynika?

— Otóż myślę... Dlaczego dyrektor skierował was... właśnie do nas?

Na pewno zapomniał, że mamy przed nosem próby! Każda godzina jest dla nas droga! Przecież obok istnieje biuro inżyniera Trubnina.

— Hm, hm... — wycedził profesor. — Cóż to za „olbrzymi”, „światowy” problem rozwiązujecie?

— Tak, tak. Właśnie olbrzymi i światowy — z widoczną dumą powiedział Katuszkin. — Wyobraźcie sobie cudowny mechanizm: przenika ziemię z taką samą łatwością, jak nóż masło! Przed wami otwiera się bajeczny obraz, podziemnego świata... Podróżujecie pod ziemią...

— Nie, dobrodzieju! — czuprynie przerwał uczony. — Nie uda wam się to! Ja nie będę podróżował w takiej maszynie!

— Dlaczego? — zdziwił się Katuszkin.

— Jeszcze ugrzęzłoby się w niej pod ziemią! Nie-e-e...

Obecny przy rozmowie Kostia ciężko westchnął. Przypomniał sobie sprzeczkę z praktykantką Nataszą.

— Posłuchajcie, posłuchajcie... — zaczął profesor. — Mówicie — maszyna podróżująca pod ziemią, łódka podziemna... Tak, tak... Przecież to kret! No tak, kret. A czy wy wiecie, jak zbudowany jest szkielet kreta lub choćby jego zęby? Ileż cudownych, a zarazem pouczających zjawisk można spotkać w przyrodzie.

Katuszkin nachmurzył się. Wydało mu się niegodnym porównywanie wspaniałej maszyny, wyniku pracy twórczego umysłu ludzkiego, z jakimś kretem.

— Jeżeli chodzi o wasz przyrząd, to my go zrobimy — wolno zaczął Katuszkin. — Skoro dyrektor zarządził, nie mamy prawa odmówić. Ale może poprosicie, aby skierował was raczej do pracowni inżyniera Trubnina? Sami chyba widzicie, od jakiej poważnej sprawy nas odrywacie! Posiedźcie trochę, proszę, i poczekajcie na kierownika biura konstrukcyjnego, inżyniera Krymowa.

Profesor uznał jednak za celowe wykorzystać czas oczekiwania na to, by uprzednio pomówić z inżynierem Trubninem, którego wskazał mu Katuszkin. Przyrzekając wkrótce powrócić, profesor wyszedł z gabinetu.

— Ja, zdaje się, tego... przeholowałem — zaniepokoił się **konstruktor** zwracając się do Kosti.

— Niesympatyczny jakiś człowiek — zauważył Kostą. — Psów nie lubi.

— No, rzeczywiście! — powiedział Katuszkin. — My rozwiązujemy zadanie o ogromnym znaczeniu gospodarczym dla całego narodu; tworzymy maszynę, która będzie pomagała w wykonaniu planu pięcioletniego! A jemu się zachciało wykopywać dinozaurowy i ichtiosaurowy. Poczekaj ze swoimi starożytnymi szkieletami. To nie ma żadnego związku z wielkim budownictwem w naszym kraju...

Tołmazow wyszedł z budynku i przy wejściu stanął niezdecydowany.

— Czy nie moglibyście powiedzieć, gdzie znajduje się biuro konstrukcyjne inżyniera Trubnina — zwrócił się do człowieka, który przechodził obok niego.

— A dlaczego nie miałbym powiedzieć — poważnie odpowiedział Gorszkow. — Chodźmy, poprowadzę was. Pracuję tam jako mechanik.

— Będę wam bardzo wdzięczny...

— Wy na pewno z centrali w sprawie przyspieszenia pracy nad świrdrem wiertniczym. Wciąż tu do nas przyjeżdżają...

— Wyobraźcie sobie, że nie — odpowiedział Tołmazow. On również, jak każdy, kto po raz pierwszy widział Gorszkowa, zdziwiony był i zaskoczony jego surowością. — Potrzebne mi jest sporządzenie małego przyrzędu. Dyrektor skierował mnie do biura konstrukcyjnego inżyniera Krymowa, ale tam ustosunkowano się obojętnie do mojej prośby. Otóż chciałbym uprzednio porozmawiać z inżynierem Trubninem. a dopiero

później iść do dyrektora.

— Możemy porozmawiać... Czemu by nie!

Trubnina nie było w biurze. Tołmazow zmuszony był rozmawiać z drugorzędnymi pracownikami.

— Zrobić zrobimy — oświadczył jeden z nich, wysoki i nieco przygarbiony. — Ale byłoby lepiej, gdyby zajęło się tym biuro konstrukcyjne Krymowa. Co oni właściwie robią?

— Byłem u nich — smutnie odpowiedział paleontolog.

Ta wiadomość podziałała na obecnych jak prąd elektryczny.

— Z pewnością mówili, że bardzo zajęci są „nadzwyczajną” pracą! — zawołał ten sam pracownik.

— Tak, tak! Właśnie — nadzwyczajną i terminową.

Twarze otaczających Tołmazowa ludzi rozplynęły się w uśmiechu.

— My nie zajmujemy się nadzwyczajnymi rzeczami, lecz wykonujemy prostą i potrzebną robotę: budujemy świder wiertniczy, pracujący bardzo szybko mówił dalej wysoki mężczyzna. — I właśnie dzięki temu, że projekt naszej maszyny nie jest projektem fantastycznym, praca nasza posiada wielkie znaczenie państwowe.

— I jesteście bardzo zajęci, i przyrzędu nie będziecie mogli mi zrobić — uśmiechając się powiedział profesor.

Jeden z pracowników w milczeniu rozłożył ręce, jak gdyby mówiąc: „Co robić, skoro taka jest sytuacja...”

— Podobacie mi się! Słowo honoru, podobacie mi się! — profesor roześmiał się. — I wy, i ludzie, którzy budują maszynę podziemną. Co za zapal! Nie, z wami naprawdę wesoło...

W tej chwili obok rozmawiających przeszedł Trubnin.

Tołmazow pożegnał się z pracownikami i udał się za inżynierem.

— Paleontologia — to nauka najbardziej interesująca! — mówił z za-

chwycem, siedząc w gabinecie Trubnina.

— Rozumiem — odpowiedział inżynier poprawiając swoje rogowe okulary. Spieszył się dokądś i chciał jak najprędzej skończyć tę rozmowę.

— Czy nie zgadzacie się ze mną? — nie dawał za wygraną starszek.

— Zgadzam się. Ale widzicie, mnie interesuje technika, wyłącznie technika. Do nauk przyrodniczych nigdy nie miałem skłonności. Co się tyczy waszej prośby, to żałuję bardzo, lecz nic nie mogę pomóc. W rezolucji dyrektora wyraźnie powiedziano, że powinniście się zwrócić do biura konstrukcyjnego Krymowa. Nie mogę przekroczyć zarządzenia.

Paleontolog pożegnał się i wyszedł z gabinetu.

— No, jak? — zagadnął go spotkany w korytarzu Gorszkow.

Tołmazow przecząco pokręcił głową.

— A czy z samym Krymowem rozmawialiście? *Nie* rozmawialiście? Poczekajcie minutkę.

Uczony zatrzymał się.

— To nieporządek, towarzyszu profesorze — surowo mówił dalej Gorszkow. — Przecież trzeba znać Krymowai On jest człowiekiem, którego wszystko interesuje. Nawet trochę astronomia... On wam pomoże. Dyrektor wie, do kogo należy was skierować! Czy myślicie, że on nie rozumie, co robi? Czy tak? Nieporządek, nieporządek...

* *

— Co za niedorzeczność! — mówił Katuszkin gestykulując w podnieceniu. — Porównał naszą maszynę — ucieleśnienie śmiałego wlotu ludzkiej myśli — z jakimś mizernym kretem! Zaczął opowiadać, jak zbudowany jest jego szkielet i jakie ma zęby...

Siedzący za biurkiem Krymow wyraźnie nie podzielał zdania Katuszkina. **W** milczeniu obserwował opowiadającego.

— No i co było dalej ?

— Nic szczególnego! Wyjaśniłem mu, że rozwiązujemy największe zagadnienie, zagadnienie, które przewraca do góry nogami cały system badań geologicznych i dałem do zrozumienia, oczywiście w grzeczny sposób, że nie mamy czasu zajmować się drobiazgami. I rzeczywiście, dlaczego dyrektor skierował go do nas? Dlaczego nie do Trubnina?

— Walentynie Dmitriewiczu, poczekajcie — w zamyśleniu powiedział Krymow. — On opowiadał, jak zbudowany jest szkielet kreta, i o zębach, mówicie, wspominał?

— No tak!

— Więc proszę was. czy to nas nie powinno interesować?

— Nie rozumiem.

— Wielka szkoda, że nie rozumiecie tego. Inżynierowie powinni także kochać przyrodę. Wiele pożytecznego i pouczającego mogą czerpać z uważnego badania przyrody. Przypomnijcie sobie Łomonosowa — uczonego, badacza przyrody i poetę...

Zastukano do drzwi i na progu ukazał się Tołmazow.

Rozdział szósty

Późnym wieczorem do pokoju zajmowanego przez organizację partyjną szybko wszedł dyrektor.

— Nie podoba mi się ta historia — powiedział z miejsca, zwracając się do Bati.

— Cesarski?

— Cesarski.

W pokoju zapanowało milczenie.

— Próba znowu odłożona — mówił dalej Gremiakin. — Dokądże to

będzie? Obiecałeś zająć się Cesarskim. Odwiodłeś mnie od ostrych, administracyjnych zarządzeń. Upewniałeś, że Cesarski zmieni metodę swej pracy. Spójrz teraz, co się dzieje... Montaż maszyny podziemnej Krymowa zbliża się ku końcowi, a podziemnego radaru nie ma! Więc jak to, maszyna pod ziemią pójdzie na ślepo, co? Nie wątpię o tym, że Cesarski jest wybitnym specjalistą. Ale co się z nim dzieje? Co dzieje się z człowiekiem niewątpliwie umiejącym pracować? Czy zorientowałeś się, rozumiesz coś?

— Rozumiem — odpowiedział Batia.

— Cóż mam z nim zrobić?

— Poczekaj jeszcze kilka dni, już niedługo. Nie ja jeden zajmuję się tą sprawą, zajmują się nią wszyscy komuniści a nawet bezpartyjni, którym także nie jest obojętne, czy stracić takiego specjalistę jak Cesarski, czy też udowodnić mu brak słuszności, wpłynąć na niego... Pomówmy lepiej o zbliżającej się próbie modelu Krymowa.

Dyrektor westchnął głęboko, dając niejako do zrozumienia, że zgadza się poczekać.

*

* *

Wielu wiedziało, że budowa modelu maszyny podziemnej znajduje się pod szczególną opieką dyrektora, otoczona jest troskliwą uwagą sekretarza organizacji partyjnej i wreszcie, że komsomolcy instytutu pomagają w budowie, pracując nawet w czasie pozaobowiązkowym. Mimo wszystko zadziwiające było, z jaką szybkością zdołano przygotować i zmontować ten bardzo skomplikowany agregat podziemny.

Dzisiaj rano przy pomocy traktora gąsienicowego maszyna została dostarczona na plac doświadczalny.

Ogólnie podobała się niezwykłość kształtów nowej maszyny. Przypo-

minano sobie pierwszy, zupełnie mały model, który nagle pojawił się spod ziemi przy próbie świdra wiertniczego. Porównywano go z nowym modelem.

Stalowy, wrzecionowaty przedmiot leżał na ziemi. To był korpus „łódki podziemnej”. Z przodu w formie korony umieszczone były rylce z najtwardszego stopu. Przy ich pomocy aparat podziemny ma rozkruszać warstwy minerałów, zamieniając je w miąłki piasek. Z tyłu korpusu łódki — płetwy i ogon. Ich zadaniem, jest opierać się o ścianki utworzonego w ziemi przejścia i posuwać maszynę naprzód.

Nasuwa się pytanie, gdzie będzie podziewać się ziemia rozkruszona przez rylce łódki. Przecież powinna ona „rozstać się“, aby zrobić miejsce dla poruszającego się mechanizmu podziemnego. A może jest ona wyrzucana na wierzch?

Nie. Ziemia nie jest wyrzucana na wierzch, ponieważ proces ten związałby i ograniczył swobodę ruchu łódki. Przy poruszaniu się stożkowatego ciała łódki rozkruszona warstwa minerałów rozparta zostaje na boki. Jest ona ubijana w ścianki przejścia wytworzonego przez mechanizm i ścianki te zostają utrwalone, nie osypują się.

Ale co będzie, jeżeli łódka trafi na skałę? Wszak rozdrobnionego rylcami kamienia nie można wgnieść do kamiennej warstwy. Do tego celu przewidziane są wzdłuż korpusu łódki specjalne przenośniki. Zabierają one rozpylone kamienie i wysypują je z tyłu łódki.

Wiele zdenerwowania było z powodu terminu nadejścia specjalnego akumulatora niewielkimi rozmiarami, lecz skupiającego w sobie ogromną ilość energii elektrycznej, niezbędnej do uruchomienia potężnych silników elektrycznych. Akumulatory nadeszły jednak do instytutu nawet o dzień wcześniej niż ich oczekiwano.

Wnętrze małej łódki podziemnej nie wyróżniało się specjalnymi

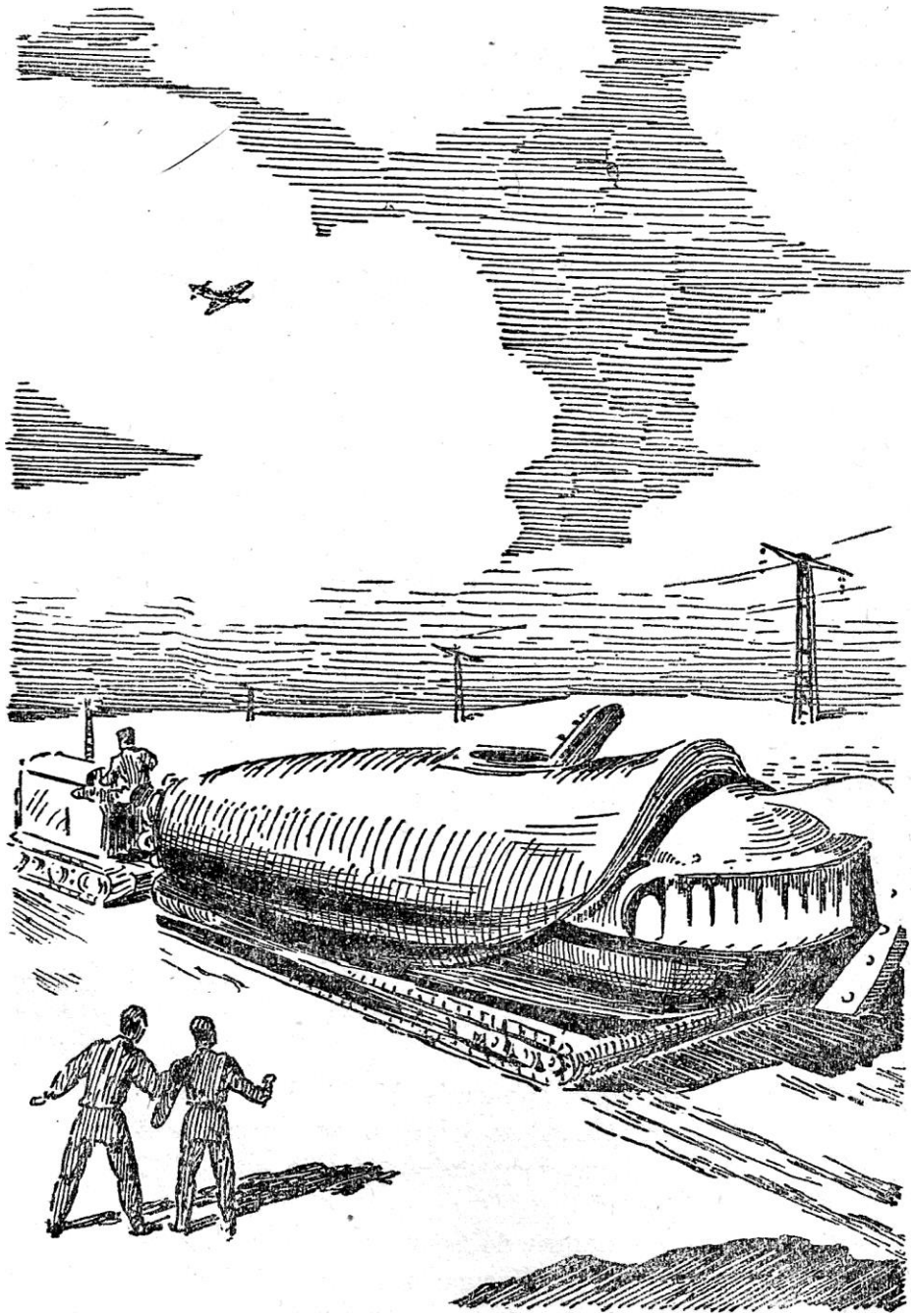
udogodnieniami dla człowieka mającego w niej podróżować. Po jej wypróbowaniu miała być zbudowana prawdziwa, duża łódź, mogąca pomieścić kilku ludzi, wygodnie urządzona wewnątrz. Pierwszy podróżnik zmuszony będzie leżeć lub siedzieć w pozycji półzgiętej.

Ale nie to zastanawiało Batię stojącego przed maszyną w głębokim zamyśleniu. Chodziło o to, że w kabinie łódki brakowało podziemnego radaru dźwiękowego. Aparatura, która już funkcjonowała w laboratorium Cesarskiego, byłaby bezwarunkowo pożyteczna dla pierwszego modelu łódki, mimo że prześwietlała ona ziemię zaledwie na pięć metrów, ale przyrząd, w oczekiwaniu lepszych wyników, znajdował się wciąż jeszcze w postaci modelu laboratoryjnego, tj. urządzenia zupełnie nieprzydatnego do zastosowania w łódce.

Co prawda Krymow, przygotowujący się do odbycia pierwszej podróży podziemnej, nie przywiązywał do tego większej uwagi. Uważał, że znacznie dogodniej jest wykonywać próbę, mając przed sobą ekran pozwalający widzieć przed sobą pod ziemią, ale jeżeli go nie ma, próbę można przeprowadzić i bez niego.

Tej opinii jednak trzymał się tylko sam Krymow. Wszyscy pozostali uważali podróżowanie pod ziemią bez radaru dźwiękowego za bardzo niebezpieczne. Dyrektor bardzo niechętnie wyraził zgodę na przeprowadzenie próby, długo przekonywał Krymowa o czekającym go niebezpieczeństwie i radził mu poczekać.

Wśród widzów, którzy zebrali się przy maszynie podziemnej, znajdował się i inżynier Cesarski. Razem z innymi uważnie oglądał maszynę.



Nagle do jego uszu doszła następująca rozmowa:

— A może lękacie się? — mówiła drobna dziewczyna o miłej powierzchowności, studentka odbywająca praktykę w laboratorium Trubnina.

— Czy wam nie wstyd tak myśleć. Przecież wyjaśniam: Krymów odmówił mi kategorycznie.

Cesarski poznał głos Kostia Utozckina.

— Ale przecież powiedzieliście mi, że udacie się w pierwszą, najbardziej niebezpieczną podróż podziemną, że już co do tego porozumieście się z Krymowem.

— Porozumiałem się, ale teraz on odmawia puszczenia mnie pod ziemię — z zakłopotaniem mówił dalej Kostia.

— Ach, to tak! Może niewystarczająco nalegaliście?

— Pójdę pomówić jeszcze raz — posępnie oświadczył Utozckin odchodząc od studentki.

Cesarski zainteresował się z jakiegoś powodu tym, co Kostia powie Krymowowi, i przez nikogo nie zauważony poszedł za mechanikiem.

Dokoła maszyny podziemnej, gestykułując gwałtownie, chodził Katuszkin; Krymów ubrany w czarny kombinezon, w korkowym hełmie na głowie, jak u czołgistów, także był bardzo przejęty.

— Olegu Nikołajewiczu — zwrócił się do niego Kostia. — Stanowcza nalegam na dotrzymanie waszej obietnicy...

— Daj spokój, Kostia.

— Nie mogę, Olegu Nikołajewiczu. Dlaczego właśnie wy macie ryzykować? Żądam...

— Czego?

— Olegu Nikołajewiczu, posłuchajcie mnie... Żądam nie dlatego, że nie chciałbym znaleźć się w głupiej sytuacji wobec... No, wiecie kogo. Nie, ja mam inne powody.

— Jakie? Czego ty chcesz ode mnie, Kostia?

— Maszyna idzie bez radaru, na ślepo. To w znacznym stopniu powiększa niebezpieczeństwo pierwszego doświadczenia.

— No więc?

— Zastanówmy się: dlaczego do tej pory nie ma podziemnego radaru? Winne jest laboratorium Cesarskiego. Ja poprzednio byłem współpracownikiem jego oddziału, a zatem wina za brak radaru częściowo spada i na mnie. Czy zgadzacie się ze mną?

Przejęci wymianą zdań, Krymow i Utoczkin nie zwrócili uwagi, że niedaleko stoi Cesarski i wszystko słyszy.

— W takim razie ja także ponoszę winę za brak podziemnego radaru — gorąco odpowiedział Krymow. — Nic nie zrobiłem, aby pomóc Modestowi Nikandrowiczowi...

Ktoś lekko trącił Krymowa w bok, zwracając tym sposobem jego uwagę, że w pobliżu znajduje się inżynier Cesarski i być może, słyszy ich rozmowę.

Modest Nikandrowicz poczuł się obco wśród ludzi, którzy dalej dyskutowali i krzatali się koło maszyny. Opanowało go uczucie głębokiego smutku. Ciężko mu było na sercu, gdy opuścił plac doświadczalny. Wolno, pochyliwszy głowę, szedł Cesarski aleją parkową. Tak dalece pogrążony był w swych myślach, że nie zauważył, jak zbliżył się do niego Batia, od dawna idący za nim.

— Odpoczywacie? — współczująco spytał Batia zbliżając się do inżyniera.

— Nie, jakież to odpoczynek. Odwrotnie, Iwanie Michajłowiczu...

— Odwrotnie — to znaczy nie odpoczywacie — żartobliwie zauważył Batia.

— Wyobraźcie sobie, Iwanie Michajłowiczu, że coś niedobrego dzieje

się ze mną. Zestarzałem się, czy co?

— Co też wy mówicie, Modeście Nikandrowiczu? Jakież z was starzec?

— Moralnie postarzałem się...

— Nie macie prawa... Jaka przyczyna wpłynęła na tak szybkie postarzenie? Czy należycie tylko do siebie? A ludzie otaczający was? A dorastające pokolenie? A budownictwo w naszym kraju? Kraju dającym ludziom możliwość swobodnej pracy. Jakże można myśleć tylko o sobie i poddawać się „moralnej starości”?

Cesarski błędził dokoła wzrokiem i dawało się, myślał zupełnie o czym innym.

Przez pewien czas szli w milczeniu.

— Mam za dużo niepowodzeń z radarem — zaczął w końcu Modest Nikandrowicz. — Jedno za drugim, jedno za drugim. A tu jeszcze i przyrządu do pomiarów natężenia fal ultradźwiękowych nie ma. Przecież mówiłem wam...

— Modeście Nikandrowiczu. Czy rzeczywiście cała sprawa zależy tylko od tego przyrządu pomiarowego? A gdyby w ogóle nie istniał na świecie, czyż cała praca stanęłaby z tego powodu? Przecież pamiętam, jak pracowaliście nad przyrządem CS-37...Noce nieprzespane, w czasie ulewnego deszczu przeprowadzaliście próby. A kiedy coś się nie udawało, to walczyliście, znajdowaliście wyjście... Wszak było tak?

— Tak jest i teraz.

— Nie przeczę, nie przeczę... Mówię po prostu, że powinniście się nieco otrząsnąć. A wasze narzekania co do tego, że dotychczas nie nadszedł zagraniczny przyrząd pomiarowy, są, być może, uzasadnione. Ale, przypuśćmy, że przyrządu zagranica nie przysła? Czy istotnie nie zdołacie zrobić podobnego?

— Można zrobić, naturalnie... — w zamyśleniu wyrzekł Modest

Nikandrowicz. — Ponieważ się gdzieś u nas model doświadczalny. On w ogóle pracował... Ale zrozumcie, nie ma sensu zajmować się chałupnictwem, kiedy, według wszelkich oznak, istnieje świetny aparat wyrobu fabrycznego!

— Nie przeczę, nie przeczę. Wy lepiej o tym wiecie. Więc cóż, trzeba będzie czekać na nadejście zagranicznego przyrządu... Jak zapatrujecie się na to, że Krymow zamierza przeprowadzić próbę bez radaru. Czy nie jest to zbyt niebezpieczne?

Modest Nikandrewicz zwołał kroku.

— Muszę wam powiedzieć... — zaczął nieco zdenerwowanym tonem. — Muszę wam po prostu powiedzieć, że postępek Krymowa można uznać za bohaterski. Tak, właśnie bohaterski. Projektowana przez niego próba jest bardzo niebezpieczna. Przecież o tym wszyscy wiedzą! Czy rzeczywiście nie można poczekać miesiąc, a ostatecznie — dwa?

— Krymow nie zgadza się, nalega. Dyrektor długo nie pozwalał na przeprowadzenie próby, ale później nagle ustąpił. A ja jeszcze dotychczas nie wiem...

— Krymow jest zdolny do bohaterskich czynów — przerwał Cesarski.

— To natura romantyczna, natchniona... Niewielu może się z nim równać. Weźcie choćby tegoż Trubnina. Czyż jest on zdolny do jakiegoś ofiarnego czynu? Nie! Mało jest takich ludzi jak Krymow.

Batia uważnie popatrzył na Cesarskiego i bez słowna ruszył dalej.

Po powrocie do domu Modest Nikandrowicz zaczął chodzić po swym gabinecie z kąta w kąt, co zazwyczaj robił, kiedy był zdenerwowany.

Trwało to jednak niedługo. Cesarski siadł w swym ulubionym miękkim fotelu i westchnął z ulgą, jak gdyby z serca spadł mu wielki, dręczący

ciężar.

Inżynier powziął twarde i niezachwiane postanowienie, postanowienie proste i szlachetne. Jutro wczesnym rankiem zgłosi się do dyrektora i poprosi o pozwolenie przeprowadzenia próby pod ziemią w zastępstwie Krymowa.

Wieczorem, wszedłszy do gabinetu dyrektora, Batia zastał swego przyjaciela w podnieconym nastroju.

— Co się z tobą dzieje — zdziwił się.

— Nic! A o co chodzi?

— Czemu się tak cieszysz, trochę to dziwne... Jutro Krymow ma próbę. A jeżeli coś się stanie?

— Nic mu się nie stanie. Bądź spokojny...

— A więc tak?! Jesteś tego pewien?

Weszła Nina Leontiewna i zameldowała, że z dyrektorem chce się zobaczyć mechanik Utoczkin. Za kilka minut Kostia stał przy stole.

— Proszę o pozwolenie przeprowadzenia próby podziemnej maszyny przeze mnie zamiast Krymowa — przemówił stanowczym głosem. — Oczywiście, tam nic takiego nie zdarzy się, ale jednakże spokojniej będzie, jeżeli ja przeprowadzę próbę.

— Dla kogo spokojniej? — informował się Gremiakin z chytrym uśmiechem.

— Dla was... dla wszystkich — odpowiedział Kostia zmieszany.

— O wszystkich nie wiem, ale co do mnie, to jednakowo będę niepokoić się i o was, i o Krymowa.

— Mnie to zręczniejsz będzie.

— Dlaczego zręczniejsz?

Kostia stropił się i spoglądał błagalnym wzrokiem to na dyrektora, to na Batię.

— Więc pozwalacie?

— Nie, towarzyszu Utozkin. Nie mówmy o tym więcej. Czy macie jeszcze jakąś sprawę?

— Nie mam więcej spraw — mruknął Kostia. Postawszy trochę w niezdecydowaniu, pożegnał się i wyszedł.

Nie zdążyły jeszcze zamknąć się drzwi, kiedy do gabinetu znów weszła Nina Leontiewna i powiedziała, że przyszedł mechanik Gorszkow w jakiejś szczególnie pilnej sprawie.

— Cóż to się dzieje? — jak zawsze surowo przemówił Pantalejmon Jewszejewicz. — To nie robota, towarzysze... Inżynierów, zwłaszcza takich jak Krymow, należy chronić. Ugrzęźnie pod ziemią... albo co? Ja nie pozwoliłbym...

— A co wy byście zrobili? — zainteresował się dyrektor.

— Wezwałbym człowieka mniej wartościowego, na przykład mnie, i powiedziałbym mu: „Oto taka jest sprawa, towarzyszu Gorszkow. Próba bardzo odpowiedzialna i równocześnie zupełnie bezpieczna. Czy zgodzisz się przeprowadzić ją?” A ja bym powiedział: „Proszę bardzo, towarzyszu dyrektorze. Dlaczego by nie przeprowadzić próby, jeżeli jest potrzebna”.

— Nic z tego — uśmiechając się dobrodusznie, przemówił Gremiakin.

— Ale może pozwolicie?

— Nie pozwolę.

Gorszkow odszedł zaszepiony, mamrocząc po drodze:

— Nieporządek... Nie robota...

Batia zamierzał podjąć przerwana rozmowę, kiedy do gabinetu wszedł kierownik biura konstrukcyjnego dla projektowania maszyn wiertniczych, inżynier Trubnin.

— Konstantinie Grigoriewiczu — zaczął siadając w fotelu i przecie-

rając chusteczką rogowe okulary. — Być może, że nie wypada mi mieszać w nie swoje sprawy, ale jednak wyobraźcie sobie, zdecydowałem się.

— Słucham was.

— Czy postąpimy właściwie, jeżeli dopuścimy Krymowa do jutrzejszej próby maszyny? To człowiek nadmiernie gorący, zapaleniec, Z tego powodu może powstać jakaś komplikacja. Zdaje mi się, że próbę powinien przeprowadzić nie Krymow, lecz człowiek spokojniejszy.

— Kogo macie zamiar zaproponować — zainteresował się Batia.

— Jeżeli Konstantin Gragoriewicz nie będzie miał nic przeciw temu, to próbę ja przeprowadzę — spokojnie odpowiedział Trubnin, włożywszy wreszcie okulary.

— Co? — znowu postawił pytanie Gremiakin.

— Najbardziej celowe będzie powierzyć mnie przeprowadzenie próby— sucho powtórzył Trubnin. — Zapewniam was, wszystko będzie w porządku — dodał po pewnym czasie tonem stanowczym i nalegającym.

— Niestety, Piotrze Antonowiczu, to niemożliwe.

I dyrektor rozpoczął wyjaśnienia. Kierownik biura konstrukcyjnego jutro w żadnym wypadku nie powinien, oddalać się z instytutu: oczekuje się przedstawiciela centrali, a istnieje jeszcze ponadto dużo innych przeszkód. Jednym słowem bardzo dziękuje Piotrowi Antonowiczowi, ale, niestety, nie może skorzystać z jego propozycji.

— Jak ci się to podoba? — zawołał dyrektor zwracając się do Bati, kiedy Trubnin wyszedł z gabinetu.

— Muszę przyznać, że bardzo mi się podoba. A tobie?

Gremiakin chciał coś odpowiedzieć, ale nie **zdążył**. Do gabinetu **weszła** Nina Leontiewna i zawiadomiła, że z dyrektorem pragnie **zobaczyć się** **jeszcze** kilku pracowników instytutu.

— Rozumiem... — roześmiał się dyrektor. — Wezwijcie pierwszego, W drzwiach ukazał się komsomolec, technik-monter.

— Chcecie wypróbować łódkę podziemną? — wesoło zapytał Konstantin Grigoriewicz.

— A skąd wiecie? — zdziwił się tamten.

— Widać to po was. Dziękuję towarzyszu. Niestety, nie mogę spełnić waszej prośby. Czy macie inne sprawy?

— Nie...

Dyrektor wstał nagle od stołu i wyszedł do poczekalni.

— Wszyscy tutaj w sprawie łódki? Przyznajcie się, towarzysze! — przemówił.

Przy jego ukazaniu się kilku ludzi siedzących na kanapie powstało ze swych miejsc. Nikt jednak nie odpowiedział.

— Wszystko jest zrozumiałe — mówił dalej Gremiakin. — Milczenie to znak potwierdzenia. Nie mogę wam pomóc, drodzy towarzysze. Dziękuję z całego serca, ale radzę iść do domu. Już późno...

Wreszcie dyrektor i Batia zostali sami w gabinecie.

— Rozważmy tę sprawę, jak należy — przemówił Gremiakin siadający naprzeciwko Bati. — Otóż byłeś gotów oskarżyć mnie, że lekkomyślnie odnoszę się do oczekującej nas próby maszyny podziemnej. Nie, nie lekkomyślnie. Przede wszystkim muszę ci zakomunikować, że zgadzam się z Trubninem w zupełności: Krymów jest człowiekiem pełnym zapału, może mu przyjść ochota, aby maszyna od razu dokonała pod ziemią jakiegoś cudu... może źle obliczyć swe siły.

— Cóż więc myślisz?

— Zamierzam postąpić w sposób następujący... Ale cóżeśmy usiedli tak daleko od siebie? Przysunę się bliżej do ciebie. Wiesz, mam takie wrażenie... no, jakby ci to wyjaśnić? Jednym słowem — stęskniłem się

za tobą.

— Ależ widzujemy się przecież po dziesięć razy dziennie — zdziwił się Batia.

— To prawda! Ale to zawsze interesy, interesy... A porozmawiać otwarcie, po przyjacielsku — na to brak czasu...

— Oj, Kostia! Skąd ci się wzięło na czułe słowa? No, mów już, mów. Nie zwlekaj...

— Więc sam osądź! Jakże może być jeszcze wyjście!? Według mnie nic innego nie da się wymyślić... Ja sam poprowadzę łódkę.

* *

Wczesnym rankiem inżynier Cesarski spotkał Panfieryeza niedaleko od frontowego wejścia swego domu.

— Towarzyszu Panfierycz! Czy wy dyżurowaliście wczoraj w nocy przy wejściu na plac doświadczalny?

— Ja — odpowiedział starszek zatrzymując się.

— Co za hałas tam był?

— Przeprowadzaliśmy próbę łódki podziemnej! — dumnie oświadczył Panfierycz.

— To znaczy... jak to próbę? Przecież wyznaczono ją na dzisiaj! Coś płązecie...

— Nic nie płązę. Wyznaczona była na dzisiaj o godzinie czternastej trzydzieści, a przeprowadzono ją od dwudziestej czwartej zero, zero do czwartej piętnaście, inaczej mówiąc — w nocy.

— Dlaczego? — mówił dalej Modest Nikandrowicz, wyraźnie zdenerwowany. — Jakże to...

— Bo chodziło o to — zaczął Panfierycz tonem spiskowca — że zgłosiło się bardzo wielu chętnych do wykonania próby maszyny. Wszyscy

niepokoił się, aby nie przydarzyło się co Krymowowi. Urządzenia, które pozwala widzieć przed sobą pod ziemią, jeszcze nie ma! Więc dyrektor powiedział: „Aby nikomu nie było przykro, ja sam wypróbuję łódkę“.

— Rozumiem... Ale jednak to dziwne.

— Dlaczego dziwne? — zdumiał się starszek. — Nie ma w tym nic dziwnego. Maszyna dobrze przeszła próbę: zagłębiła się w ziemi i wyszła po czterech godzinach znowu na powierzchnię. Wszystko w porządku. Tylko że rylce, słyszałem, przytępiły się trochę.

Cesarski, podziękował dozorcę i szybkim krokiem skierował się do swej pracowni.

Rozdział siódmy

Od pewnego czasu Cesarski zauważył, że stosunek współpracowników do niego zmienił się wyraźnie.

Wykonywali, oczywiście, jego zarządzenia i to nawet dobrze. Co więcej pracowali dłużej niż przewidywał regulamin instytutu. Pewnego razu po przyjściu do biura dowiedział się, że część pracowników nie opuszczała pracowni od wczoraj. Przez ten czas zdołali wykonać to, co on zaprojektował na kilka dni. Ale nie to dziwiło Cesarskiego. Niepokoiło go co innego. Współpracownicy zaczęli z nim rozmawiać powściągliwie i chłodno. Nie reagowali, jak dawniej, uśmiechem na jego wesołe dowcipy.

Pewnego razu Modest Nikandrowicz postanowił szczerze rozmówić się z Czibisowem, z którym pracował już od wielu lat.

— Powiedzcie, Pawle Pawłowiczu — zwrócił się do niego Cesarski — czy nie sądzicie, że stosunek do mnie niektórych towarzyszy naszego kolektywu jakby się zmienił? Nie wadzicie tego?

- Nie — ze zdumieniem odpowiedział Czibisow. — A dlaczego?
- Tak mi się wydaje... że ludzie się ode mnie odsuwają.
- Nie zauważyłem tego. Zresztą towarzysze są bardzo zaniepokojeni.
- Czym zaniepokojeni?
- Jakby to powiedzieć? Chcieliby jak najszybciej zakończyć pracę nad podziemnym radarem i rozpocząć jego eksploatację.

Narada produkcyjna odbyła się w laboratorium Cesarskiego. Głos zabrał kierownik biura konstrukcyjnego. Uniósł się z krzesła i obrzucił wszystkich badawczym spojrzeniem.

— Towarzysze — zaczął Cesarski.

Lecz dziwna rzecz, gdzie się podział jego wesóły uśmiech i swoboda, jaką się zawsze odznaczał?

Inżynier mówił niepewnie, powtarzał się, tracił wątek. Narzekał na trudności nie do pokonania, które hamują pracę. Znaczoną część swego przemówienia poświęcił krytyce wydziału zaopatrzenia, który do tej pory nie zdążył mu dostarczyć specjalnego przyrządu zagranicznego. Można było sądzić, że właśnie brak tego przyrządu wpływa na zahamowanie całej pracy.

Oświadczenie to wywołało pomruk niezadowolenia wśród zebranych. Rozumieli, że w rzeczywistości nie jest tak, jak to się starał przedstawić Cesarski.

Przemówienie swoje zakończył Modest Nikandrowicz przypomnieniem swoich dawnych zasług, ale zrobił to dziwnie apatycznie, bez entuzjazmu.

Po nim zaczęli mówić jego współpracownicy. Krytykowali swoją pracę i pracę kierownika pracowni — Cesarskiego. Wielu wyraźnie mówiło o tym, że od pewnego czasu Cesarski stracił swoją dawną stanowczość przy rozstrzyganiu pow^ażnych zagadnień, zaczął się obawiać śmielszych

eksperymentów, pracował z jakimś wewnętrznym zahamowaniem. Mówili, że to wszystko przeszkadza twórczej, naukowo-badawczej pracy mającej na celu wynalezienie nowych, dotąd nieznanymi maszyn i przyrządów.

Batia rozpoczął swoje przemówienie od tego, że oznajmił zebranym nowinę. Zagraniczny przyrząd, brak którego zdaniem Cesarskiego tak hamował pracę, nareszcie nadszedł.

— Znajduje się w pudle, na którym siedzi towarzysz Gorszkow — oświadczył Batia wskazując ręką odległy kąt pokoju.

— To świetnie — ożywiając się zawołał Modest Nilcandrowicz. — Aż mnie korci, aby go obejrzeć natychmiast.

— Doskonale — ucieszył się Batia. — Możemy postawić przyrząd na stole, i obejrzeć go. Czy nikt nie oponuje, towarzysze?

Propozycja Bati wydała się niektórym trochę dziwna. Nikt jednak nie oponował, aby od razu na naradzie obejrzeć przyrząd pomiarowy, o którym tyle mówiono. Trzech pracowników przydźwigało i postawiło ciężkie pudło na stole prezydyjnym.

— Nie wspomniałeś o rzeczy najważniejszej — szepnął siedzący obok Bati dyrektor.

— Poczekaj... Wszystko odbywa się tak jak trzeba...

Pudło zostało -otwarte: na stole pojawił się błyszczący lakierem, skomplikowany przyrząd, zaopatrzony w ogromną ilość uchwytów i gałek z kolorowego plastyku.

— Za pozwoleniem — rozległ się dźwięczny głos. — Cóż to takiego?

Wszyscy obejrżeli się i zobaczyli Kostię Utoczkin, który stał pod ścianą z dużym arkuszem odbitki kreślarskiej.

— Co się stało, towarzyszu Utoczkin? — niezadowolonym głosem zapytał przewodniczący Paweł Pawłowicz.

— Co to ma znaczyć? Spójrzcie tylko, towarzysze, co się dzieje. Trzymam w ręku schemat zagranicznego przyrządu, który wedle zwyczaju był umieszczony w pudle.

— No i co.

— Ale przecież to jest schemat naszego próbnego modelu. Mówię o modelu przyrządu, który osobiście montowałem według rysunków Modesta Nikandrowicza. Pomiedzy modelem zrobionym u nas przed rokiem a przyrządem nadesłanym z zagranicy nie ma najmniejszej różnicy. Tyle tylko, że model był z grubsza tylko wykończony, a ten przyrząd jest upiękuszony niezliczoną ilością uchwytów i wyłączników.

— To jest niemożliwe — powiedział Cesarski zaniepokojony zrywając się z miejsca. — Dajcie mi schemat...

W pokoju zapanowała cisza. Słyszał się jak w drżących rękach Cesarskiego szeleści arkusz sztywnego papieru. Wszyscy obserwowali inżyniera z natężeniem.

— Tak... To jest mój schemat... — odezwał się wreszcie głuchym głosem.

— A to ci historia — przemówił Batia, ostrożnie odbierając od Cesarskiego rysunek firmowy. — Zobaczmy, czy nie ma tu waszego nazwiska. Nie, nie ma nic. Spójrzcie, towarzysze, na firmowa nalepkę, może tam jest nazwisko wynalazcy?

Parę osób zaczęło oglądać przyrząd ze wszystkich stron.

— Nie ma nic... Tylko nazwa firmy...

Dla obecnych nie było w tym zresztą nic dziwnego, ponieważ dobrze wiedzieli, że za granicą nigdy nie wymieniają na szyldzikach firmowych nazwisk wynalazców, którzy są twórcami przyrządów.

— Zdaje mi się, że wasz artykuł ze schematem przyrządu był drukowany parę lat temu? — zwrócił się Batia do Cesarskiego.

— Rzeczywiście! Później przetłumaczono go i niedawno wydrukowano

w zagranicznym piśmie — odpowiedział Modest Nikandrowicz.

— Oto widzicie, towarzysze, jak to bywa! — rozległ się wśród ciszy głos Bati. — Okradziono naszego radzieckiego wynalazcę... Szukajcie jego nazwiska na przyrządzie, szukajcie jego nazwiska na dołączonym schemacie, spróbujcie znaleźć jego nazwisko w katalogach firmy i rozlicznych publikacjach — nie znajdziecie go! Okradziono nie tylko wynalazcę, okradziono jego ojczyznę. Do czego zmuszony był wynalazca przed rewolucją? Musiał jak najbardziej reklamować swój wynalazek, żeby zainteresować przedsiębiorców. A jakie były tego rezultaty? Przykładów mamy dość. Wynalazek rosyjskiego inżyniera zostaje zrealizowany za granicą i jakiś tam Marconi czy Edison przywłaszcza sobie jego pracę. Tak było dawniej. Cóż jednak zmusza dzisiaj niektórych naszych konstruktorów aby, nie czekając na zrealizowanie swojego wynalazku, reklamowali go i krzyczeli o tym na cały świat. Zastanówmy się nad tym... Zobaczycie, co się dzieje. Wynalazca ogłasza swoją pracę i nie troszczy się należycie o jej urzeczywistnienie. Cieszy się, że wyprodukował wzorcowy przyrząd i tym się zadawała.

— Przyrząd Modesta Nikandrowieza znakomicie pracował! — dał się słyszeć głos Kosti Utoczki.

— Jak widzicie, nawet dobrze działał! Cóż to oznacza, towarzysze? Niewiarę we własne siły? Strach po prostu pomyśleć! Wynalazca zdyskwalifikował własny przyrząd pomiarowy i zażądał zagranicznego. Sądził, że zagraniczny będzie lepszy, czyż nie tak? A z zagranicy przysyłają mu jego własny aparat! Takie to czasem bywają sprawy...

— Skandal! — wrzasnął Gorszkow. — Za takie rzeczy należy pociągać do odpowiedzialności sądowej.

— Kto tu winien? — rozległ się czyjś głos.

— Za pozwoleniem, towarzysze!... — zawołał Cesarski zrywając się ze swego miejsca. — Za pozwoleniem, towarzysze... — powtórzył ciszej. — Mnie chcecie oddać pod sąd? Za co? To jakieś nieporozumienie.

Inżynier otarł drżącą ręką spocone czoło. Utkwił błędny, zdumiony wzrok w zagranicznym przyrządzie i nie panując nad nerwami, ciągnął dalej:

— W moim artykule wydrukowanym w miesięczniku... Ten artykuł miał charakter ogólnego przeglądu ostatnich osiągnięć techniki. Nie ujawniałem wcale istoty wynalazku... ręczę wam. Przecież to łatwo sprawdzić. Za cóż więc mam być sądzony?...

— Ale jak to się stało? — zapytała Zoja Władimirowna.

Cesarski nic nie odpowiedział.

— Tak, towarzysze, to bardzo pouczający wypadek — mówił dalej Batia. — Co pobudza niektórych konstruktorów, aby jak najprędzej opowiedzieć o swym wynalazku? Chorobliwa ambicja! Niechże o tym dowie się jak najwięcej ludzi. I oto widzicie, do czego to czasami doprowadza. Nie trzeba uganiać się za sławą, przyjdzie sama do was. Trzeba zatroszczyć się o udoskonalenie wynalazku, zatroszczyć się o wcielenie go w życie. Wtedy imię wasze znane będzie w całym kraju. Dzisiejszy wypadek, towarzysze, jest nauczka dla tych, którzy kierują się nie tyle miłością do ojczyzny i troską o jej potęgę, ile żądzą sławy i dążeniem do osobistego powodzenia.

Rozległy się huczne oklaski i głośnie okrzyki: „Racja! Zupełnie słusznie!“

Modest Nikandrowicz zbladł i ostrożnie przeciskając się między zebranymi, zbliżył się do miejsca, gdzie stał aparat. Uważnie obejrzał niklowane dźwigniki sterujące i bez słowa skierował się ku drzwiom. Odgłosy

jego kroków rozlegały się donośnie wśród zapadłej nagle ciszy.

— Modeście Nikandrowiczu, dokąd że to?... — odezwał się dyrektor zakłopotany. — Nie powinniście się obrażać, jesteście wśród swoich towarzyszy i kolegów...

— Wcale się nie obraziłem, towarzysze... — powiedział z wolna Cesar-ski odwracając się do siedzących na sali. — Wszystko, co tu mówiono — jest słuszne... Proszę zebranych, aby pozwolili mi odejść... Muszę pomyśleć, muszę koniecznie coś sprawdzić...

Nikt mu nie odpowiedział.

Cicho zaskrzypiały drzwi. To zamknął je za sobą opuszczający naradę Modest Nikandrowicz.

Utoczkin i Gorszkow wstali i wyszli z sali, aby odprowadzić inżyniera.

Cesarski doznał do swej pracowni. Zdawałoby się, że wszystko jest na swoim miejscu: obszerne biurko założone książkami i rysunkami, wygodny, obity skórą fotel, na ścianie te same obrazy i zdjęcia.

— Chcą mnie sądzić... sądzić... — cicho szepcze Cesar-ski.

Opadł ciężko na fotel.

Wzrok Modesta Nikandrowicza zatrzymuje się na jaskrawej plamie, ostro rysującej się na biurku. To błyszcząca okładka zagranicznego pisma. W tym właśnie miesięczniku umieszczono przekład artykułu o aparacie do pomiarów natężenia ultradźwiękowych fal.

Modest Nikandrowicz zaczyna przeglądać pismo.

Oto jego artykuł. Inżynier zatapia się w nim, po paru minutach wyciąga drżącą ręką z kieszeni marynarki wieczne pióro i z pasją podkreśla jakiś wiersz. Ale stalówka nie chce pisać na błyszczącym papierze. Modest Nikandrowicz potrząsa piórem. Na próżno! W żaden sposób nie może nakreślić linii.

— O — oo... do diabła! — wykrzykuje głośno i z całej siły ciska pió-

rem o ścianę. — To tak! Ach, dranie!

Ręce jego drżą, twarz pąsowieje. Zrywa się, z hałasem odsuwając fotel. Podbiega do fotografii zawieszonych na ścianie. Kurczowo chwytając rękami za ramkę jednego ze zdjęć, urywa je z gwoździa: jest to fotografia zagranicznego uczonego, który w swoim czasie tak oczarował Cesarzowskiego.

Zbliżywszy fotografię do twarzy Modest Nikandrowicz przypomina sobie wszystkie szczegóły rozmowy. „Wielka szkoda — mówił gość — że nie mogę was spytać o wszystko. To może zaszkodzić waszej firmie. Będziemy mówili o drobiazgach...”

I oto on, Cesarzowski, chcąc zaimponować gościowi, mówił bez przerwy o przeróżnych „drobiazgach”, które same przez się nie zdradzały naturalnie tajemnicy wynalazku, ale... Inżynier zrozumiał dopiero teraz: jeżeli połączyć te szczegóły z danymi ogłoszonymi w artykule, to tajemnica wynalazku przestaje być tajemnicą.

Oto dlaczego sprowadzony z zagranicy przyrząd jest dokładną kopią jego własnego wynalazku.

— Pod sąd! — wpadając w szal, krzyczał inżynier. — Trzeba mnie oddać pod sąd... pod sąd...

Rozlega się brzęk rozbitego szkła z rzuconej na podłogę ramki. Pada z hałasem krzesło. W powietrzu unoszą się w dzikim wirze strzępy błyszczącego papieru.

Cesarzowski rwie na strzępy zagraniczny miesięcznik.

— Jestem przestępcą... jestem przestępcą — krzyczał wciąż Modest Nikandrowicz, gdy wstrząsanego gwałtownymi dreszczami układano do łóżka.

Rozdział ósmy

Do siedzącego na ławce w dyżurce Panfieryeza podszedł profesor Tołmazow.

— Czy wy tu mieszkacie? — zapytał profesor.

— Tak.

— Chcę się was poradzić.

— Bardzo proszę! Na pewno ktoś was do mnie skierował?

— Nie, nikt nie skierował — sam zdecydowałem zwrócić się do was. Jestem profesorem paleontologii. Paleontologia — jest to nauka poświęcona badaniom pozostałości zwierzęcego i roślinnego świata, który istniał na ziemi wiele milionów lat temu. Mam do was taką prośbę. Potrzebny mi jest kret... Może znacie chłopaka, który mógłby mi go złapać?

— Czy kret potrzebny jest dla celów naukowych?

— Tak, dla naukowych.

— **W** takim razie nie ma o czym mówić — uroczyście odpowiedział Panfierycz wyjmując z kieszeni fajkę. — Jak tylko przyjdzie mój zastępca, wyruszymy w pole. Pójdziemy razem, jeśli chcecie.

Niebawem leśną drożynką, dyskutując o nauce, szli Panfierycz z Tołmazowem. Zaopatrzeni byli w łopaty.

Nagle uwagę ich zwróciła głośna rozmowa rozlegająca się w lesie.

— Pytam was, czy stosunki pomiędzy nami są normalne, czy też nie?

— Dlaczego milczycie? — dał się słyszeć głos dziewczyny.

— Nie są normalne — odpowiedział młodzieniec zmieszany.

— Jak długo to będzie jeszcze trwało? Nie mogę godzić się na takie stosunki.

Tołmazow i Panfierycz wyszli w tej chwili na polankę. Ujrzeni Nataszę

i Kostię siedzących do nich plecami.

— To jakaś kłótnia — odezwał się profesor. — Sprawa, jak widać, osobista. Idźmy po cichu, żeby nas nie zauważyli.

I obaj skierowali się w boczną ścieżkę.

— Powinniście wpłynąć na kolegów w waszej pracowni — denerwowała się dziewczyna. — Współzawodnictwo przekształca się u nich w rywalizację. Na jakiej podstawie na przykład powiedział Katuszkin, że w kopalnianym świdrze przy szybkości, z jaką odbywała się próba łodzi, rylce też uległy stępieniu?

— Miał do tego podstawę; przecież rylce w świdrze i w łódce są takie same. To wasz Trubnin doradził nam, aby wmontować właśnie takie...

— Na pewno ustawiliście je nieprawidłowo! Trubnin nie mógł wam źle doradzić.

— Co to za ludzie! Sprzecząją się nawet w desie — przemówił Panfierycz, gdy odsunęli się na znaczną odległość. — Tak się to już dzieje, towarzyszu profesorze. Gdy tylko spotyka się dwóch współpracowników, jeden z pracowni Krymowa i drugi z pracowni Trubnina — zaraz zarczy-na się spór... Nie sprzecząją się tylko ich szefowie, podobno nawet pomagają sobie wzajemnie. Zresztą i współpracownicy też pomagają sobie, tylko bardzo często się sprzecząją. Jeden powiada: „To nasza maszyna jest niezastąpiona”, a drugi: „Tak, naturalnie, ale nasza przynosi więcej korzyści”. I tak wciąż.

— Wiecie, Panfierycz, dobrze, że dyskutują tak gorąco, a jednocześnie pomagają sobie wzajemnie — to bardzo dobrze. Ja też mam zamiar posprzeczać się z nimi...

— Tak?... No to chyba w sprawach naukowych bez sprzeczki nie można zrobić ani kroku...

*

* *

Krymow zwołał małą naradę w swoim gabinecie. Trzeba było podsumować dotychczasowe wyniki i nakreślić plan dzisiejszej pracy. Po pierwszej próbie, przeprowadzonej osobiście przez dyrektora, maszyna jeszcze dwa razy podróżowała pod ziemią. Jeden raz kierował nią Krymów, drugi raz, — Kostia: nie sposób było odmówić jego gorącym prośbom.

Ustalono, że konstrukcja odpowiada wymogom eksploatacji i na podstawie doświadczeń można przystąpić do budowy dużej maszyny — prawdziwego podziemnego statku.

Jednak nie wszystkie zagadnienia zostały rozstrzygnięte. Przede wszystkim — sprawa rylców. Wskutek znacznej szybkości, z jaką maszyna przesuwiała się pod ziemią, rylce często tępiły się. Krymow długo głowił się nad tym, jak usunąć ten. brak. Projekty powstawały jeden, po drugim. Na przykład Katuszkin proponował w miarę zużycia się rylców zamieniać je zapasowymi. Ale dokonywać zamiany pod ziemią nie jest łatwo, a nadto odbiłoby się to na szybkości posuwania się łodzi. Trzeba było wymyślić coś innego...

Brak radaru dźwiękowego również niepokoił Olega Nikołajewicza. Krymów po raz dziesiąty przypominał sobie szczegóły swojej podróży pod ziemią... Zakręcają masywną pokrywę wjazdu. Po raz ostatni ogląda podziały przyrządów pomiarowych, oświetlonych zielonym fluoryzującym światłem. Naciska pedał służący do wprawienia w ruch maszyny. Łódka poczyna drżeć. Rozlega się jednostajny, zgrzytliwy dźwięk.

Krymow usiłuje opadać jak najbardziej stromo. Coraz to pociąga ku sobie dźwignię sterów głębinowych. Od czasu do czasu kabina ulega gwałtownym wstrząsom: to łódź natrafiła na duże kamienie. Jedno takie

uderzenie omal me wyrzuca go z siedzenia.

O ile pewniejsza byłaby podróż, gdyby w łódce był zainstalowany radar dźwiękowy. Wielkie kamienie ukazywałyby się na ekranie i maszyna mogłaby ja omijać, podobnie jak podwodna łódź omija rafy...

Oleg Nikołajewicz spostrzega, że szybkość ruchu zmniejsza się stopniowo. Wyraźnie mówi o tym przyrząd pomiarowy. Wówczas Krymow zwiększa obroty silnika elektrycznego. Wycie wirnika podnosi się o ton wyżej, melodyjny dźwięk staje się gwizdzący, przejmujący. Łódka nieznacznie tylko zwiększa szybkość. Wskazówka przyrządu zatrzymuje się i znów spełza na dół. Przechyla więc ster głębinowy, aby rozpocząć wynoszenie się łodzi ku górze — dalsze zagłębianie się może doprowadzić do katastrofy. Maszyna unosi się w górę bardzo wolno pomimo szalonych obrotów silnika. Rylce, umieszczone na dziobie, kruszą ze zgrzytem napotykanne kamienie.

Nieszkończenie długie i nużące jest wznoszenie się na powierzchnię. W pewnej chwili Krymow czuje jednak, że rylce nie wgryzają się już w ziemię. Obracają się z wielką szybkością, tnąc powietrze.

Unosi się pokrywa i oto Oleg Nikołajewicz jest już w objęciach swych przyjaciół. Wszyscy rzucają się, aby obejrzeć maszynę i po chwili jest już wiadome, że rylce stępiły się i nie nadają się do dalszej pracy.

Wszystko to szybko przemknęło w myślach Krymowa. Zaczął się przysłuchiwać dyskusji.

— Trzeba zaprojektować automat, który by wymieniał rylce w miarę ich zużywania się — nalegał Katuszkin.

Wszyscy zrozumieli, że zmontowanie takiego automatu znacznie skomplikuje konstrukcję maszyny. Trzeba jednakże coś postanowić. Dyrektor domaga się opracowania ostatecznego planu budowy maszyny naturalnej wielkości w najbliższym czasie.

W chwili najgorętszej dyskusji otworzyły się drzwi i na progu zatrzymał się niezdecydowanie profesor Tołmazow.

— Wybaczcie, że przeszkadzam, ale mam do was pilną sprawę — zaczął mówić zwracając się do Krymowa.

Stukając swą sękatą laską, profesor wszedł do pokoju. Za nim podążał Panfierycz.

— Przyszliśmy w bardzo ważnej sprawie — powiedział Tołmazow. — Musimy wam oznajmić...

— Siadajcie, proszę — zaproponował Katuszkin. — Jak się u nas czujecie?

— Czy macie tu tablicę? Kredę? — z ożywieniem zapytał profesor, nie odpowiadając na pytanie konstruktora.

— Towarzysze, przynieście tablicę i kredę — powiedział Krymow. Po paru chwilach staruszek stał już przed tablicą z kredą w ręku.

— Czy wiecie, jak są zbudowane zęby u gryzom? Spójrzcie tutaj. Profesor narysował na tablicy szeroką, białą linię.

— To jest rdzeń zęba, zbudowany z bardzo mocnej kości. Po bokach warstwa kości jest znacznie miększa. Rozumiecie? Następne warstwy są z jeszcze miększej kości. Zwierzę gryząc ściera najpierw miękkie warstwy, rdzeń zaś niszczy się mniej. W rezultacie rdzeń zawsze będzie wystawać nad pozostałą częścią kości. Cóż z tego wynika?

— Nie buntuj się, nie kręć się. Nic z tego nie będzie, mój kochany — odezwał się nagle Panfierycz.

Wszyscy odwrócili się w stronę dozorca, który usiłował wepchnąć coś do kieszeni.

— Proszę o uwagę — powiedział ostro profesor. — Oto rdzeń zęba mniej narażony na ścieranie się zawsze się wznosi nad pozostałą częścią kości i dzięki temu ząb, mimo że gryzoń długo nim pracuje, jest zawsze

ostrzy.

— Oj — krzyknął Panfierycz.

— Co się stało? — zapytał Krymow.

— Naukowy dowód... proszę.

Mówiąc to Panfierycz pokazał Krymowowi swój palec. Sącząca się z niego krew kroplami padała na podłogę.

— Zęby, rzeczywiście ostre — mówił dalej Panfierycz — Jak schwyaci...

— Kret, towarzysze — spokojnie powiedział profesor. — Najzwyklejszy kret. Ofiara, którą poniósł Panfierycz, jest niepotrzebna, trzeba umyć i opatrzyć palec. Macie apteczkę?

Ktoś podbiegł do oddziału po apteczkę,

— Na wzór zęba gryzonia skonstruowany jest przez znakomitego radzieckiego wynalazcę Ignatowa przyrząd do cięcia — rozległ się głos.

— Tak, towarzysze, wynalazca Ignatow przestudiował budowę zęba gryzonia wynalazł nigdy nie tępiący się przyrząd, służący do zimnej obróbki metali — potwierdził profesor. — Dlaczego my, drodzy towarzysze, nie mielibyśmy zaopatrzyć swojej maszyny w samoostrzące się rylce?

— Widzicie więc, o co chodzi — zaczął Katuszkin. — Na podstawie ścisłych obliczeń, dokonanych przez bardzo doświadczonego fachowca, Piotra Antonowicza Trubnina, jest faktem bezspornym, że do pracy w ziemi najoszczędniej jest stosować rylce z ujemnym kątem oporu. Potwierdza to praktyka. Rylce z dodatnim kątem zużywa wiele energii. Szybkobieżny świder kopalniany też pracuje rylcami z ujemnym kątem, więc jest niemożliwością zastosować tu zasadę samoostrzenia zaproponowaną przez inżyniera Ignatowa.

— Co? — groźnie zapytał Tołmazow. — Jak mam was rozumieć? Natura w ciągu wielu, wielu milionów lat, w drodze długotrwałego naturalnego doboru wytworzyła najbardziej doskonałe narzędzie, aby przy

jego pomocy z najmniejszą utratą energii rozpulchniać ziemię, a wy opowiadacie o jakimś tam ujemnym kącie. Co to znaczy, towarzysze? Inżynier Ignatow uznał za możliwe zastosowanie zasady, według której jest zbudowany ząb gryzonia, przy cięciu stali, a wy nie chcecie jej zastosować przy spulchnianiu ziemi. Przecież ząb kreta jest specjalnie przystosowany do rozpulchniania ziemi.

— Nie sprzeczczać się, towarzysze, z profesorem — wtrącił się Panfierycz. — Wszystko jest naukowe, nie ma się o co sprzeczczać.

W pokoju zapanowała cisza. Krymow wstał od stołu i podszedł do tablicy. Wziąwszy do ręki kredę, długo wpatrywał się w szkic zęba.

— Więc w takim razie szliśmy błędną drogą — zauważył Katuszkin zdenerwowany.

— Wygląda na to — powiedział Oleg Nikołajewicz. — Na tej zasadzie można skonstruować rylce, który będzie pracował znacznie lepiej od rylca Trubnina.

— Dlaczego więc Trubnin nie zwrócił na to uwagi? Dziwne... — zauważył Katuszkin.

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego — powiedział spokojnie Krymow. — Niestety, Piotr Antonowicz nie interesuje się zoologią i w ogóle naturą.

— Macie rację — zgodził się Katuszkin. — On uznaje tylko technikę. Nawet mu do głowy nie mogła wpaść taka myśl.

— Teraz jest to jasne, towarzysze — powiedział Krymow. — Popatrzcie tu...

Zaczął kreślić kredą profil rylca, odpowiedniego do pracy w ziemi.

— Ten szczegół jutro sprawdzimy — postanowił Oleg Nikołajewicz. — Samo ostrzenie będzie przebiegać bardzo intensywnie.

Obecni z natężeniem śledzili rękę Krymowa kreślącą białe linie.

— Bądźcie spokojni, wszystko jest bardzo naukowe — zaczął znów Panfierycz. — Weźmy na przykład kreta: czy nosi on zęby do szlifierza? Spójrzcie tylko na tego bohatera...

Mówiąc to wyjął z kieszeni małe zwierzątko z czarną, lśniąca sierścią i położył je na stole.

— Proszę bardzo, badajcie.

— Towarzysze — zawołał Katuszka gwałtownie wymachując ręką. — Georgija Stiepanowicza Tołmazowa, który podał nam tak wspaniałe pomysły, w górę!...

W gabinecie wszczął się hałas nie do opisania.

W ciemnym pokoju siedzą ludzie. Patrzą na wielki ekran fosforyzujący zielonym światłem. Na ekranie widoczny jest kościec poruszającego się zwierzęcia: zwija się kręgosłup, ruszają się zębra, czaszka wykonuje jednostajne obroty w obie strony.

— Gdzie on chce się przedostać? — słychać w ciemności głos Bati.

Profesor Tołmazow odpowiada.

— Zakopaliśmy na przynętę kawałek mięsa.

— Czyż on może wyczuć mięso pod ziemią?

— Tak, węch tego zwierzęcia jest niezwykle rozwinięty, w przeciwnym razie trudno byłoby mu wyszukiwać dżdżownice, którymi się żywi.

— Dlaczego on wciąż rusza głową naprzód i w tył? — pyta Griemiankin.

— Na tym polega jego zasadnicza praca. Wyszczrzywszy zęby, zwierzę pracuje nimi niby rylcami po to, żeby spulchnić przed sobą glebę. Przednimi łapami i mięśniami szyi rozsuwa poruszoną ziemię na obie strony. Przy pomocy tylnych nóg opiera się o grunt i tym sposobem posuwa się naprzód.

Obok profesora siedzi Krymow, Nie odrywa oczu od powiększonego

odbicia kośćca. Przecież to jest poruszający się schemat mechanizmu podziemnej łodzi. Krymowowi wydaje się, że kości zamieniają się w stalowe dźwignie i części maszyn... Zapala się światło. Obecni podnoszą się i podchodzą do wielkiego aparatu rentgenowskiego. Jest to defektoskop — aparat do wykrywania wgłębień i pęknięć w metalowych odlewach i w częściach maszyn. Przy jego pomocy w instytucie dokładnie badają odlewy przed ich obróbką, badają również gotowe już części. Potężny snop promieni rentgenowskich przenika pokład metalu i na wielkim ekranie można dostrzec najmniejsze wady ukryte wewnątrz. Dzięki aparatowi rentgenowskiemu można zapobiec najrozmaitszym uszkodzeniom maszyn i tym samym uniknąć awarii.

Tym razem badano nie metalową część czy odlew. W dużym drewnianym pudle napełnionym ziemią, znajdował się kret. Przebił on w ziemi tunel i przedostawał się do zakopanego w glebie mięsa.

W naturze istnieją i inne żyjące stworzenia, które mogą się przesuwać w zbitym gruncie. Jest ich dużo. Najbardziej charakterystyczna pod tym względem jest larwa morskiego żuka okrętowego. Podróżuje ona w pokładzie drzewa w dowolnym kierunku. Zmienione w proch drzewo larwa częściowo połyka, częściowo za pomocą łapek usuwa w tył do zrobionego przez nią otworu. Mocnymi zębami wyposażyła natura tę larwę, może ona bowiem przegryźć osłonę ołowianej rury i nawet miękkie kamień.

Ludzie obecni w pracowni w skupieniu słuchają opowiadania starego profesora. Nawołuje on inżynierów, by uważnie obserwowali otaczającą ich przyrodę, by ją badali.

— Czy ptak unoszący się w powietrzu nie jest pierwowzorem współczesnego szybowca? — wykrzykuje. — Czy zwyczajna ryba nie jest prototypem podwodnej łodzi? Dlaczego więc nie interesuje nas kret i larwa żuka okrętowego? Przecież budowa ich doskonalila się w ciągu

miliardów lat w zaciętej walce o byt. Te rodzaje, których rozwój szedł błędną drogą, ginęły i tylko najbardziej przystosowane do życia pozostawały.

„Masz tobie, oto „naukowiec oderwany od życia“... — myślał Katuszkin przypominając sobie, jak nieprzychylnie powitał profesora. — Z początku doradzał, jak produkować nietępiące się rylce, a teraz pokazał, jak z nich korzystać”.

„Okazuje się, że wiedza przyrodnicza, w szczególności zoologia, może być użyteczna i dla ludzi zajmujących się techniką” — myślał Trubnin przypominając sobie swoje rozmowy z Zoją Władimirowną.

Rozdział dziewiąty

Wstrząs nerwowy na długo złożył do łóżka Modesta Nikandrowicza Cesarskiego. Lekarz zabronił zwracać się do niego z pytaniami mającymi łączyć z pracą, radził powstrzymać się od częstych odwiedzin chorego.

A tymczasem praca przy podziemnym radarze szła swoim trybem. Zastępował Cesarskiego konstruktor Paweł Pawłowicz Czibisow. Z wyjątkowym uporem pracował zespół starając się skończyć opracowanie radaru jak najszybciej. Bardzo było ciężko pracować: wiele niejasnych kwestii wyłoniło się przed pracownikami laboratorium. Rozstrzygnąć te wątpliwości mógł tylko Modest Nikandrowicz, ale on leżał chory i nikt nie odważał się go niepokoić.

— Byłem u niego wczoraj wieczorem — opowiadał Paweł Pawłowicz kolegom. — Stan jego nie uległ zmianie: leży nieprzerwanie zapatrzony w jeden punkt, tak jak dawniej, i najwidoczniej nic go nie interesuje.

— Próbowaliście mówić mu o przesunięciu faz? — nieśmiało zapytał jeden ze słuchaczy.

— Dawałem mu to do zrozumienia, w ogólnych zarysach naturalnie. Mówiłem, że łamiemy sobie głowy...

— Cóż on na to? —

— Nic, leży. Jeden tylko raz zapytał: "Czy wykonaliście ogólne zestawienie wyników obserwacji?" Odpowiedziałem: „Wykonaliśmy“. Myślałem, że chce zobaczyć albo w inny sposób wyrazi chęć przyjscia nam z pomocą, a tu mc...

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Batia.

— Wczoraj znów rozmawiałem z doktorem — zaczął Iwan Michajłowicz zwracając się do Czibisowa. — Dlaczego — pytam go — chory nie jedzie się leczyć. Przecież proponują mu najlepsze sanatoria, najlepsze domy wypoczynkowe. Wreszcie mógłby pojechać po prostu na wieś. Ilu ludzi go namawiało. Czyż sam nie rozumie, że konieczna jest zmiana otoczenia?

— I cóż powiedział lekarz? — zapytał Czibisow.

— „Pierwszy raz w życiu widzę takiego chorego — mówi — to jest bardzo dziwne...”

Paweł Pawłowicz zaczął opowiadać o wynikach pracy ostatnich dni. Ale Batia z roztargnieniem słuchał instruktora: niepokoił go stan Cesarzskiego.

Iwan Michajłowicz pierwszy dowiedział się, że zagraniczny pomiarowy przyrząd, którego brak tak hamował pracę w konstrukcyjnej pracowni Cesarzskiego, prawie się nie różni od modelu przyrządu wynalezione go w swoim czasie przez Modesta Nikandrowicza. Chcąc, żeby Cesarzski prędzej zrozumiał swój błąd, Batia przyspieszył odbiór sławetnego przyrządu. Nie przewidział jednakże tego, że zrozumiawszy swój błąd,

inżynier tak bardzo się tym przejmie i przypląci to chorobą. Znając pełne radości życia usposobienie Modesta Nikandrowicza można było sądzić, że będzie traktował całą sprawę z większą prostotą — jak koleżeńską naganą. Dzięki późniejszym wyjaśnieniom chorego, Batia dowiedział się o prawdziwej przyczynie wstrząsu nerwowego Modesta Nikandrowicza.

Nieobecność Cesarskiego hamowała pracę. Batia jednak wierzył w powodzenie zespołu i uważnie śledził jego pracę,

— Jak pracuje nowy, zagraniczny przyrząd? — zapytał pewnego razu Batia zwracając się do Czibisowa.

— Bardzo źle, nierównomiernie, skala fal, którą wymierza, jest znacznie niższa niż w modelu zbudowanym przez Cesarskiego,

— Widzicie, co się stało — mruzczał Batia.

— Trzeba dokonać skomplikowanych, matematycznych wyliczeń — ciągnął Paweł Pawłowicz. — Nie wiem, komu to poruczyć. Praca bardzo odpowiedzialna.

— Mogę wam polecić młodego, ale bardzo zdolnego matematyka — zaproponował obecny przy tej rozmowie Jermołow.

— Kto to taki? — zainteresował się Batia.

— Olszański. Człowiek bardzo skromny, nieśmiały, ale ręczę, że da sobie radę z najtrudniejszym zadaniem.

Postanowiono więc, że Modest Nikandrowicz poprosi dyrektora o przeniesienie matematyka na jakiś czas do pracowni badań elektrycznych.

* * *

Nikt z domowników Modesta Nikandrowicza nie wiedział, że z nastaniem nocy chory wstaje z łóżka, pospiesznie wkłada szlafrok i starając się nie robić hałasu, idzie do swojego gabinetu.

W gabinecie Cesarskiego, według rady lekarza, przestawiono meble, usunięto niektóre zdjęcia, schowano zagraniczne tygodniki i książki: nic

nie powinno przypominać choremu o przyczynie głębokiego wstrząsu.

Cesarski siada przy biurku, ostrożnie odsuwa szufladę, wyjmując papier i zaczyna pisać. Dzieje się to prawie co noc.

Pewnego razu późno wieczorem Modest Nikandrowicz zażądał przyścia gońca. Dał mu niebieską teczkę i wytłumaczył, że trzeba to odnieść do pracowni badań elektrycznych i oddać Pawłowi Pawłowiczowi Cybisowi. Gонец obiecał inżynierowi, że wypełni ściśle polecenie.

Paweł Pawłowicz i inni współpracownicy byli nieobecni, W służbowym gabinecie Cesarskiego, który obecnie zajmował Paweł Pawłowicz, robiła porządki sprzątaczką. Wzięła więc od gońca teczkę i schowała ją do szuflady biurka.

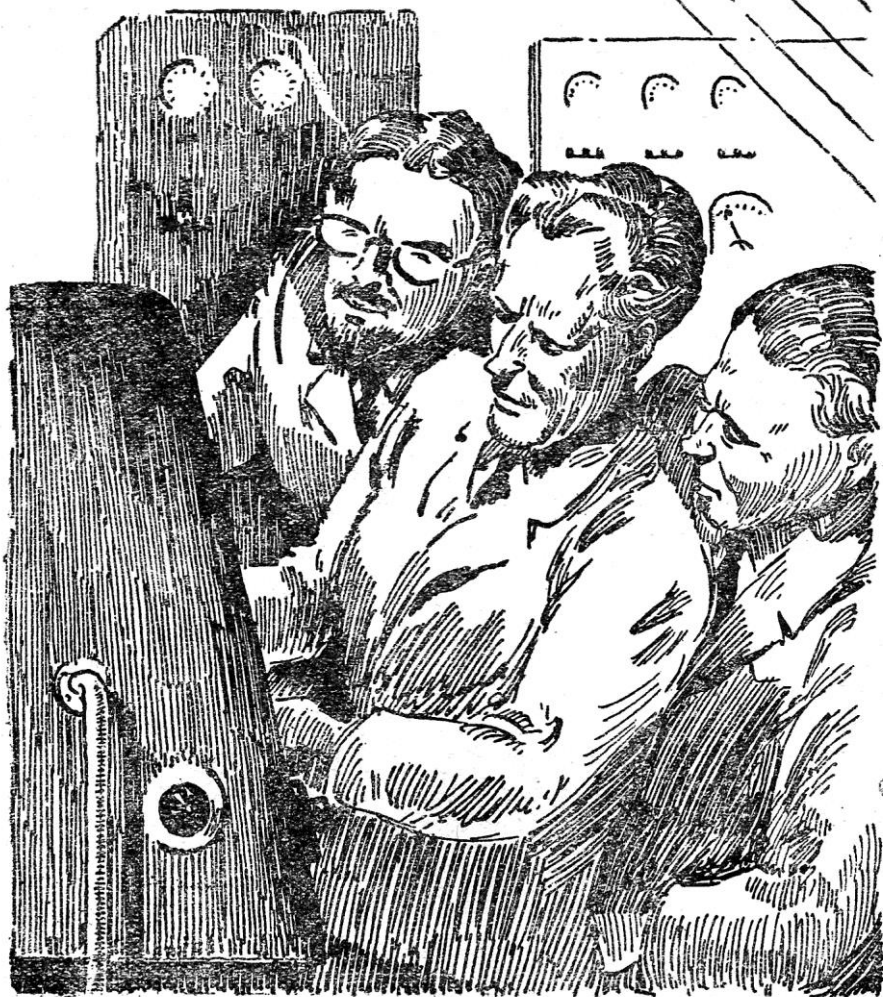
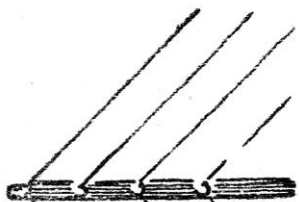
Następnego dnia wczesnym rankiem Olszański — jasnowłosy młodzieniec z niebieskimi oczami, zjawił się u Pawła Pawłowicza.

Zapoznawszy się z czekającym go zadaniem, zdecydował, że na jego wykonanie potrzeba mu dziesięciu dni. Paweł Pawłowicz zaproponował mu, aby zajął biurko Cesarskiego. Praca wymagała absolutnej ciszy, więc zdaniem Czibisowa gabinet Modesta Nikandrowicza był najodpowiedniejszym miejscem.

Wieczorem zamierzano dokonać próby aparatury, trzeba więc było starannie się do tego przygotować. Na niezliczonych staraniach i zabiegach upłynął cały dzień. Paweł Pawłowicz pozostawił w pracowni tylko parę osób.

Na długim stole stoi skomplikowany model przyrządu, splecione pajęczyną cienkich i grubych przewodów elektrycznych, okrągły ekran — połyskująca szklana powierzchnia wielkiej katodowej rurki — i skrzynia napełniona ubitą ziemią.

Jakie zadanie mają do rozstrzygnięcia eksperymentatorzy?



Technika zna parę sposobów, które pozwalają „prześwietlać na wylot” nieprzezroczyste ciała. Defektoskopia rentgenologiczna, przyrządy ultradźwiękowe i szereg innych aparatów w większym lub mniejszym stopniu dają się tu praktycznie zastosować. Ale nie „prześwietlać”, a „przenieść obraz na ekran” do dnia dzisiejszego mógł tylko radar — technika „elektrycznego wzroku”, która pozwala lotnikowi lub marynarzowi widzieć poprzez mgłę i chmury zarysy brzegów, nieprzyjacielskie okręty i samoloty. Niestety, ultrakrótkie fale radiowe, mające zastosowanie w radarze, dobrze odbijają się od powierzchni ziemi, lecz nie mogą przeniknąć w głąb ziemi, by ujawnić jej geologiczne pokłady, odkryć jej bogactwa.

Eksperymentatorzy budują przyrząd o koncepcji podobnej do radaru, który pozwala widzieć „z odbicia”. Trzeba więc przystosować nie fale radiowe, które ziemia zatrzymuje i których nie przepuszcza, a ultradźwięk o określonym tonie, nieźle rozprzestrzeniającym się w ziemi. Przecież wykorzystuje się ultradźwięki przy „prześwietlaniu na wylot” metalowych odlewów — dlaczegoż nie wykorzystać go dla obserwacji?

Ultradźwięki mają zastosowanie w dziedzinie morskiej. Na długo przed ukazaniem się radaru istniały na statkach ultradźwiękowe instalacje, które działały w następujący sposób: potężny snop fal dźwiękowych kieruje się do wody. Promienie wysyła specjalny przyrząd umieszczony pod wodą na dziobie okrętu. Dźwięk odbija się od dna, wraca, a czuły mikrofon go odbiera. Według czasu, który jest potrzebny do powrotu dźwięku, z wielką dokładnością określa się głębokość.

Przed budowniczymi podziemnego radaru dźwiękowego stoi jeszcze bardziej skomplikowany problem. Trzeba zbudować taki aparat, który by nie tylko wskazywał przy pomocy ultradźwięku na obecność jakiegoś ciała przed sobą, ale pozwalał określić jego kształt, co jak mówiono, osiągnięto w udoskonalonych radarach.

Przekonawszy się, że wszystko jest przygotowane do próby, Czibisow przesuwa wyłącznik. Na ekranie z wolna ukazuje się mglisty obraz. Paweł Pawłowicz kręci gałki regulatorów. Współpracownicy śledzą uważnie strzałki przyrządów pomiarowych.

Ale wszystko na próżno. Obraz nie jest wyraźniejszy.

Czibisow przerywa próbę. Rozmyśla o przyczynach niepowodzenia. Może ich być bardzo dużo. W skomplikowanym elektrycznym aparacie złożonym z setek drucianych cewek i kondensatorów, najmniejsza niedokładność współdziałania dwóch nawet najdrobniejszych części prowadzi do zakłócenia pracy całego urządzenia.

Porównując wskazania przyrządów, Paweł Pawłowicz znów myśli o tym, że jak najszybsze otrzymanie wyliczeń matematycznych, do których się zabrał Olszański, jest konieczne. Sądząc, że może wyliczenia wstępne wykonane przez matematyka, pomogą mu sprawdzić jego przypuszczenia poszedł do gabinetu Cesarskiego. Przekonawszy się, że na stole nie ma żadnych papierów, Paweł Pawłowicz otworzył szufladę.

Na wierzchu leżała niebieska teczka. Konstruktor nie widział jej nigdy przedtem. Pośpiesznie rozwiązał tasiemki i zaczął uważnie przeglądać papiery.

— Nic nie rozumiem — odezwał się wreszcie. — To są przecież właśnie te wyliczenia, które tak bardzo nam są potrzebne. Ale jak to? Przecież pytałem go przed zakończeniem dzisiejszej pracy. Powiedział, że przystąpił do pierwszej części, ale do końca jeszcze daleko. A tu, spójrzcie.

Obecni patrzą i nie wierzą własnym oczom. Przed nimi wielka praca matematyczna, streszczona krótko i zwięźle. W cyfrach i znakach algebraicznych stojących skośnie i niekształtnie, jak gdyby pisał je mały uczeń, zawarte jest doskonale wykonane matematyczne rozwiązanie.

— To nie do wiary — denerwuje się Paweł Pawłowicz. — Albo

Olszański jest rzeczywiście genialnym matematykiem, albo nic z tego nie rozumiem... W jaki sposób człowiek, który pierwszy raz styka się z danym zagadnieniem, może w ciągu jednego dnia podolać takiej pracy?

Rzeczywiście na to trzeba być geniuszem — potwierdza jeden ze współpracowników.

— Naturalnie, że genialny człowiek — zgadza się drugi.

— Zwróćcie przy tym uwagę na jego skromność: tę pracę uważa za niedokończoną!

— Wszyscy genialni ludzie są skromni. Tak niepozornie wygląda...

Ucieszeni nieoczekiwanym rozwiązaniem skomplikowanego zadania, konstruktorzy z zapałem zabierają się do nowych prób. Pracują z entuzjazmem, zapominając o czasie.

Eksperymentatorzy są coraz bliżej celu. Zamieniają cewki i włączają inne kondensatory, zgodnie z nowymi wyliczeniami. Odbicie na ekranie staje się coraz wyraźniejsze. Obecnie konstruktorzy są na właściwej drodze. Pochłonięci swym zadaniem, przepracowali całą noc.

Z rana do laboratorium przyszedł Olszański. Inżynierowie powitali go radosnymi okrzykami.

—Dziękujemy wam, drogi inżynierze. Obliczyliście bez najmniejszego błędu. — Paweł Pawłowicz serdecznie uściśnął mu dłoń. — Zdumiewające. Jak mogliście to tak prędko zrobić? Jesteście po prostu genialnym człowiekiem.

Matematyk, nie pojmując o co chodzi, długo patrzył na uradowanych inżynierów. Dopiero po chwili odważył się zapytać:

— Powiedzcie... Czy te szkice, które zdążyłem zrobić, okazały się wystarczające? Przecież obliczenia są jeszcze nieakończone.

— Dobry sobie, „nieukończony“ — wykrzyknął Paweł Pawłowicz. — Umyślnie udajecie skromnego? Jak wam się to podoba? — zwrócił się do

otaczających. — Towarzysz uważa, że praca jest nieukończona. A co nam wykazały próby dzisiejszej nocy?

Matematyk uśmiechnął się z zakłopotaniem. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób kilka matematycznych wyliczeń, zrobionych ołówkiem na pięciu stronach uczniowskiego zeszytu, tak wydatnie pomogło inżynierom.

— Mylicie się — oświadczył wreszcie. — Przeceniacie mnie. Nie zdążyłem jeszcze nic zrobić.

— Dajcie spokój, dajcie spokój — przerwał mu Paweł Pawłowicz stanowczym tonem. — Wszystko jest zupełnie jasne i niczego więcej od was nie żądamy... Dziękuję, jeszcze raz dziękuję!

— To dziwne, jak mało było im potrzeba — myślał Olszański opuszczając laboratorium.



* *

Wieczorem Paweł Pawłowicz i dwóch pracowników, którzy brali udział w pomyślnym zakończeniu prób, siedzieli przy łóżku chorego.

Modest Nikandrowicz był bardziej ożywiony niż zwykle i słuchał nowin z dużym zainteresowaniem.

— Zeszłej nocy uzyskaliśmy nareszcie wyraźne odbicie — opowiadał Paweł Pawłowicz. — Tak wyraźne, że o lepszym nawet marzyć nie można.

— Na jaką odległość?

— Opierając się na wszystkich danych, można śmiało twierdzić, że na trzysta metrów. Jutro chcemy wyjechać w pole.

— Doskonale... Bardzo dobrze...

Odwiedzający zauważyli we wzroku Modesta Nikandrowicza żywe zainteresowanie, a nawet jakby przebłysk radości,

— I muszę powiedzieć — ciągnął Paweł Pawłowicz — że bardzo

wydatnie pomógł nam matematyk Olszańska. Znacie go na pewno.

— Bardzo niewiele. W jaki sposób wam pomógł?

— To nadzwyczajna historia. Musicie wiedzieć, że do tej pory Olszański wcale nie był obeznany z naszą pracą. Wyobraźcie sobie, dokładnie w ciągu jednego dnia wykonał on bardzo skomplikowaną analizę matematyczną. Praca olbrzymia, zupełnie nie rozumiem, w jaki sposób mógł to tak prędko zrobić... Wszyscy są zdumieni.

— Dziś tylko o nim mówią w instytucie — dodał jeden z gości.

— Bardzo interesujące... Opowiedzcie, jak to się stało.

— Pracujemy w nocy — zaczął Paweł Pawłowicz. — Wyczuwam, że w systemie anodowego oporu na ostatniej kaskadzie jest coś nie w porządku. Przypominam sobie o matematyku — przecież zabrał się już do obliczeń. Zobaczę — myślę. Możliwe, że zdążył już zrobić coś, co nam może w tym wypadku pomóc. Podchodzę do biurka. Odsuwam szufladę. I cóż myślicie? Widzę niebieską teczkę, zaglądam do niej — matko moja! Olbrzymia praca matematyczna, cała rozprawa. I zauważcie, że zagadnienie postawione jest inaczej, niż myśmy to dotąd robili.

Paweł Pawłowicz, przerwał opowiadanie, ponieważ zauważył, że twarz Modesta Nikandrowicza wydłużyła się i odmalowało się na niej zakłopotanie.

— Nadzwyczaj utalentowany matematyk — dodał jeden z współpracowników.

— Tak... Zdumiewające... — nieokreślonym tonem powiedział Cesarzski, uśmiechając się dziwnie.

Obecni umilkli zrozumiawszy, że podobne rozmowy denerwują chorego. Wszyscy zdawali sobie sprawę, iż Modestowi Nikandrowiczowi trudno jest oswoić się z myślą, że nie on, a ktoś inny zdobył sławę utalentowanego człowieka, którego praca umożliwi wybudowanie

podziemnego radaru dźwiękowego.

*

* *

Następnego dnia w drzwiach gabinetu służbowego Cesarskiego ukazał się Olszański.

— Wejdźcie, wejdźcie! — ucieszył się Paweł Pawłowicz.

— Przepraszam, ale muszę wyjaśnić jedną sprawę. Zaszło nieporozumienie.

— Jakie? — Czibisow zauważył, że gość jest obrażony i patrzy na niego z urazą.

— Widzicie — mówił dalej matematyk — podejrzewam, że nie zasłużyłem na podziękowania, którymi tak hojnie zostałem obdarzony.

— Nic nie rozumiem.

— Jeszcze raz dziękuję za wysokie mniemanie o mojej osobie, ale, niestety, jestem zmuszony prosić o pozwolenie zajrzenia do szuflady biurka, ponieważ zapomniałem tam czegoś.

Paweł Pawłowicz wzruszył ramionami i odsunął swoje krzesło.

— Proszę bardzo, patrzcie.

Olszański nachylił się, odsunął jedną z szuflad i wyjął cienki uczniowski zeszyt.

— Widzieliście to?

— Nie — przyznał się Paweł Pawłowicz.

— Byłem tego pewny... — powiedział Olszański wzdychając z ulgą. — Czy nie moglibyście mi pokazać „mojej” pracy — dodał akcentując słowo „mojej”.

— Proszę bardzo — z gotowością powiedział Czibisow wyjmując z innej szuflady grubą, niebieską teczką.

Olszański wziął ją, otworzył bez pośpiechu i zaczął uważnie oglądać jej

zawartość.

— Nadzwyczajna praca — powiedział uśmiechając się przebiegle.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł młody konstruktor, najbliższy pomocnik Pawła Pawłowicza.

— Zdumiewająca praca — powtórzył Olszański zwracając się do przybyłego konstruktora.

Inżynier popatrzył na niego ze zdziwieniem. Trudno było uwierzyć, że tak bezgranicznie skromny człowiek jak Olszański, wychwala własną pracę.

— Naturalnie, że nadzwyczajne... — potwierdził Paweł Pawłowicz — jakie mogą być wątpliwości?

— Ja nie wątpię! — zawołał matematyk. — Popatrzcie tylko! Przecież to jest imponująca praca. Mógł ją wykonać tylko człowiek od dawna obznajomiony z tą dziedziną techniki, o której tu się mówi.

— To właśnie mnie zastanowiło — zaczął młody konstruktor, ale Olszański mu przerwał:

— Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Praca ta należy do człowieka, który rzeczywiście doskonale zna tę dziedzinę techniki, ale... nie do mnie. Zawstydziliście mnie, towarzysze — w dalszym ciągu niewesoło mówił Olszański. — Zrobiliście ze mnie pośmiewisko. Wczoraj słyszałem rozmowę: mówią o wzorach niby to wyprowadzonych przeze mnie, a ja tych wzorów wcale nie znam. Zacząłem podejrzewać, że coś jest nie w porządku, postanowiłem sprawdzić i widzicie, jak nieładnie wyszło. Nie chcę, aby mi przypisywano cudze zasługi. Przyjdzie czas, kiedy będę miał swoje, być może niemniej cenne.

— Więc co to jest, u diabła! — zawołał Paweł Pawłowicz, chwytając niebieską teczkę.

— Charakter pisma jakiś dziwny... mówił oglądając uważnie zagadko-

wy rękopis. — Jakby dziecko pisało. Zwróćcie uwagę na krzywe litery.

— Rzeczywiście, dziecko lub chory — dodał młody konstruktor.

Charakter pisma wydał się Pawłowi Pawłowiczowi znajomy, ale dręczyły go wątpliwości. Słowo „chory” wywarło na nim magiczne wrażenie. Wyprostował się i przeniósł wzrok z Olszańskiego na swojego pomocnika.

— Cesarski — wymówił wreszcie. To jest jego praca...

*

* *

— Mam przed sobą porywające zadanie naukowe — mówił Katuszkin podniecony.

— Jakie? zapytał Panfierycz zapalając fajkę. — Wiecie, że kwestie naukowe bardzo mnie interesują. Profesor Tołmazow, kiedy łapaliśmy kreta, bardzo chętnie słuchał moich rad. Teraz chcecie, by w celu naukowym złapać nietoperza. Dlaczego mi nie wytłumaczycie? Dlaczego się mnie nie poradzicie?

Katuszkin zrozumiał, że trzeba będzie ulec staruszkowi, i szybko usiadł obok niego na ławeczce.

— Słuchajcie uważnie. Jeżeli czegoś nie rozumiecie, zapytajcie.

Naukowcy zainteresowali się — zaczął tłumaczyć Katuszkin — dlaczego nietoperze w zupełnie ciemnym miejscu, na przykład w grocie, gdzie nie ma nawet promienia światła, latają swobodnie, prędko, nie rozbijają się o ściany i o inne przedmioty? Zaczęli badać. Cóż się okazało? Nietoperz posiada specjalny organ, przy pomocy którego wydaje dźwięk o bardzo wysokim tonie, niedosłyszalnym dla ludzkiego ucha.

— Niedosłyszalny dźwięk?

— Tak, nazwany w nauce ultradźwiękiem. Ten dźwięk, jak zresztą

każdy inny, rozchodzi się w powietrzu z szybkością 333 m/sek, to jest szybciej od lotu nietoperza.

— To znaczy wyprzedza go?

— Wyprzedza, dosięga ściany czy innego przedmiotu znajdującego się na drodze lotu nietoperza, odbija się od przeszkody i wraca podobnie jak echo. Nietoperz słyszy ten odbijający się dźwięk i według niego określa, co się przed nim znajduje. Czyż to nie jest system radaru dźwiękowego?

— Chyba, że tak... — powiedział zamyślony Panfieryez. — Ile więc potrzebujecie nietoperzy?

— Chociaż jednego na początek — ucieszył się Katuszkin. — Coś za- nadto długo grzebią się z wykonaniem radaru. Trzeba im pomóc... Słyszeliście, Cesarski wrócił do pracy. Mówią, że stał się zupełnie innym człowiekiem.

— „Czy słyszeliście?” — obraził się Panfierycz. Naturalnie, że słyszałem. Czy sądzicie, że interesują mnie tylko zagadnienia naukowe? Nie, ludzie są ważniejsi, towarzyszu inżynierze.

— Słusznie, Panfieryez, zgadzam się z wami — powiedział Katuszkin podnosząc się i wyciągając do starego rękę na pożegnanie.

Rozdział dziesiąty

Przed chwilą skończyła się dyskusja nad planem budowy potężnej, poruszającej się pod ziemią maszyny i nad sposobami jej urzeczywistnienia.

Uczestnicy narady wychodzili z gmachu Instytutu, rozmawiając.

— Towarzysze zwycięzcy wnętrza ziemi! Towarzysze zwycięzcy wnętrza ziemi! — krzyczał Katuszkin starając się skupić na sobie ogólne zainteresowanie.

Ale zajęci rozmową ludzie szli nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

— Zwycięzcami wnętrza ziemi będziemy wtedy, kiedy odbędziemy

długą podróż w głąb ziemi — zaproponował Jermołow.

— Natasza, łódź będzie się opuszczać na ogromną głębokość — przekonywał dziewczynę Kostia. — Nie ulega wątpliwości, że się nam uda ustanowić niesłychany rekord. Dotrzemy do wnętrza ziemi, tam, gdzie jeszcze nigdy nie dotarł żaden człowiek. Przewidziano także ochłodzenie maszyny, toteż nie zagraża nam na wielkiej głębokości podniesienie się temperatury. Na pewno ustanowimy rekord.

— Możecie śmiało podróżować. W razie czego przyjdzie wam z pomocą świder kopalniany — mówił Trubnin do idącego obok Krymowa.

— Towarzysze, chwila uwagi! — wołał Katuszkin, wybiegając naprzód. — Wyobraźcie sobie, że przesuwamy się pod ziemią. Raptem zjawia się podziemne jezioro ropy. Jak w tym wypadku trzeba postąpić? — Konstruktor odsapnął i sam odpowiedział na swoje pytanie: — trzeba natychmiast wykorzystać drogocenny skarb.

— W jaki sposób można go natychmiast wykorzystać? — z niedowierzaniem zapytał Gorszkow.

— Zapewniam was towarzysze, nic prostszego... — Przecież ropa pod ziemią znajduje się pod wielkim ciśnieniem — zaczął tłumaczyć Katuszkin, — Podziemna łódź pogrąża się w jezioro. Wszystko kotłuje się dokoła... Dźwignię kierującego steru ciągnę do siebie. Maszyna posłusznie kieruje się do góry. A za łodzią... za łodzią szerokim tunelem, który łódź pozostawia za sobą w ziemi, pod olbrzymim ciśnieniem płynie ropa. Naciska na ogon maszyny i w ten sposób pomaga maszynie wydostać się na powierzchnię. Wyobraźcie sobie na chwilę taki obraz. Maszyna wydobywa się na powierzchnię, a za nią potężny strumień ropy. Tysiące ton ropy! Formuje się jezioro! Czyż to nie bajka?

— Ropę pod ziemią rzadko spotyka się w postaci jeziora. Zazwyczaj jest nią przesiąknięta gleba — zauważyła Zoja Władimirowna i dodała: —

Ale i w tym wypadku nafta jest pod ciśnieniem i pójdzie za łodzią.

— A oto jeszcze jeden przykład... Uwaga, towarzysze! — znów zaczął Katuszkin.

Drugiego przykładu nie udało mu się jednak przytoczyć. Rozległo się rozpaczliwe szczekanie Dżuibarsa. Pies rzucił się naprzód i znikł za zakrętem.

— Pewnie przyjechał profesor? Oczekujemy go — denerwował się Kostia. — Na nikogo tak nie szczeka! Lecę zobaczyć.

Kostia się nie mylił. Szeroko wymachując sękatym kijem, szedł Tołmazow.

— Gieorgiju Stiepanowiczu! Zaczynamy budować podziemną maszynę. Cały okręt. Plany już zatwierdzone. Będzie gotowa już na następną wiosnę — radośnie opowiadał Krymow, mocno ściskając ręką profesora.

— Wiem, wiem przyjaciele. Dlatego przyjechałem. Dowiedziałem się i przyjechałem. Gratuluję, towarzysze, z całej duszy gratuluję.

— Dotrzemy do takich głębin... — zaczął Kostia, ale profesor nie pozwolił mu dokończyć.

— Czekajcie, czekajcie, wszystko to będzie... mam inną propozycję. Na rekordową głębokość zawsze zdążycie opaść. Pierwsza próba maszyny musi być w innym celu. Zaraz opowiem po kolei.

Ktoś zaproponował, by usiąść, i wszyscy ulokowali się na małej polance, pokrytej z lekka pożółkłą trawą.

— Opowiem wam legendę — zaczął profesor — nadzwyczajną, starożytną legendę... słuchajcie uważnie. „Nie ma na ziemi kraju piękniejszego od Auliekizu. Kwitnie on cały rok. Zimą wieją tam wiatry wiosenne. Niby najjaśniejsze, rajskie źródło otacza go złotą wodą rzeka Jangier. Słodki jest odpoczynek wśród cyprysów i muszkatołowych drzew. Radość ogarnia

każdego, kto dostanie się do tej błogosławionej ziemi". To są słowa poety żyjącego w 12 stuleciu.

— Cudowne słowa... — zawołał Katuszkin.

— To jeszcze nie wszystko — uroczyście mówił dalej Gieorgij Stiepanowicz. — „Raptem dał się słyszeć straszny huk. Zakołysała się ziemia i zaczęła się rozpadać wraz z pałacami, świątyniami i ludźmi w nich się znajdującymi... Rzeka opuściła zniszczone kraje. Zaczęły dąć upalne wiatry i nadeszło królestwo śmierci, królestwo piasku”.

— To było trzęsienie ziemi — domyślał się Kostia.

— Zupełnie słusznie, trzęsienie ziemi, w rezultacie którego rzeka Jan-gier znikła pod ziemią.

— Czy ta legenda ma realną podstawę? — zainteresował się Krymow.

— Tak. Podziemna rzeka istnieje. — ciągnął Tołmazow. Mamy podstawy myśleć, że to jest ta rzeka, o której mówi legenda. Płynie ona po równinie, a dochodząc do pustyni — niknie. Właściwie pustynia powstała tylko dlatego, że rzeka schowała się pod ziemię — pozostało tylko wyschnięte koryto. Nie można tam znaleźć wody. Geologiczne prognozy i badania stwierdzają, że pod terytorium pustyni znajdują się wielkie złoża bogactw naturalnych. Ale eksploatować ich nie można. Nie ma wody.

— Czy to możliwe? Trzeba ją znaleźć — zauważył Gorszkow.

— Naturalnie, że trzeba — to nie ulega wątpliwości. Czy robi się coś w tym celu — zapytała Sjemionowa.

— Robi się. Ekspedycja pracuje, ale jeszcze bez rezultatu — odpowiedział Tołmazow.

— Dawno nie byłam na badaniach geologicznych... Siedzę w instytucie i niby pracuję, ale przyznam się, że ekspedycja bardzo mnie pociąga... — marzycielsko powiedziała Zoja Władimirowna.

— Trzeba spróbować szybkobieżnym świdrem kopalnianym — wtrą-

cił Trubnin. — Na wiosnę będzie już gotowy udoskonalony model.

— Nie, towarzysze. Tylko za pomocą łodzi podziemnej. Tylko łódź znajdzie wodę — z patosem zaczął Katuszkin, ale zauważywszy, że Krymow patrzy na niego z niezadowoleniem, nie odważył się rozwinąć swojej myśli.

— I jedno, i drugie będzie można wykorzystać — pojednawczo odezwał się Tołmazow. — Zagadnienie rzeki dawno mnie interesuje. Przecież jestem nie tylko paleontologiem ale i hydrologiem. Wyobraźmy sobie, że podróżujemy z wami pod ziemią w łodzi. Poszukujemy koryta zaginionej rzeki. Na drodze naszej spotykamy pieczary kwarcowe, czarowne podziemne pałace. Zagłębiając się coraz bardziej i bardziej. Burzliwy strumień prowadzi nas do potężnych wodospadów... Podróżujemy tak długo, dopóki nie ustalimy, co można zrobić, by zaopatrzyć pustynię w wodę. Przecież ta sprawa posiada ogromne znaczenie państwowe.

— Przepraszam — wtrącił Katuszkin. — Mówiliście kiedyś, że podróżowanie pod ziemią w naszej łodzi jest bardzo niebezpieczne.

— Jesteście dziwnym człowiekiem — zauważył profesor. — Jak można mówić o niebezpieczeństwie, jeżeli ta podróż jest potrzebna dla sprawy?

*

* *

Dyrektor znów się tuła późną nocą po opustoszałych warsztatach i pracowniach. Przed instytutem stoi olbrzymie zadanie. Trzeba zbudować w najkrótszym czasie potężny okręt podziemny i nowy, jeszcze bardziej udoskonalony świder kopalniany.

— Z radarem teraz wszystko w porządku... — cicho mówi Gremiakin.

Opuszcza oddział montażowy i kieruje się do biura konstrukcyjnego inżyniera Krymowa. Konstantin Grigoriewicz przelotnie patrzy na stoły

kreślarskie i zatrzymuje się obok jednego z nich. Interesuje go skomplikowany rysunek. Ale nie tylko rysunek. Obok leży najwidoczniej zapomniany przez kogoś gruby tygodnik literacki.

Dyrektor otwiera go w miejscu, gdzie leży zapisany arkusik papieru. Spozstrzega wiersze. Imię i nazwisko autora — Walentyń Katuszkin. Tytuł — „Drogi w głąb ziemi”. Greniakin, czyta uważnie. Wzrok jego zatrzymuje się na zapisanym arkusiku. Najwyraźniej jest to list.

...O „gorących krajach” i o wszystkim, **czego** nie widziałem własnym; oczyma, zupełnie zapomniałem. Pracę mamy porywającą. Tylko **zająwszy** się pracą i połączywszy **z** nią swoje życie, znalazłem życiodajne źródło prawdziwego twórczego natchnienia. Tym prawdopodobnie można wytłumaczyć tę okoliczność, że zaczęliście drukować moje utwory. Bardzo **żałuję**, ale nieprędko przyślę nowe **wiersze**. Dawniej pisałem w **wolnych** chwilach. Obecnie rozstrzygamy tak wielkie problemy, że wolny czas nie istnieje. Będę całkowicie zajęty pracą”.

— To też nie jest dobrze. Trzeba będzie z nimi pomówić.

Kładzie głęboko ręce do kieszeni, przez co szczupła jego sylwetka wydaje się przygarbiona, i idzie długim korytarzem, szerokim, zamasyżystym krokiem.

Greniakin wchodzi do pokoju, który zajmuje organizacja partyjna.

— Zamknę drzwi... nie fatyguj się — zamknę — uprzedzająco grzecznie mówi do Bati przekraczając próg. — Muszę z tobą pomówić.

— Z przyjemnością. Siadaj.

— Odnoszę ostatnio wrażenie, że nasi ludzie nie potrafią naprawdę odpoczywać. W takich warunkach nie mam pewności, czy wydajność ich pracy będzie wysoka. Powiedz, proszę, jak twoim zdaniem pracuje nasz klub.

— Dobrze.

— Dlaczego więc nie urządza się wieczorów poetyckich; pomiędzy naszymi współpracownikami są niezli poeci. Na przykład Walentyn Dmitrjewicz Katuszkin. Jego utwory drukują w tygodnikach. Przed chwilą przeczytałem jego poemat „Drogi w głąb ziemi”. Rozumiesz, o co chodzi? Porusza on nie tylko kwestie związane z techniką przedostawania się w głąb ziemi, ale szeroko omawia i inne sprawy. Trzeba, pisze on, poważnie interesować się społeczno-politycznymi kwestiami, a nie, oderwawszy się od otoczenia, tylko swoją specjalnością.

— Wiem, poemat czytałem, w niektórych wypadkach Katuszkin się myli, ale w całości — utwór jest oryginalny, **interesujący**.

— Dopilnowałbyś, aby częściej urządzano wieczory poetyckie w naszym klubie.

— Tak, **będziemy urządzać** takie **wieczory**. Teraz zaś **pomówimy** o propozycjach, jakie wysuwają robotnicy instytutu. Wiesz, oni przewidują wybudowanie łodzi podziemnej i nowego świdra kopalnianego w znacznie **skróconym** terminie — powiedział zapalając fajkę Batia.



CZĘŚĆ TRZECIA

Rozdział pierwszy

W ponurej, wypalanej przez słońce okolicy płynie rzeka. W oddali widać łańcuch gór. Właśnie w tym miejscu zaczyna się bieg rzeki. Ale niedługo płyną jej wody pod upalnym południowym słońcem. Niedaleko miejsca, gdzie rozlokowała się ekspedycja Instytutu Techniki Badań Geologicznych rzeka powoli zniknęła, uchodziła do ziemi.

Przygotowania dobiegały końca.

Wielka, lśniaca stała, poruszająca się pod ziemią maszyna, była już gotowa do startu. Pomiędzy pudłami, przeznaczonymi do załadowania na maszynę, stał Kostia Utoczkin.

Oglądając się na wszystkie strony, za pomocą młotka i śrubokrętu próbował w tajemnicy przed pozostałymi otworzyć ściankę jednego z pudeł. Obok, uważnie obserwując *swego* pana, siedział Dżulbars.

— Szykujecie się do odjazdu — usłyszał nagle Kostia głos mechanika Gorszkowa.

Młodzieniec drgnął i podniósł głowę, usiłując nieznacznie schować narzędzia do kieszeni.

— Tak, naturalnie — mruknął zdetonowany.

— Denerwujecie się.

— Na ogół... trochę — odpowiedział Utoczkin, zmieszany, patrząc na Gorszkowa z miną winowajcy.

— To niedobrze. Wyruszając w tak niebezpieczną podróż trzeba mieć nerwy w porządku. Cóż to przede mną chowacie?

— To tak... nic...

— Psa bierzecie z sobą, czy tu zostawiacie?

— Tu zostawiam — z westchnieniem odpowiedział Kostia. — Profesor Tołmazow stanowczo nie zgadza się...

— Wciąż boi się psa?

— Możliwe... A jednak, jak wyruszać w tak niebezpieczną podróż bez psa? Przypominam sobie, jak na froncie, kiedy trzeba było wychodzić z palącego się czołgu...

— Wiera, wiem — przerwał mu Gorszkow. — Słyszałem już kiedyś o tym.

Obok rozmawiających przeszedł konstruktor Katuszkin.

— Chodźcie tu, towarzysze.

Za nim kilku ludzi niosło ciężkie akumulatory. **Pochód zamykał Panfierycz.** Zobaczywszy dozorcę, Kostia skierował się w jego stronę.

— Mówiłem kierownikowi ochrony — zaczął Panfierycz zrównawszy się z Kostią — najmniej pięciu dozorców trzeba wziąć do ekspedycji. Przecież przy montażu maszyny—zameczaliśmy się! Plac duży, czyż można wszystko ogrodzić?

— Mam do ciebie prośbę, Panfierycz.

— Jaką?

— Chcę zostawić ci psa. Nie będziemy długo pod ziemią, najwyżej trzycztery dni. Dopilnujesz go?

— Po co go tu przywoziłeś? Nie mogłeś go zostawić w domu?

— Myślałem, że profesor Tołmazow zgodzi się wziąć psa w podróż. Nawet kiedyś się zgodził, a potem znów — za nic nie chce. Rozumiesz, zawarzał na niego. Profesor nie rozstaje się z kijem, a Dżulbars tego nie lubi.

— No, co z tobą robić. Trzeba wziąć — nie od razu zgodził się Panfierycz.

— Więc zamknę go do szopy przed samym wyjazdem, a ty go dopilnujesz.

— Niech i tak będzie — odpowiedział stary. — Pójdę, zobaczę, jak odbywa się ładowanie ekwipunku,

W pobliżu maszyny powoli przechadzał się profesor Tołmazow ubrany w granatowy kombinezon, jaki zwykle noszą czołgiści,

— Odjeżdżacie, towarzyszu profesorze? — z radością zawołał dozorca patrząc z uszanowaniem na Tołmazowa.

— Tak, Panfierycz. Za parę godzin będziemy już pod ziemią.

— A ja mam do was taką sprawę — zaczął mówić dozorca. — Chcę wam dać dobrą radę...

— Bardzo chętnie posłucham.

— Nigdy nie wątpcie o trwałości naszej maszyny — powiedział poważnie.

— Nie wątpię! Dlaczego mi to mówicie?

— To tak, na wszelki wypadek... W Instytucie pracuję już od dawna. Ileż to różnych maszyn wybudowano za mojej pamięci. Są one coraz bardziej skomplikowane i złożone. Ta podziemna łódź to drobiazg w porównaniu z innymi! I żeby coś szwankowało w budowie czy naukowo — matematycznym wyliczeniu — tego u nas nigdy nie było. Zaręczam wam, że wszystko jest w największym porządku. Psa zaś brać ze sobą — rzeczywiście nie warto.

Założywszy ręce do tyłu, z miną człowieka, który zamyśla coś niedobrego, Gorszkow czuwał nad załadowaniem ekwipunku do podziemnej maszyny.

— Czy widzieliście Kostię? — zwróciła się do niego Natasza.

— Widziałem... — burknął Gorszkow. — Jest tam — między pudłami. Tchórzy wasz Kostia...

— Jak to, tchórzy? Kostia tchórzy? Na jakiej podstawie to mówicie?

— Widocznie mam podstawy... I nie mogę sobie wyobrazić, jak tu inżynier Krymow będzie wędrować pod ziemię z takim towarzyszem!

Natasza chciała zaoponować, ale widocznie rozmyśliła się, machnęła ręką i poszła odszukać Utoczkina.

W pobliżu maszyny podziemnej stali Sjemionowa i Krymow.

Zoja Władimirowna od dawna szukała okazji do rozmowy z Krymowem. Wreszcie sposobność ta się nadarzyła: wynalazca na chwilę pozostał sam.

— Olegu Nikołajewiczu! Chciałabym wiedzieć, czy jesteście zadowoleni? Pomyślcie tylko, że przecież za kilka godzin spełni się wasze marzenie!

— Oczywiście, jestem zadowolony, Zojo Władimirowna — odpowiedział Krymow. — Niepokoi mnie tylko jedno...

— Co takiego?

— Współczynnik wydajności pogłębiarki jest niski. Z tym stanem nie można się pogodzić... Trzeba będzie dokładnie sprawdzić pod ziemią. Niezadowolony jestem również ze śmig umieszczonych na ogonie.

— Olegu Nikołajewiczu... — z wyrzutem powiedziała Sjemonowa. Wiecznie jesteście z czegoś niezadowoleni. Bez końca pragniecie wszystko przerabiać. Tak przecież nie można! Łódź podziemna wytrzymała wszystkie próby i pokazała się z jak najlepszej strony. Czego jeszcze od niej chcecie? Obecnie nastąpi pierwsze praktyczne zastosowanie maszyny i należy myśleć jedynie o tym. Gdy tylko znajdziecie się pod ziemią, musicie się całkowicie podporządkować profesorowi Tołmazowowi.

— Czyżby? — zdziwił się Krymow. — Pozwólcie, że się z wami nie zgodzę. Obecna wyprawa — to nie tylko badanie geologiczne! To jest równocześnie kontrola maszyny w praktycznych warunkach!

Dalszej rozmowie przeszkadzili zbliżający się do Krymowa dyrektor i Batia.

— Olegu Nikołajewiczu — przemówił Gremiakin. — Chciałbym wam przypomnieć, że od jutra cały kraj będzie śledził pracę maszyny podziemnej. Będziecie bronili honoru nie tylko naszego instytutu, ale i **honoru** przodującej techniki radzieckiej jako całości...

— Będę pamiętał o tym Konstantinie Grigoriewiczu... — odpowiedział Krymow z pewnym wzruszeniem.

— Oszczędzajcie więc ludzi — zapowiedział Batia. — Ostrożność przede wszystkim. Nie narażajcie ludzi. I o tym, że my w każdej chwili **gotowi** jesteśmy przyjść wam z pomocą, też nie zapominajcie.

Wreszcie nastąpiła uroczysta chwila. Przy zgodnych **okrzykach**, wyrażających życzenia pomyślności, podziemni wędrowcy zaczęli jeden **po** drugim wstępować na metalową drabinę. Wreszcie zniknęli w owalnym otworze włazu. Rozległ się monotony szum motoru i masywna pokrywa zaczęła się zwolna opuszczać.

Nagle motor ucichł, a przez wąską szparę doszły z głębi łodzi do uszu odprowadzających odgłosy kłótni.

— Co to znaczy? — ze zdziwieniem zapytał Gremiakina.

— Może czegoś zapomnieli — w zamyśleniu odpowiedział Batia.

Za chwilę wszystko się wyjaśniło. Luk się otworzył i ukazała się zachmurzona twarz Gorszkowa. Schodził powoli po drabinie i z miną winowajcy zatrzymał się w pobliżu dyrektora.

— Przecież ja mówiłem, że zapomnieli! — wykrzyknął Batia.

— Zapomnieli poprosić Gorszkowa, aby wyszedł z kabiny. Prawda, Pantalejmonie Jewszejewiczu?

— **W** ogóle, oczywiście. Musiałem ostatni raz sprawdzić, jak są dokręcone nakrętki przy urządzeniu sterującym. Przecież w razie czego ja bym musiał odpowiadać — usprawiedliwiał się mechanik pokazując dyrektorowi klucz francuski.

— **Wszystko** jest jasne, towarzyszu **Gorszkow** — **gniewnie odparł** Griemiakin. — Gdzie się tam schowaliście?

— Przecież miałbym to na sumieniu... — dalej zapewniał Gorszkow. — Niechby się coś stało... Profesor, wiadomo, uczony zamknięty w czterech ścianach gabinetu. Utozkin jeszcze młody...

Pantalejmon Jewszejewicz rozejrzał się i zobaczył, że go już nikt nie słucha. **Uwaga** wszystkich skoncentrowana jest na maszynie, która **za-**czyna drzeć na skutek uruchomienia potężnych silników.

*

* *

Widok był niezwykły. Potężny słup ziemi, jak czarna trąba powietrzna, wznosił się otoczony chmurą kurzu. Powietrze napełniał głuchy, huczący łoskot. Słup ziemi nie stał w miejscu. Szybko przesuwał się w kierunku rzeki. Oto zetknął się z nią, tworząc kłębiący się wał wody, który wznosił się na dużą wysokość i rozsypał się na tysiące kropelek, mieniących się w blasku słońca.

— Obiecaliście udzielić mi wywiadu — zwrócił się do dyrektora korespondent stołecznego dziennika. — To bardzo ważne, aby go dziś jeszcze przekazać agencjom prasowym.

— Chodźmy — odpowiedział Gerniakin.

Ruszyli w kierunku drewnianych zabudowań stojących na brzegu rzeki.

Weszli do pokoju, który zastawiony był skomplikowaną radioaparaturą. Gerniakin poprosił korespondenta, aby usiadł przy biurku, sam zaś zaczął chodzić założywszy ręce w tył, przystając czasem przed szerokim oknem.

— O godzinie dwunastej minut trzydzieści według moskiewskiego czasu... — zaczął dyktować dyrektor — w rejonie Tau-Tasz nastąpił start pierwszej na świecie podziemnej ekspedycji na poruszającej się pod ziemią maszynie, którą skonstruował naukowo-badawczy instytut techniki poszukiwań geologicznych.

— Proszę prędeej. Ja stenografuję.

— Ekspedycja ma na względzie dwa cele. Pierwszy — dokonanie praktycznej próby nowej maszyny w celu wykrycia jej ewentualnych braków, drugi — to zbadanie rzeki Jangier. Jak wiadomo, wody rzeki

Jangier znikają w piaskach pustyni Auliekiz. Tymczasem dotąd jeszcze zachowało się przecinające pustynię wyschnięte koryto tej rzeki, którym niegdyś toczyła swe wody ta potężna rzeka...

W odległych czasach ziemię, na których leży obecnie pustynia, były kwitnącą i żyzną krainą. W związku z odkryciem na pustyni Auliekiz bogatych złóż rzadkich metali wyłoniło się zagadnienie zaopatrzenia przyszłych fabryk w wielkie zapasy wody, potrzebnej do przemywania i flotacji rudy. W pustyni działają już ekspedycje szukające wody. Niestety, dotąd nie osiągnęły one żadnych rezultatów"...

Drzwi otworzyły się i na progu ukazał się dozorca Panfierycz.

— Czego chcesz, Panfierycz? — zapytał Gerniakin przerywając dyktowanie.

— Właśnie szukam...

— Kogo szukasz?

Stary nic nie odpowiedział, przeprosił tylko i mrucząc zniknął za drzwiami.

Siedzący dotąd spokojnie radiotelegrafista, nagle wstał.

— No i co? — zapytał dyrektor podchodząc do radioodbiornika.

— Wszystko pomyślnie, samopoczucie dobre.

— No, to wspaniale! — ucieszył się Konstantin Grigoriewicz i powróciwszy do korespondenta, zaczął znów dyktować.

Zatrzymał się dłużej na ogólnym zagadnieniu, dotyczącym „zanikających" rzek.

— Wypadek z rzeką Jangier — nie jest zjawiskiem odosobnionym. Istnieje wiele rzek, które uchodzą pod ziemię i tam kontynuują swój bieg, a następnie znów ukazują się na powierzchni. Inne giną bez śladu. Możliwe, że wody ich przedostają się do morza podziemnymi drogami, a może też wsysają się w grunt. Niektóre rzeki podziemne istnieją od

niepamiętnych czasów. Są jednak wypadki, kiedy ich zniknięcie nastąpiło za ludzkiej pamięci na skutek działania wulkanicznego .

W celu przeprowadzenia doświadczeń z podziemną maszyną wyjechała na pustynię duża grupa pracowników instytutu z połowym warsztatem i skomplikowaną radioaparaturą do podsłuchu podziemnych szmerów. Maszynę trzeba było transportować częściami i montować na miejscu.

Początkowo łódź podziemna zbada dno rzeki Jangier na tym jej odcinku, gdzie wody w sposób widoczny zaczyna ubywać. Szczelność kadłuba maszyny podziemnej pozwala równocześnie na posługiwanie się nią jako łodzią podwodną. Jest ona zaopatrzona w tak zwany zbiornik balastowy, w metalowe cysterny, które stosownie do życzenia można napełniać wodą, wskutek czego maszyna staje się cięższa i opuszcza się na dno. Gdy zachodzi potrzeba wzniesienia się na powierzchnię, wodę usuwa się przy pomocy pomp i łódź wypływa. Maszyna może bez trudu posuwać się po dnie rzeki, jak również zagłębić się w grunt. W ten sposób profesor Tołrnazow, naukowy kierownik wyprawy, zamierza odkryć szczeliny w dnie, przez które woda ucieka w głąb ziemi.

Rozdział drugi

Głuche, monotonne brzęczenie wypełniało malutką kabinę łodzi podziemnej, oświetloną elektrycznymi lampkami wmontowanymi w ścianę.

Światło było w tej chwili celowo zmniejszone za pomocą opornicy. Przez dwa owalne iluminatory z grubego szkła, znajdujące się na bokach kabiny, wlewało się migotliwe, zielonkawe światło. Łódź sunęła po dnie rzeki, oświetlając drogę przed sobą potężnym reflektorem.

Jednak podziemni wędrowcy nie tylko przez iluminatory mogli do-

strzec, co się dzieje poza ścianami kabiny.

Na dziobie łodzi umieszczony był radar, który niedawno wytrzymał wszystkie próby i obecnie po raz pierwszy zastosowany został w praktyce.

Przed kierowcą maszyny, w zagłębieniu niewielkiej, kwadratowej niszy wisi ekran fluoryzujący błękitnym światłem. Odbija się na nim dokładnie wszystko to, co znajduje się przed łodzią w odległości czterystu metrów.

Za sterem siedział Krymow. To zwalniał, to znów przyśpieszał posuwanie się łodzi. W pewnej chwili zatrzymał ją, pragnąc wypróbować w ten sposób funkcjonowanie mechanizmu rozruchowego swej maszyny.

Wszystko to wywoływało niezadowolenie profesora Tołmazowa, siedzącego koło iluminatora przy małym stoliku. Manewrowania Krymowa przeszkadzały mu w obserwowaniu dna i wyciąganiu wniosków.

— Chyba wystarczy, Olegu Nikołajewiczu — gderał łagodnie. — Czyż to nie jest pewne, że maszyna jest doskonała?

— Ależ, Georgiju Stiepanowiczu! — odpowiadał Krymow. — Sterowy krążek wymaga przy wirażach dosyć dużego wysiłku. Nawet teraz, gdy pełniemy na brzuchu po dnie rzeki, a co będzie dopiero w ziemi?

— No, to może zawrócimy?

— Nie, nie, po co? Przecież jeszcze nie wystąpiły inne braki! Może się okazać, że jest ich wiele!

Kostia, który siedział przed zawiłą radioaparaturą, wmontowaną w ścianę, nieustannie się wszystkim zachwycił. Z zapalem sprawdzał działanie gałek, które uruchamiały telemechaniczne i inne agregaty, czasem wkładał słuchawki i zaczynał wystukiwać radiodepeszę na powierzchnię ziemi.

Wtem na twarzy Kosti odbiło się zakłopotanie. Zdjął słuchawki i z uwagą zaczął wsłuchiwać się w jednostajny szum, wypełniający kabinę.

— Czasem słyhać jakieś dziwne dźwięki — powiedział Tołmazow nie odwracając głowy. — Czy wyście nie takiego nie zauważyli?

— Jaki dźwięk? — niespokojnie zapytał Krymow.

— Mam wrażenie, że gdzieś dziecko płacze.

— To się wam chyba wydaje — odparł uśmiechając się Kostia.

Wszyscy trzej w dalszym ciągu uważnie nasłuchiwali.

Poprzez szum wiatru, słyhać było, jak stalowa powłoka łodzi trze się o piaszczyste dno. Nieraz maszyna zahaczała o duże kamienie i wówczas kabina lekko drgała. Tuż za wstrząsem słyhać było zgrzyt.

— To kamienie! — dodał Kostia.

Dno rzeki zaczęło stromo opuszczać się w dół. I równocześnie coraz bardziej zwężały się jej kamieniste brzegi.

— Jaka jest teraz odległość między łodzią a ścianami? — w zamyśleniu powiedział Krymow. — Przecież mieliśmy zmontować boczne altymetry * i nie zrobiliśmy tego.

— Myślę, że z tego powodu nie będziemy musieli wracać? — dobrotliwie zapytał Georgij Stiepanowicz.

— Nie, nie zawrócimy, ale altymetry zamontujemy.

Krymow nie dokończył zdania, ponieważ uwagę jego zajął wielki kamień, który ukazał się nagle przed dziobem łodzi.

— Przepraszam — powiedział **Tołmazow** zdziwiony—**czyż można w tej chwili myśleć o altymetrach?** Czyż będziecie je montowali pod ziemią?

— Dlaczego pod ziemią? Wrócimy na powierzchnię i zamontujemy. A co do waszej uwagi, że nie można myśleć o ulepszaniu maszyny w czasie jej próby, to nie macie racji, Georgiju Stiepanowiczu. Prawdziwym inżynierem jest ten, kto ciągle ulepsza każdą, nawet najbardziej doskonałą maszynę. Człowiek, który jest całkowicie zadowolony ze skonstruowanego przez siebie mechanizmu, to nie inżynier.

— Hmm... — zamruczał Tołmazow. — Możliwe.

— Bądźcie spokojni, Georgiju Stiepanowiczu — wmieszał się **Kostia**. — Nasza maszyna to całkowicie **niezawodny** mechanizm. **Wszystko jest** w najlepszym porządku.

W tej chwili kadłub drgnął od gwałtownego uderzenia. Za nim nastąpiło drugie. Maszyna uderzyła o wielką, kamienną przeszkodę.

— Trzeba zwiększyć zasięg radaru — szybko powiedział Krymow zwracając się do Kosti.

Kwadratowy ekran, znajdujący się przed Glegiem Nikołajewiczem, pokrył mglisty obłoczek, po czym ukazał się na nim nowy obraz.

— Spadek w dół, przy tym **dość** stromy — powiedział Krymow wpatrując **się** w ekran.

— Wspaniale! — wykrzyknął profesor — Kostia, zmierzcie szybkość prądu wody!

Łódź, drżąc od uderzeń i wstrząsów, stopniowo opuszczała się coraz niżej i niżej. Przez owalne iluminatory widać było, jak zwężyły się boczne ściany wąwozu, po którym pełzła łódź. Wkrótce nad wąwozem ukazało się kamienne sklepienie i wąwóz zmienił się w tunel.

— Uwaga, towarzysze! — wyrzekł profesor zdenerwowany. — Rzeka skryła się pod ziemię. Jesteśmy u progu rozstrzygnięcia wielowiekowej zagadki.

* **Altimetr — wysokościomierz.**

Zgrzyt rylców kruszących kamienie, odbijając się od blisko leżących ścian, zmienił charakter. Obecnie przypominał on hałas, jaki powstaje przy przejeździe pociągu przez tunel kolejowy.

Silny prąd popychał łódź do przodu i przeszkadzał w sterowaniu. Maszyna nieraz uderzała stalowym kadłubem o twardą, kamienną ścianę.

A obok coraz pręcej zaczęły migać mroczne, siwe kamienie, dziwacznie występujące ze ścian. Podziemne koryto rzeki ciągle zmieniało kierunek.

Nagie Gieorgij Stiepanowicz wyteżył słuch. Powiódł wzrokiem po **kabinie, znów** spojrzął uważnie na iluminator i cicho powiedział:

— Dziwna rzecz. Mnie się znów wydało...

— Co się wam wydało? — zapytał Kostia,

— Wyobraźcie sobie, mam wrażenie, że ktoś płacze.

Kostia spojrzął podejrzliwie na profesora.

Wkrótce promień reflektora wydarł z ciemności piękny, ale straszliwy obraz. W oddali widniał kłębiący się wodotrysk, nieco **dalej** tunel zamykała głucha, spadzista ściana. Widocznie przed nimi **znajdował** się wodospad.

— Sprawa jest poważna — powiedział chmurząc się Krymow.

W tej chwili maszyna, widocznie na skutek zderzenia się z wielkim kamieniem, gwałtownie się przechyliła.

— Oho! — wykrzyknął Tołmazow zaciskając konwulsyjnie ręce na poręczach krzesła.

Wodotrysk przybliżał się. Gwałtowne szarpnięcia rzucały maszynę z boku na bok. Kabinę wypełnił zgrzyt i chrzęst stali ocierającej się o kamienie.

Kostia zaczął obserwować profesora, Ku jego zdziwieniu uczonego nie zdradzał lęku. Tołmazow siedział spokojnie z przechyloną w tył głową, mrużąc lekko oczy. Widocznie dla ostrożności zdjął **binokle**. Ze swej strony profesor również spoglądał czasem na Kostię. Dostrzegł, że twarz młodzieńca przybrała surowy i zdecydowany wyraz.

„Nie bardzo się boi“ — pomyślał Tołmazow.

Uwagę jego zajął znów dziwny dźwięk. Szum wzburzonej wody i ude-

rzenie maszyny o kamienie przeszkadzały rozpoznać, **co to** jest. W **każdym** razie podobnych dźwięków nie **mogły** wydawać jakieś części maszyny. Należało przypuszczać, że przenika on z zewnątrz. Przypominał żalotne wycie lub płacz. Rzykując, że może uderzyć się o **szybę** profesor przywarł twarzą **do** iluminatora.

Maszyna przechodziła pod nisko zwisającymi bryłami Kamieni. Spienione fale wody uderzały o czarne **ściany** zawołał Tołmazow, starając się przekrzyczeć

— Znowu słyszałem! — Zawołał Tołmazow, starając się przekrzyczeć hałas.

Ale ani Krymow, ani Kostia nie odpowiedzieli mu. Maszynę uparcie ciągnęło do huczącego wodospadu.

Radiotelegrafistę otoczono zwartym kołem. W pokoju panuje cisza, tylko wyraźnie słycać stuk klucza telegraficznego. Ale oto stukanie ustaje i następuje pełna napięcia, przytłaczająca cisza.

Spojrzenia wszystkich przykute są do słuchawek mocno przyciśniętych sprężyną do uszu telegrafisty. Sygnałów odpowiedzi brak.

— Spróbujcie jeszcze raz przez telefon — szepcze dyrektor nachylając się do samego ucha radiotelegrafisty.

Słycać głośne prztykanie przełączników. Radiotelegrafista podnosi do ust owalny mikrofon na długiej rączce.

„ Łódź... Łódź... Mówi Ziemia... Mówi Ziemia... Odpowiadajcie... Odpowiadajcie... ”

Znów cisza. I jeszcze raz Ziemia woła podziemną łódź.

Pozwólcie mi spróbować — słycać podniecony głos.

Wszyscy, jak na komendę, odwracają głowy, To mówi praktykantka Natasza.

Mam odznakę radioamatora trzeciego stopnia, zwyciężyłam na krajowych zawodach dla krótkofalowców — jakby usprawiedliwiając się bąka dziewczyna.

Radiotelegrafista pytająco spogląda na dyrektora.

— Niech spróbuje.

Natasza szybko siada przed radioaparatem, kręci gałki strojeniowe, przestawia przełączniki.

— Łódź,.. Łódź... Mówi Ziemia,.. Mówi Ziemia. Kostia! Kostia! Odpowiedzcie... Kostia!...

*

*

*

Wyobraźcie sobie, że znajdujecie się w zupełnej ciemności. Tuż obok kotłuje się i bulgocze woda. Wsłuchujecie się w ten szum. Jest niezwykle: rozlega się potężny ryk wody, wielokrotnie odbijający się od ścian ogromnego podziemia, Ale oto skądś ukazuje się słabe światło. Widzicie, jak stopniowo staje się coraz mocniejsze. Rysują się już kontury owalnego otworu, z którego pędzi, z rykiem przeskakując kamieniste przeszkody, woda oświetlona od zewnątrz. Mieniać się wszystkimi barwami tęczy, unoszą się wysoko w górę miliony drobnych kropelek. To w górę, **to w dół** skacze zbliżające się do was źródło światła. To reflektor podziemnej maszyny.

Wreszcie maszyna, pokonawszy ostatnie przeszkody, wypływa na spokojne wody. Posuwa się dalej, to wypływając na powierzchnię, to opuszczając się na dno.

Gdy otworzono właz i trzech podróżni wydostali się na stalowy grzbiet łodzi, roztoczył się przed nimi wspaniały widok.

Znajdowali się w **olbrzymiej**, bajecznej grocie, jednej z tych, **które** tak często **spotyka** się pod ziemią. Promień reflektora, skierowany w

górze, oświetla podziemie łagodnym, rozproszonym światłem. Wyraźnie widać, jak błyszczą przezroczyście brzegi **kwarcu** wtopionego w szare **ściany**, pocięte licznymi szczelinami. Z góry zwisały, gotowe spaść w każdej chwili, fantastyczne bryły kamieni. Przez środek groty płynęła rzeka, **rozlewając** się tak szeroko, że łatwo można ją było wziąć za jezioro.

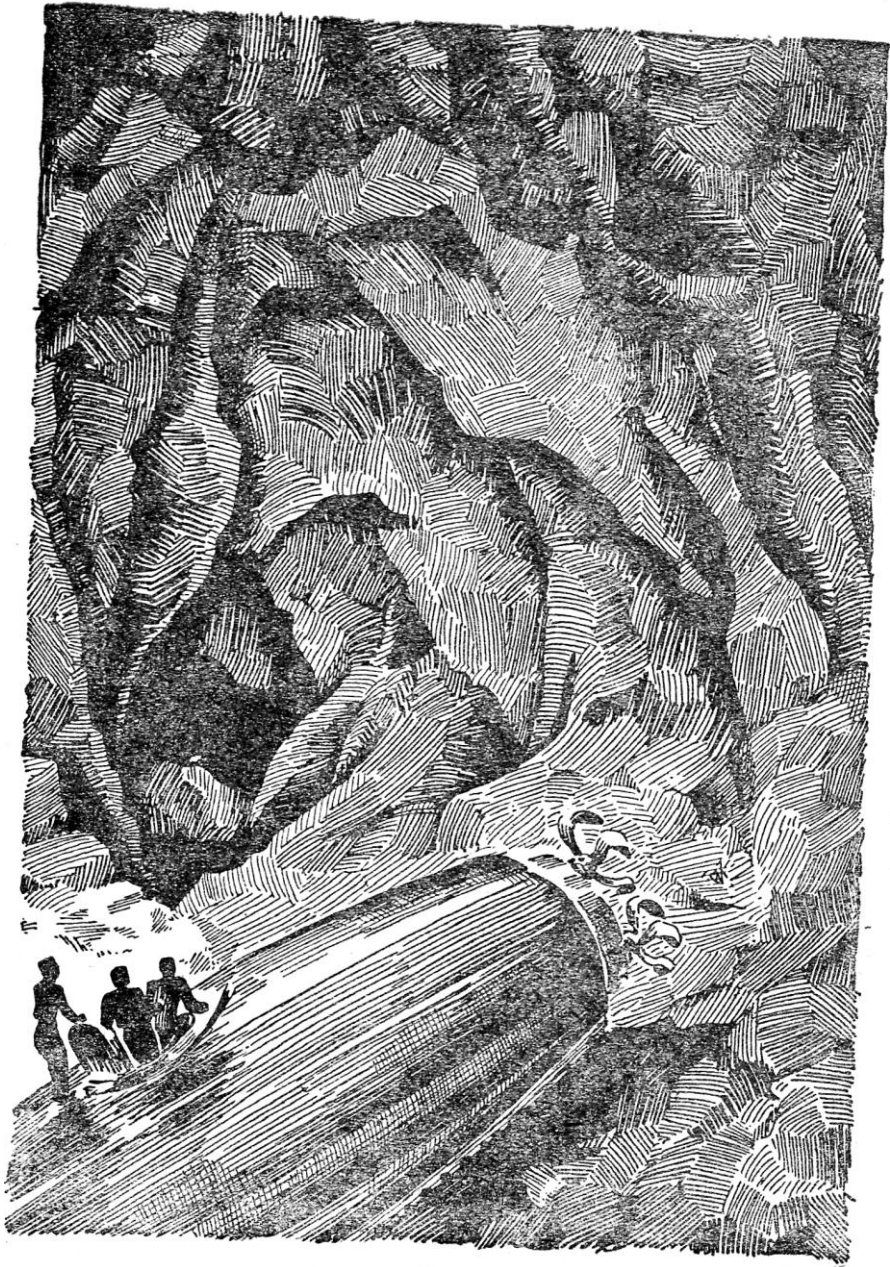
— Nie licha to była przeprawa — wykrzyknął zachwycony Kostia wskazując ręką na wzburzony potok, wypadający z wąskiego otworu.

Właśnie przez ten otwór przedostała się do groty łódź, unoszona potężnym prądem **wody**. Dalej płynęła podziemną rzeką i teraz właśnie znalazła się przy brzegu w pobliżu pochylej ściany.

— Trzeba będzie ulepszyć zderzaki — w zamyśleniu **powiedział** Krymów, wspominając okropne wstrząsy, które odczuwali, gdy przedzierali się przez sterty kamieni.

— Zjawisko erozji — wyrzekł profesor, zwracając się nie wiadomo do kogo.

— Poza tym propelery sterowe powinny być grubsze — ciągnął dalej Oleg Nikołajewicz.



— Tak, właśnie erozja... — przerwał **mu Tołmazow** — to znaczy, że woda rozmyła wszystkie rozpuszczalne pierwiastki, pozostały tylko twarde kamienne ściany. Jest to zjawisko bardzo rozpowszechnione w przyrodzie.

— A dokąd uchodzi woda? — zainteresował się Kostia.

Tołmazow spojrzał na niego z ukosa.

— Przecież przybyliśmy tu po to, aby rozwiązać tę zagadkę. Odpocznijmy chwilę i przystąpimy do badań.

— Powiedzcie, towarzyszu profesorze, czy może która z tych brył **oderwać** się sama? — pytał dalej Kostia wskazując ręką w górę.

— Wszystko możliwe. Na wszelki wypadek trzeba chodzić ostrożnie. W tej chwili skądś z daleka rozległo się przeciągłe i żalosne **wycie**.

— Czy słyszycie? — zapytał Tołmazow zwracając się do Kostii.

— Tak, rzeczywiście — mruknął Kostia. — Tu są z pewnością podziemne zwierzęta....

— Owszem, spotyka się je, ale są to ryby, raki, robaki. Są ślepe i nie mają głosu. Badajmy więc dno jeziora...

— A przecież jezioro można łatwo opróżnić — nie dał dokończyć profesorowi Kostia.

— W jaki sposób — zdziwił się Tołmazow.

— Przecież to drobiazg.

— Drobiazg?

— Naturalnie! Widzicie bryły kamieni zwisające nad wejściem, przez które wpada woda. Ledwo się trzymają. Jakies pięć kilogramów dynamitu i wszystko poleci na dół.

— I częściowo, a może nawet i zupełnie zamknie dostęp wody do grotty — potwierdził Krymow.

— Dla wody — częściowo, a dla nas w tym wypadku wyjście na po-

wierzchnię ziemi będzie zupełnie zamknięte! Czyż nie tak?

Uwaga ta nie podobała się Krymowowi.

— Towarzyszu profesorze! — zawołał z wyrzutem — co znowu. Przykro nawet słuchać. Komu zamknie dostęp? Nam! To znaczy, że wątpicie w siłę maszyny?

—Nie, nie, Olegu Nikołajewiczu. Nie wątpię w doskonałość waszego wspaniałego mechanizmu, ale różnie może się zdarzyć. Raptem—awaria! Przecież tu tyle kamieni...

Wówczas i Kostia z całą stanowczością wystąpił w obronie honoru podziemnej łodzi.

— Zapewniam was, towarzyszu profesorze — zaczął gorąco — wasze obawy są płonne.

Przez kilka sekund panowało milczenie.

— Boczne łapy należało zrobić trochę grubsze — mówił dalej Krymow.

— Tak, nie szkodziłoby — powiedział Tołmazow w zamyśleniu.

— Co nie szkodziłoby? — zainteresował się Oleg Nikołajewicz. — Zrobić grubsze łapy?

— Nie, po co?... Przecież mówię o osuszeniu jeziora.

Kostia nie czekał już na koniec rozmowy inżyniera z profesorem. Nadszedł czas nadania kolejnego radiogramu i trzeba było dokładnie sprawdzić działanie nadajnika.

Wkrótce słychać było jego radosny i trochę podniecony głos.

— Ziemia! Ziemia!... Tu mówi Łódź. Słucham... Tak, tak. Przechodziłiśmy przez kamieniste progi, pokonywaliśmy wodospad właśnie w ustalonym dla nadawania czasie... Słyszalność? Racja, słaba. Nie wiem, czym to wytłumaczyć. Dostrajam się jeszcze, dostrajam. To samo... Co? tymczasem podejdzie dyrektor? Proszę, proszę.

Nastąpiła mała przerwa.

— Natasza, dzień dobry! Jesteśmy w grocie... Mówię, w grocie z bajki... są tu nawet zwierzęta... Nie, jeszcze nie widzieliśmy. Możliwe, że dinozaury, a może ichtiosaury — nie wiem... Czy idzie Konstantin Grigoriewicz? Zaraz poproszę Krymowa i profesora. Proszę pozdrowić Panfierycza... Panfierycza, mówię, proszę pozdrowić. Niech pilnuje Dżulbarsa... Zaraz... Chwilę...

Kostia zerwał się, podbiegł do włazu i przywołał pozostałych uczestników ekspedycji do radioaparatu.

— Chcieliśmy zaważyć otwór, przez który przedostaliśmy się tutaj — mówił do mikrofonu Tołmazow. — Uważaliśmy, że to spowoduje osuszenie jeziora... Tak... Nie ryzykować? Rozumiem, rozumiem, oddaję słuchawkę Olegowi Nikołajewiczowi.

— Wszystko idzie dobrze — zaczął Krymow — tylko łapy trzeba będzie w przyszłości dać grubsze... Oczywiście... A po bokach łodzi trzeba będzie zamontować dodatkowe altymetry... Co do zawalenia? Zatem uważacie, że można? Zgadzam się z wami, zgadzam... Słyszalność?... Rzeczywiście kiepska. Do widzenia! do widzenia.

Kostia uzbroił się w ciupagę i sznur, wylazł z włazu i ruszył w drogę. Skrzynie z materiałem wybuchowym umocował na plecach, przywiązując ją pasami.

Krymow i Tołmazow patrzyli na oddalającego się Kostię.

— Czy on rzeczywiście jest doświadczonym inżynierem? — niespokojnie zapytał Tołmazow,

— Nie ma żadnych wątpliwości — spokojnie odpowiedział Oleg Nikołajewicz.

Utoczkin szedł wzdłuż brzegu podziemnego jeziora. Reflektor łodzi skierowany na otwór, przez który tryskała woda, dobrze oświetlał drogę.

Wkrótce młody konstruktor stanął nad wzburzonym potokiem i starannie zaczął badać ścianę, po której miał się wdrapać do góry. Ściana była usiana wielkimi i mniejszymi szczelinami. Tu i ówdzie sterczały kamieniste występy, tworząc wygodne płaszczyzny.

Kostia przygotował sznur z pętlą i z rozmachem od pierwszego razu zarzucił go na jeden z występów.

Wspinał się bez większego trudu. Prawda, że nogi ślizgały się po wilgotnej ścianie, ale Kostia był dobrym sportowcem i z łatwością pokonywał wszystkie trudności.

Pleniąca się woda jest już daleko w dole. Młodzieniec robi ostatni wysiłek i podciągając się na rękach, wdrapuje się na mały, kamienisty występ. Szybko zdejmuje przywiązaną do pleców skrzynkę i ustawia ją jak można najbliżej przy kamienistym masywie, gotowym lada chwila opaść na dół.

Gdy Kostia, przebijając rękami po mokrym sznurze, ześlizgiwał się już w dół, nad jego głową rozsypały się, niby bengalski ogień, fioletowo-żółte iskry płonącego sznura Bickforda. Czas spalania się sznura był obliczony z dużym zapasem, toteż nie musiał się zbyt śpieszyć, a mimo to nieprzyjemnie było znajdować się w sąsiedztwie pięciu kilogramów trotylu, który miał niebawem wybuchnąć. Kostia starał się jak najprędzej zsunąć się w dół. Przeszkadzały mu jednak kamieniste występy. Rozhuśtany sznur ocierał się o nie co chwila, aż nagle uwiązł w szczelinie.

Kostia ujrzał, że wisi nad samym środkiem wzburzonego potoku. Próbował rozhuścić się, ale to zmieniło sytuację jedynie o tyle, że sznur utknął między dwoma występami w innym miejscu. Trzeba było znowu wspinać się pod górę.

Pomyślał z żalem, że pragnąc przyspieszyć wybuch, niepotrzebnie za-

stosował sznur Bickforda, a nie iskrownik... Oczywiście, że w tym drugim wypadku trzeba by było ciągnąć kabel od wiszącej nad przepaścią skały aż do łodzi podziemnej, co zabrałoby wiele czasu. Siedząc jednak później w opancerzonej kabinie łodzi, można było spowodować wybuch w dowolnej chwili, zależnie od okoliczności. Co innego — sznur Bickforda, elastyczna rurka wypełniona wolno palącym się prochem. Podłączyć go do materiału wybuchowego można bardzo szybko. Biada jednak spóźnionemu minierowi! Płomień z nieubłaganą dokładnością przesuwają się po sznurze ku masie wybuchowej z szybkością jednego metra na minutę.

Kostia uważnie rozejrzył się i zaczął się podciągać na rękach. Jakby uprzedzając go o groźnym niebezpieczeństwie posypał mu się na głowę deszcz fioletowożółtych iskier.

Profesor Tołmazow i inżynier Krymów siedzieli w kabinie i badali mapę.

— Obecnie znajdujemy się tu — powiedział uczonej oprowadzając ołówkiem wskazane miejsce. — Szybko przeszliśmy, Olegn Nikołajewiczu.

— Przy nieznacznej zmianie profilu łąp posuwalibyśmy się w dzie jeszcze szybciej — odrzekł Krymow.

— Nic nie trzeba zmieniać w waszej maszynie. Pracuje doskonale. Ciekawe, jak dalej płynie woda? Spójrzcie: to jest wykres podziemnego biegu, który opracowałem na podstawie obserwacji i pomiarów przebytej drogi. Można przypuszczać, że...

Profesor nie skończył zdania. Rozległ się dziwny dźwięk, przypominający mlaskanie zwierzęcia.

— Co to? — zapytał podnosząc się Tołmazow.

— Rzeczywiście — zdziwił się Krymow. — Słyszałem wyraźnie...

— Ja również. Sądzę, że to tu gdzieś w maszynie.

— Niemożliwe — odpowiedział Oleg Nikołajewicz oglądając kabinę łodzi.

Nagle dostrzegł kawałek czarnego sznura, leżącego na podłodze. Schylił się i podniósł go.

— Do diabła. On chyba zwariował?

— Co się stało?

— Spójrzcie — Krymow podał profesorowi to, co podniósł z podłogi. — Przecież to jest sznur Bickforda. Należy z tego wnioskować, że Kostia nie wziął ze sobą iskrownika, bo nie chciało mu się ciągnąć przewodu i zamierza wysadzić skałę za pomocą sznura Bickforda. Że też ja tego nie dopilnowałem. Chodźmy, wyjdziemy na górę.

Po chwili stali już na grzbiecie podziemnej maszyny.

— Powinien już być z powrotem — z niepokojem powiedział profesor.

— Tak, bardzo dziwne, że go dotąd nie ma. Pójdę zobaczyć. Przecież nie mógł się ukryć w jakiejś rozpadlinie i czekać tam na wybuch!

— Ja też idę z wami.

— Po co? Zostańcie tu.

— Poczekajcie! Przecież zbliżenie się do wodospadu jest w tej chwili niebezpieczne, ale może Kostia rzeczywiście postanowił ukryć się w jakimś zagłębieniu nie zdając sobie sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa. Przecież może nas wszystkich tu zasypać. Jedyne bezpieczne miejsce — to kabina naszej maszyny, którą chroni stalowy pancerz. Spróbujemy najpierw zawołać.

— Ko-o-o-stia-a-a... — z całej siły zawołał Krymow.

Odpowiedziało mu przeciągłe i głośne echo, jakie tylko bywa w olbrzymim podziemiu z kamienia.

— Ko-o-o-stia-a-a! — znów zawołał Oleg Nikołajewicz.

Ale odpowiedzi nie było. I nagle do uszu stojących na pomoście ludzi

doszło żalosne, przeciągłe wycie.

— Znów... Słyszycie? — zaniepokoił się Tołmazow.

Gdyby w tej chwili znajdowali się w kabinie maszyny, zauważyliby zapewne, jak w jednym z kątów kabiny skrzynka poruszyła się bez widocznej przyczyny. Pokrywa jej zarzucona różnymi przedmiotami zaczęła drgać i unosić się.

Ale ludzie w dalszym ciągu przywoływali Kostię i nic nie widzieli. Me zauważyli, jak ze skrzyni wy dostał się z wielkim trudem pies, obwąchał kabinę i wyskoczył z wjazdu, ani też jak pomknął po śladach Kosti.

— Me trzeba go było puszczać samego — mówił zdenerwowany Oleg Nikołajewicz schodząc w dół po drabinie. Za nim szybko postępował stary profesor. Obaj biegnąc prawie, wyprzedzając jeden drugiego, skierowali się do wodospadu.

Nagle Krymow gwałtownie zatrzymał się i chwycił Tołmazowa za rękę.

— Spójrzcie — powiedział wskazując na kamienny masyw. — Pali się lont.

Przez chwilę stali niezdecydowani. Po czym profesor, nie mówiąc ani słowa ruszył z miejsca i popędził w stronę wodospadu.

— Lada chwila może być wybuch! Zatrzymajcie się! — wołał Krymow.

Ale Georgij Stiepanowicz, przeskakując z kamienia na kamień, nie zwracał uwagi na wołanie Krymowa.

— Kostia! Kostia! — krzyczał załamującym się głosem.

Profesor nie widział, jak po ścianie drapał się, ślizgając się i raz po raz obsuwając na dół wielki, kudłaty pies. Nie dostrzegł tego również i Krymów, który pośliznął się na kamieniu i upadł na ziemię.. W tym czasie Dzulbars (to właśnie on był) wdrapał się na płaszczyznę, obwąchał ją i zaczął schodzić kierując się w stronę sznura. W następnej jednak chwili

obsunął się, spadł na dół i znikł w pieniającym się potoku.

Wybuch, który rozległ się z ogłuszającym hukiem w kamiennej grocie, zastał Tołmazowa na brzegu rzeki. Podmuch powietrza zepchnął profesora do wody i prawdopodobnie to go uchroniło przed gradem kamieni, który posypał się z góry.

Mimo to jeden odłamek uderzył boleśnie profesora w prawe ramię. Walcząc z zimną wodą, Tołmazow poczuł gwałtowny ból. Prawa ręka odmówiła mu posłuszeństwa.

Profesor, który był doświadczonym pływakiem, mógł bez wielkich trudności płynąć, posługując się tylko jedną ręką. Przeszkadzało mu jednak ubranie, które ciasno oblepiało ciało, oraz ciężkie turystyczne buty. Coraz częściej zanurzał się z głową w potoku, a wydobywać się na powierzchnię było mu za każdym razem trudniej...

Nagle poczuł ostry ból w kontuzjowanym ramieniu. Wydało mu się że czyjeś ostre zęby wpiły się w jego rękę. Stracił przytomność.

Przed wejściem do radiostacji Gorszkow spotkał Panfierycza.

— No i co tam słycać? — zapytał z niepokojem.

— Nadeszła wiadomość od Krymowa — **pólszeptem** zaczął dozorca: „Czekajcie na mój następny radiogram...” To wszystko... Łączność **urwała** się.

— Czy było jakieś uszkodzenie?

— Trudno powiedzieć. „Czekajcie dalszych wiadomości” — mówił — a wiadomości nie ma. Potem słycać było wybuch pod ziemią, meldował to przy mnie dyrektorowi kierownik aparatów podsłuchowych.

— Nie pozwolili mi jechać z nimi — chmurnie powiedział Gorszkow — a to było potrzebne. Gdyby się coś stało Krymowowi, nie bardzo można liczyć na Kostię i profesora.

Gorszkow miał już odejść, ale zatrzymał go **Panfierycz**.

— Nie widzieliście psa Kosti?

— Nie.

— Jakby się poci ziemię zapadł! Nie ma go nigdzie...

— To nieważne.

— Jak to? — rozgniewał się Panfierycz. — Powierzono mi psa, wobec tego ja za niego odpowiadam. Nie chodzi o to, że zginął, ale sam fakt. Dziwnie mówicie, towarzyszu Gorszkow...

— Dobrze. Panfierycz, rozumiem... — **przerwał** mu mechanik i **nasuwając** czapkę na głowę oddalił się bardzo zmartwiony.

Rozdział trzeci

Kostia znikł bez śladu. Towarzysze szukali go długo. Pełzli po kamieniach, badając każdą rozpadlinę, każdy zakątek, ale na próżno, nie było go nigdzie.

Krymow kilkakrotnie podchodził do nadajnika, aby zawiadomić ziemię o bezskuteczności wszystkich poszukiwań, lecz za każdym razem, gdy podnosił rękę, by włączyć aparat, ręka mu sama opadała.

„Trochę odpocznę, pójdę jeszcze raz, a potem zadeszuję. Po co na próżno niepokoić ludzi? Ogólnie już ich poinformowałem. Może znajdziemy jakieś ślady” — myślał Oleg Nikołajewicz.

Na polowym łóżku, stojącym przy ścianie kabiny, leżał profesor z obandażowanym ramieniem.

— Czy jesteście pewni, że straciliście przytomność na głębokiej wodzie, z dala od brzegu? — dopytywał się Krymow. — Znalazłem was tam, gdzie przedtem był brzeg. Z tego wynika, że płynęliście dalej już

po utracie przytomności. Czy tak? Bardzo to dziwne...

— Bardzo dziwne — zgodził się Tołmazow. — Ludzie w stanie om-
dlenia zazwyczaj nie poruszają się.

Krymow pozostawił chorego i znów wyszedł na pomost.

Po wybuchu grota zmieniła się ogromnie. Woda w rzece opadła i są-
czyła się wąskim strumykiem. Zwały kamieni zasypały otwór, przez
który woda dostawała się do groty. Wprawdzie na skutek dużego ciśnie-
nia nie przestawała ona tryskać wąskimi strumieniami, ale ilość jej była
znikoma w porównaniu z dawnym potokiem.

„To, o czym marzył **Kostia** — myślał Oleg Nikołajewicz — spełniło
się. Tylko on sam już nie weźmie udziału w badaniu osuszonych dróg
podziemnych”.

Gorycz podeszła **Krymowowi** do gardła.

— Szukać. Szukać, aż się odnajdzie zwłoki. A może jeszcze żyje?... —
mówił do siebie inżynier zaciskając pięści.

Krymow powrócił do kabiny.

— No i jak? — spytał z niepokojem **Tołmazow** unosząc się na łóżku.

— Chce. iść znowu na poszukiwania...

Szykując się do drogi, Oleg Nikołajewicz zauważył, że profesor bez
przerwy nasłuchuje.

— Ciszej — szepnął raptem Tołmazow.

Krymow zamarł.

— Zdawało mi się, że słyszę z daleka szczekanie psa... To jest rze-
czywiście tajemnicza grota — przemówił profesor.

— I ja nieraz słyszę...

— No, widzicie...

— Przez cały czas myślimy o Kosti i dlatego nam się tak wydaje.
Przecież Kostię trudno jest sobie wyobrazić bez jego psa.

— Możliwe... — wyszeptał profesor zamykając oczy.

Jednak w następnej chwili zerwał się szybko i opuścił nogi z łóżka.

— Co się stało? — z niepokojem zapytał Oleg Nikołajewicz.

— Idę z wami.

— To niemożliwe, musicie leżeć!

— Nie, nie mogę leżeć, kiedy chodzi o ratowanie człowieka. Już się czuję nieźle.

Widząc stanowczość Tołmazowa, Krymow nie sprzeciwił się. Zabrali ze sobą silne leki elektryczne, sznury, siekierki, wyszli z włazu i udali się na poszukiwania.

Postanowiono raz jeszcze przeszukać tę część groty, w pobliżu której wysadzono ścianę. Przecież woda mogła zabrać ciało Kosti.

Mimo że profesor szedł, z trudem **przewycięzając** ból, dotarli szybko do ściany i zagłębili się w jedną z rozpadlin. Światło reflektora tu nie dochodziło. Trzeba było iść oświetlając drogę elektrycznymi latarkami.

Głucho rozlegały się kroki w wąskim, kamiennym **korytarzu**. Czasem nogi **wpadały** w kałuże, wówczas wilgotne jeszcze ściany odbijały **głośny** plusk.

Światło pada na podłużny, biały przedmiot — to niewielka, biała ryba pluska się w płytkiej kałuży.

— Widzicie, zupełnie biała. Wszystkie żywe istoty w podziemnych jeziorach są białe. Światła tu nie ma i barwa jest niepotrzebna organizmowi. Straciły ją z biegiem czasu — powiedział schylając się **Tołmazow**.

Jakby na **potwierdzenie słów** profesora, **ukazał** się w **tej** samej kałuży pływający robak długości około pięćdziesięciu centymetrów, również biały.

— Chodźmy! — przynaglał Krymow.

— Nie sądzicie, że zapomniałem o **Kosti** — powiedział **Gieorgij**

Stiepanowicz zrównawszy się z Krymowem. — Obecność tych istot **świadczy** o tym, że tędy dawniej **płynęła** rzeka. **A zatem właśnie** tu mogła **ona przynieść ciało** Kosti.

Wkrótce wędrowcy ujrzeli przed sobą prostopadłą ścianę. Pod nią otwierała się szeroka studnia,

Krymów pełznąc zbliżył się do jej brzegu. Światło jego latarki ześliznęło się po zupełnie prostopadłej ścianie i zagubiło się w bezdennej głębinie.

Zresztą głębokość studni nie była nieskończona. *Gdzieś* tam, zupełnie, daleko widać było słabo fosforyzujące, błękitnawe światło. Oleg Nikołajewicz zgasił latarkę i przekonał się, że światło to nie jest złudzeniem.

— Na dole światło,.. — szepnął.

— Niemożliwe!

— Spójrzcie...

Profesor z trudem opuścił się na ziemię i przycołgał się tuż do brzegu.

— Co to? — powiedział. — Skąd to światło?

— Pewno fosfor.

— To nie może być fosfor: dawno by już się utlenił w wodzie i przestał świecić.

— Kooo-ostiaaai — głośno zawołał Krymow.

Gdy umilkło huczące echo. z dna studni odezwało się ciche szczekanie psa.

— Słyszycie, towarzyszu profesorze? — zapytał podnosząc się Krymow. Zawołał po raz drugi, ale tym razem nikt mu nie odpowiedział.



Inżynier i profesor długo chodzili badając rozpadliny i nawet najmniejsze zagłębienia. Wreszcie zmęczeni dłużącymi się **poszukiwaniami** wrócili do maszyny. Przeżyte wrażenia szybko dały znać o sobie i obaj zasnęli kamiennym snem.

Tołmazow miał dziwny sen; śniło **mu** się, że wielki pies wskoczył mu na pierś i gorącym oddechem owionął jego twarz. Profesor odpędzą go z całej siły, wreszcie zmuszając się do silniejszego wysiłku, jak to często robią ludzie, którzy chcą przerwać nieprzyjemny sen, zbudził się i zobaczył... prawdziwego psa, który trzymał łapy na jego łóżku.

— „Precz” — głośno zawołał profesor i na wszelki wypadek przetarł oczy.

Przed nim stał Dżulbars.

— **Olegu Nikołajewiczu**. zbudźcie się. Pies! — krzyknął **Tołmazow**.

— Jak?... Co znów?... — mamrotał Krymow wyskakując z łóżka. — **A to** heca... Czyżby **płynął** za nami? **To** nieprawdopodobne! Dżulbars, gdzie Kostia?

Pies usiadł na tylnych łapach i machając ogonem, zaczął szczekać, następnie zerwał się i podbiegł do otwartego wjazdu. Krymow rzucił się za nim. Pies prowadził go do tej rozpadliny, gdzie była studnia, na dnie której widać było błękitne światło... Nie dobiegając do studni, pies zanurzył się w małej rozpadlinie i zaczął rozpaczliwie szczekać, prosząc jak gdyby Krymowa, by szedł za nim. Lecz rozpadlina była bardzo wąska.

Nagle Krymowowi błysnęła przejrzysta i jasna myśl:

— Kostia jest na dnie studni... Pies wy dostał się stamtąd jakąś wąską, pochyłą drogą, po której człowiek nie przejdzie... Co tu robić? Próbować spuścić się do studni po sznurze? Czy go wystarczy?

I Krymow postanowił wykorzystać do **poszukiwać Kosti** podziemną maszynę.

Z wielkim trudem udało się Olegowi Nikołajewiczowi **wywabić** Dzulbarsa. Krymow złapał go za obrozę, do której **przywiązał** kawał **sznura**, i skierował się do łodzi, ciągnąc za sobą żałośnie skomlącego psa.

Szybko uruchomili maszynę.

Kadłub łodzi drgnął. Poruszyły się szerokie łapy. Szybko **obracały** się osadzone na dziobie rylce. Stalowy potwor podpełził do kamiennej **ściany**, jakby chcąc zmierzyć się z nią swą siłą.

Grotę wypełnił potężny huk. Rylce, zrobione z najtwardszego stopu w kształcie **zęba** gryzonia, kruszyły ścianę i zmieniały ją w **pył**. Ruszyły transportery, które **odrzucaly** ten pył daleko, poza ogon łodzi.

Podziemna maszyna, otoczona chmurą kurzu, wgryzała się w ścianę, która wydawała się zupełnie niedostępna.

Krymow siedział za sterem i całą uwagę skoncentrował na przyrządach pomiarowych oraz na ekranie radaru. Profesor Tołmazow stał za jego plecami nie odrywając oczu od ekranu. Po trzęsącej się i drgającej jakby w **nerwowych** dreszczach kabinie biegał niespokojnie pies.

Coraz niżej i niżej opuszcza się łódź podziemna. Przez ściany, mimo **że** są obłożone izolacją cieplną, przenika do kabiny żar od stalowego kadłuba łodzi, rozgrzanego skutkiem tarcia o kamień.

Krymow wyjaśnia profesorowi, jak należy uruchomić urządzenia chłodzące. Coraz trudniej jest oddychać. Z butli zwiększono dopływ tlenu do łodzi.

Kilka godzin trwała walka najtwardszego stopu z kamieniem. Zwycięży! mechanizm.

Oto zbliżają się do celu. Na ekranie radaru zarysowują się kontury podziemnej studni.

Trzeba jednak zejść jeszcze niżej. Jeszcze nie widać dna. Stalowe łopaty sterów pracują. To one coraz głębiej i głębiej nachylają **wgryza- jący** się w

kamień dziób łodzi.

Wreszcie wstrząsy złagodniały. Ustały **zgrzyty** i wycie **rylców**. Łódź wyszła na wolną przestrzeń.

Z otwartego wjazdu wyskoczył szczekając hałaśliwie pies, za nim szybko zbiegł z drabinki Krymow...

Poszukiwania nie były potrzebne: w podartym ubraniu, opędzając się od radośnie szczekającego psa, szedł do łodzi Kostia, którego **wyraźnie było** widać w **świele** reflektora.

Wszystko, co opowiedział młodzieniec, siedząc *mi* w kabinie przy małym stoliku **zastawionym** jedzeniem wyjętym z **łodówki** i **odgrzanym przez Krymowa**, było **w najwyższym** stopniu ciekawe.

Widocznie wskakując do wody uderzył się o kamień i stracił przytomność. Gdy omdlenie przeszło, poczuł, że leży na kamieniach. Burzliwy potok przyniósł go do prostopadłej ściany. Nogi jego zranzone były w szybko płynącej wodzie. Gdzieś w dali migotało ledwo widoczne światło reflektorów łodzi. Docierało ono do rozpadliny w postaci nikłych odblasKÓW. Kostia próbował wstać, ale zrobił fałszywy ruch. Porwał go potok, z którym walczyć było mu bardzo trudno.

Wkrótce poczuł, że płynie po spokojnej wodzie. Ręka dosięgła ściany. Próbował znaleźć występ, by się go uchwycić, ale to mu się nie udało. Śliska ściana uciekła mu spod ręki gdzieś w górę — widocznie poziom wody nagle opadł, a z nim i on sam.

Nieoczekiwane wydarzenie dodało mu sił. i zwiększyło nadzieję na **ratunek**. W zupełnych ciemnościach, z dużej wysokości, sądząc po plusku wody, rzucił się do niego pies, stary, **frontowy** przyjaciel — **Dzulbars**. Czas się ogromnie dłużył. A tymczasem poziom wody w studni wyraźnie opadał i wreszcie nogi jego **dotknęły** dna.

Obecnie, kiedy reflektor łodzi oświetlał ściany studni, jasne było, że

woda uszła przez boczne, poziome korytarze, wskutek czego obnażyło się dno — szeroka kamienna płaszczyna, na której właśnie znalazł się Kostia.

Bardzo długo krzyczał w nadziei, że go usłyszą, lecz przekonał się, że wysiłek ten nie daje rezultatów, postanowił nabrać sił, położył się na kamieniach obok mokrego psa i wkrótce zasnął. Gdy się zbudził, psa już nie było. Usłyszał natomiast szum zbliżającej się podziemnej łodzi.

— No, teraz możemy zawiadomić powierzchnię, że wszystko się szczęśliwie skończyło — powiedział Krymów, gdy Utoczkin umilkł. — Zostaw Kostia, ja sam... — dodał widząc, że mechanik się podnosi.

Oleg Nikołajewicz podszedł do radionadajnika i zaczął go nastawiać.

— Kiedy **zaglądał**śmy z góry do studni — **zwrócił** się **Tołmazow** do Kosti — to wyraźnie widzieliśmy w dole błękitne światło. Nie zauważyliście go?

— Nie — odpowiedział Kostia zdziwiony.

— Nie rozumiem... — mrucał profesor. — Kiedy nam będzie dogodniej zbadać dno studni: teraz, czy w drodze powrotnej?

Tymczasem Krymow wciąż jeszcze krzątał się przy aparacie. Wreszcie Kostia nie mógł się powstrzymać i poszedł mu dopomóc.

Dobry pies... Dobry... Ciągle tylko nas straszył siedząc w tej skrzyni mówił Gieorgij Stiepanowicz głaszcząc leżącego obok psa. — Pana swego uratował... A mnie pewno nie chciałbyś ratować, nie chciałbyś, bo ja ci groziłem kijem...

Pies podniósł oczy i patrzył na profesora swymi mądrymi oczyma, jakby chciał powiedzieć, że człowiek jest niesprawiedliwy, bo przecież to on, Dżuibars, wyciągnął profesora z wody, gdy ten tonął... Ale pies nie umie mówić, poruszył więc tylko głowę i znów położył ją na podłodze.

Z rozmowy, którą prowadził inżynier z mechanikiem. Tołmazow

zrozumiał, że stało się coś niedobrego. Obaj krzętałi się przy aparacie, podnosząc i zamykając pokrywę, zaglądałi do środka. Krymow **sprawdzał** słuchawki, następnie znów zaczynał mówić do mikrofo- nu:

— Ziemia... Ziemia... Ziemia... Odpowiadajcie... Odpowiadajcie...
Odpowiadajcie...

Trwało to długo i nie dawało żadnych rezultatów.

— Nie mamy żadnych sygnałów z powierzchni ziemi — powie- dział Oleg Nikołajewicz zwracając się do profesora.

— Jak to?... — z roztargnieniem zapytał Tołmazow.

— Coś się stało z radioodbiornikiem.

— A czy na powierzchni ziemi nas słyszą? — zapytał uczony.

— Przypuszczam, że słyszą! Nie mogę oczywiście ręczyć, ale myślę, że wszystkiemu jest winien odbiornik. W przyszłości trzeba będzie pomyśleć o lepszym zabezpieczeniu go przed wstrząsami — odpowiedział Krymow.

Przez kilka minut panowało w kabinie milczenie, tylko sapanie psa, który nie przestawał gryźć kości, mąciło ciszę.

— To niedobrze — powiedział ze smutkiem profesor. — Ale jeżeli **nas** słyszą, to jeszcze pół biedy... Będziemy ich informować o przebiegu **naszych** prac, a bez wiadomości od nich damy sobie jakoś radę.

Dyrektor mówił skandując każde słowo:

— Ostatni radiogram odebrano od **Krymowa** wczoraj o godzinie **szóstej** minut trzydzieści pięć, po czym łączność urwała się. Wybuch pod ziemią zarejestrowano o godzinie ósmej minut dziewiętnaście. Należy działać dokładnie i sprawnie. W celu ratowania ekspedycji przedsięwzięto już wszystkie kroki. Już jutro może być uruchomiony szybkobieżny świder kopalniany.

Łódź podziemna jest dobrze zaopatrzona w żywność i ma duży zapas tlenu. Załoga jej może bardzo długo żyć pod ziemią.

Nasze podstawowe zadanie polega na tym, aby określić dokładnie miejsce, w którym znajduje się maszyna.

Miejsce, z którego słyszano wybuch, określono z dostateczną dokładnością za pomocą dźwiękowej aparatury pomiarowej. Jutro można rozpocząć wiercenie. Ale czy to jest to samo miejsce, w którym obecnie znajduje się łódź?

Pojutrze nadejdą nowe geofony, niezwykle czułe, które usprawnią pracę podziemnego podsłuchu. Z instytutu wysłano już przyrządy do badań magnetycznych. Możliwe, że one również pomogą odnaleźć stalowy kadłub łodzi.

Dyrektor zakończył swe przemówienie odczytaniem depechy od Cesarskiego, który komunikował, że prace nad nowym przyrządem radarowym prowadzone są w przyspieszonym tempie i że będzie mógł „przejrzeć ziemię” na głębokość tysiąca metrów.

Po dyrektorze wystąpił Batia: przypomniał zebranych o moralnej odpowiedzialności, która na nich spada, i wzywał, by każdy wykonał to, co do niego należy, aby ratować kolegów, którzy znaleźli się w takiej ciężkiej sytuacji.

Po zebraniu podszedł do inżyniera Katuszkin Panfierycz:

— Towarzyszu Katuszkin! — zaczął — chciałem się z wami naradzić, Kostia Utoczkin dał mi do pilnowania psa.

— No więc co? — *zapytał* ze zdziwieniem Katuszkin.

Zniknął! Jakby się pod ziemię zapadł. No i nie wiem, czy meldować o tym dyrektorowi?

— Cóż znaczy pies, kiedy ludzie giną! — odrzekł rozdrażniony inżynier. — Do dyrektora z tą sprawą nie trzeba się zwracać. Zwymyśla i tyle.

Rozdział czwarty

Przez kilka godzin wędrowała maszyna po nie kończących się podziemnych tunelach i grotach. To podnosiła się, to znów opuszczała się na dużą głębokość. Tam, gdzie to było potrzebne, puszczano w ruch stalowe rylce i łódź wgryzała się w masę kamienia, tworząc szerokie przejścia.

Tołmazow dokładnie szkicował drogi podziemne i ich połączenia, usiłując znaleźć kierunek, w jakim ostatecznie płynie woda. Wreszcie zdecydowano się zatrzymać maszynę w dość przestronnej grocie.

Tołmazow i Kostia udali się wraz z psem na zbadanie bocznej galerii, przylegającej do groty. Krymow pozostał przy maszynie w celu sprawdzenia mechanizmu.

Zanim zagłębiono się w galerię. Kostia zatrzymał się.

— Czy nie wydaje się wam, że reflektor łodzi nie świeci pełną mocą?— zwrócił się do profesora, wskazując ręką na widniejącą w dali, podziemną maszynę.

— I mnie się też tak wydaje — odpowiedział Georgij Stiepanowicz.
— Ale może jest to tylko złudzenie.

Stali przez kilka chwil oglądając snop światła pełzającego po grocie, następnie zagłębili się w wąskim przejściu.

Wkrótce zauważyli przed sobą słabe, błękitne światło. Profesor i mechanik przyśpieszyli kroku. W ciągu pięciu minut znaleźli się w **niewielkiej** grocie i ujrzeli przed sobą bajeczny obraz: ściany i sklepienie groty pocięte były drobnymi żyłkami, rozsiewającymi fosforyzujący blask.

— Jak pięknie! — zachwycił się Kostia. — Szkoda, że nie wziąłem ze

sobą aparatu fotograficznego.

—Rzeczywiście... Bardzo to ładne i jednocześnie niezrozumiałe — odpowiedział profesor i oddłubał od ściany nożem kawałek świecącej się masy. — Spójrzcie, to nie jest fosfor. Cóż to może być? — ciągnął oglądając kawałek lekko kruszący się w rękę.

— Jak wrócimy do łodzi, to zbadamy — powiedział Kostia.

Przebyli w grocie około dwóch godzin i ruszyli w kierunku łodzi. Idąc spostrzegli znowu, że światło reflektora stało się jeszcze słabsze.

— Może Oleg Nikołajewicz coś naprawia? — profesor spojrzął na Utoczkinę.

— Możliwe — spokojnie odpowiedział zapytany.

Szybko podeszli do łodzi.

Krymow był wyraźnie czymś zdenerwowany.

Niespokojnie chodził po kabinie.

— Co się stało? — zapytał go Tołmazow.

— Przykra niespodzianka! — głucho odpowiedział Oleg Nikołajewicz.

Kostia milczał. Zrozumiał, co się stało. Świadczyło o tym nikłe światło reflektora i słabo żarzące się lampki, umieszczone w ścianie kabiny.

— Rozładowały się akumulatory — wyszeptał.

— Rozładowały się, chyba widzicie... — Krymow zatrzymał się przed Kostią i wskazał na lampki. — Rozładowały się, zupełnie jak w jakiejś marnej ciężarówce.

— I nie wystarczy nam energii... — zaczął Utoczkin i umilkł nie mając odwagi dokończyć zdania.

Zrozumiał to i Tołmazow.

— To znaczy, że natychmiast musimy wydostać się na powierzchnię — powiedział ze smutkiem.

Nie przestając chodzić, Krymow zaczął się oskarżać, że niewątpliwie

on sam jest temu winien. Trzeba było dokładniej sprawdzić nowe akumulatory, które dostarczały łodzi energii napędowej i świetlnej. Wziął za mało zapasowych akumulatorów.

— Włączcie nadajnik, Kostia. Musimy zawiadomić o tym, że zmuszeni jesteśmy przerwać badania i wracamy na powierzchnię — zakończył Oleg Nikołajewicz.

Utoczkin podszedł do radionadajnika i nacisnął włącznik.

Kie udało mu się jednak znaleźć uszkodzenia w radioodbiorniku. Nadal nie było słycać odpowiedzi nadawanej z powierzchni ziemi. W nadziei, że jednak ziemia ich słyszy. Kostia włączył nadajnik i podał szczegółowe sprawozdanie z przebiegu pracy.

Zaczęto przygotowywać maszynę do powrotnej drogi.

Pomagając inżynierowi i mechanikowi, Tołmazow przypomniał sobie nagle o znalezionym w świecącej grocie kamieniu i wyciągnął go z kieszeni.

— Zgaśli... Towarzysze, cóż to takiego? Spójrzcie proszę! — wykrzyknął obracając w rękę biały kawałek kamienia.

Nikt mu nie odpowiedział. Uświadamiając sobie powagę sytuacji, Krymow i Kostia byli całkowicie pochłonięci swoją pracą.

Profesor podszedł w milczeniu do szafki laboratoryjnej, wyjął stamtąd próbówki i wagę analityczną i przystąpił do badań.

— Patrzcie! Rzućcie waszą robotę... — wykrzyknął nagle.

— Co? — zapytał Krymow zdziwiony.

— Określiłem substancję — to baryt.

— No więc co?

— A to, że jeżeli go wynieść poza obręb kabiny opancerzonej stalą, zaranie znów świecić.

Mówiąc to Georgij Stiepanowicz podniósł się, podszedł do luku i

wyciągnął przez otwór rękę z kamieniem. Gdy się tylko mały, biały kamyczek znalazł poza obrębem kabiny, zaczął znowu świecić słabym fosforyzującym światłem.

— Nigdzie stąd nie pójdziemy. Myślę, że zgodzicie się ze mną — twardo powiedział profesor.

Krymow i Kostia zobaczyli, jak zabłyśły jego oczy i jak niezwykle surowa i męska stała się jego twarz.

— Czy rozumiecie, co się dzieje? Nie rozumiecie? Wielka szkoda...— zaczął Tołmazow podniecony. — Trzymam w ręku tlenek baru, którego cechą jest to, że może świecić pod wpływem ultrafioletowych promieni, promieni Roentgena i silnego, radioaktywnego promieniowania. Jest zupełnie zrozumiałe, że znajdujemy się w strefie potężnego, radioaktywnego promieniowania. Właśnie dlatego kamień świeci. Niech się tylko jednak znajdzie w kabinie, która jest opancerzona grubą warstwą stali, świecenie ustaje! Radioaktywne promieniowanie nie przenika do kabiny... Teraz rozumiem, dlaczego rozładowały się akumulatory! Przecież powietrze na skutek radioaktywnego promieniowania staje się doskonałym przewodnikiem elektryczności. W czasie postoju mamy wiele odsłoniętych przewodników. gdyż właz nasz jest otwarty, a naprzeciwko niego znajduje się tablica rozdzielcza z odsłoniętymi szynami. To jest wspaniałe odkrycie!

— Z czego się tak cieszyacie? — zapytał Krymow zdumiony.

Profesor uśmiechnął się i milcząco rozłożył ręce.

— Wiem, czemuśmy nie słyszeli sygnałów radiowych z powierzchni ziemi — wtrącił Kostia. — Mówiliście, że powietrze i ziemia stają się przewodnikami prądu, a przecież wszelkie ciała będące przewodnikami prądu odbijają fale radiowe. Nawet kryte blachą dachy domów nieraz przeszkadzają w łączności na ultrakrótkich falach.

— Macie rację! — z triumfem w głosie powiedział Tołmazow.

— No, ale czego wy się cieszyacie? — powtórzył swoje pytanie rozdrażniony Krymow. — Łączność przerwana! Akumulatory rozładowane!... Z tego wynika, że konstrukcja diabła warta. Nie przewidziałem właściwej izolacji dla tego promieniowania... To dopiero powód do radości!

Tołmazow, podniecony, ze wzruszeniem, które zapierało mu dech, podszedł do Krymowa i ujął go pod rękę.

— Uspokójcie się, Olegu Nikołajewiczu — mówił łagodnie. — W tej chwili wszystko wam wytłumaczę... Wasza maszyna pracowała i będzie pracować wspaniale. To jest doskonały mechanizm. Radioaktywnego promieniowania o takiej mocy nie mogliście przewidzieć. Z czego ja się cieszę? Przecież jest tylko jedna przyczyna: gdzieś tu w pobliżu znajdują się wielkie, nie spotykanych wprost dotąd rozmia- rów, złoża rudy uranowej. Właśnie na skutek jej promieniowania rozładowały się akumulatory. Rozumiecie? Złoża najcenniejszej rudy uranowej! W najbliższej przyszłości silniki parowe, benzynowe, o napędzie ropnym i inne wyparte zostaną przez silniki, które będą pracowały na rudzie uranowej, wykorzystując znajdujący się w niej wielki zapas energii atomowej.

— Przepraszam, przepraszam — mruknął zmieszany Krymow. — Jesteście pewni, że tu jest ruda uranowa?

— Oczywiście! W dodatku w ogromnej ilości! Nie spotykane zapasy! Musimy je odkryć!

— Kostia, natychmiast zadepeszuje... zadepeszuje — zaczął Krymow i zaciął się.

Przecież jeżeli fale radiowe nie dochodzą do nich z powierzchni na skutek dużego przewodnictwa elektrycznego ziemi, to i ich nie usłyszą

również na powierzchni ziemi. Na próżno wysyłali z łodzi radiogramy informujące o toku pracy.

Cóż mają teraz robić? Czyż mogą narażać maszynę i własne życie, zatrzymując się pod ziemią? Z drugiej strony powinni zubożać kraj odkryciem nowych, potężnych złóż rudy uranowej!

— Nie prędko wybierzemy się pod ziemię po raz drugi — w zamyśleniu rzekł Oleg Nikołajewicz. — Maszyna będzie wymagała naprawy i przeróbek.

Zapanowała przygnębiająca cisza. Hałasował tylko biegający po kabinie pies. Zdecydowano sprawdzić jeszcze raz zapas energii. Dla zapobieżenia dalszemu rozładowywaniu się akumulatorów zdjęto wszystkie zewnętrzne przewody. Właz szczelnie zakręcono, postanawiając otwierać go tylko w razie potrzeby.

Krymów i jego towarzysze zaopatrzyli się w młotki geologiczne i udali się w drogę. Nie, nie będą mogli wrócić na powierzchnię nie ustalwszy przedtem wielkości złóż uranowych...

Poszukiwania prowadzono z pośpiechem. Nie wolno było zatrzymywać się ani na jedną zbędną minutę. Padając ze zmęczenia wędrowcy czułą się długimi, podziemnymi korytarzami.

Profesor pierwszy zwrócił uwagę na objawy niewytłumaczonego niepokoju psa.

— Czy nie zauważyliście, że nasz czworonogi przyjaciel coraz częściej zaczyna warczeć i czemuś się przysłuchiwać? — zapytał Kosti.

— Tak, rzeczywiście.., — odpowiedział młodzieniec. — Co to może znaczyć?

Nagle pies zatrzymał się gwałtownie, najeżył sierść i nastawił uszy. Słychać było głuche warczenie. Przy świetle elektrycznych latarek zobaczyli, jak pies drży.

—Co się z tobą dzieje, Dżulbars? — czule przemówił Kostia.
Pies podszedł do pana i przerażony zaczął tulić się do jego nóg.

W ciasnym korytarzu odkrył wreszcie Tołmazow pierwsze warstwy rudy uranowej. Czarna, niepozorna z wyglądu, kamienista masa rozpościerała się szeroką warstwą, dalej następowała druga. W miarę zagłębiania się w wąskie przejście, stawało się widoczne, że zapasy rudy w tym zagłębieniu są ogromne. A więc osiągnęli swój cel! Można było wracać do łodzi. Kostia zaczął wołać psa.

Po pewnym czasie usłyszano oddalone szczekanie, głośno rozlegające się w kamienistym przejściu.

— Coś się stało — powiedział zaniepokojony Utoczkin przysłuchując się zbliżającemu się szczekaniu.

— Co się mogło stać? — odezwał się Krymow — po prostu Dżulbarsowi sprzykrzyło się łączyć z nami.

W tym momencie z bocznego korytarza wyskoczył pies. Rzucił się do Kosti i łapiąc go zębami za ubranie zaczął wściekle szczekać. Skacząc i skomląc pies wzywał Kostię, by szedł za nim.

Utoczkin skierował na niego światło latarki. Pies był zupełnie mokry.

—Woda! — wykrzyknął Kostia. — Towarzysze, woda do nas podchodzi!

—Skąd? — z trwogą zapytał Tołmazow.

— Widocznie woda rozmyła tamę, którą utworzył Kostia przy pomocy wybuchu — powiedział zdenerwowany Krymow. — Nie traćmy czasu, przyjaciele. Musimy spieszyć do maszyny — dodał.

Drobne, tryskające strumyki, które utworzyły się po wybuchu, stawały

się coraz większe. Wkrótce zmieniły się we wzburzony potok. Woda runęła do pustego koryta i do nie kończących się podziemnych przejść.

Do łodzi dotarli brnąć w wodzie po kolana. Przy samym kadłubie maszyny Krymow, podtrzymujący profesora, pośliznął się i wpadł do wody, uderzając głową o stalowy korpus maszyny. Z trudem wszedł po schodkach i spuścił się do wjazdu.

— To nic... — wykrztusił Oleg Nikołajewicz — przejdzie.

Kostia obserwował przez iluminator, jak podnosi się poziom wody.

— Jednak to przykre! — rzekł zwracając się do Tołmazowa.

— Taak, bardzo przykre... — zgodził się Gieorgij Stiepanowicz. — Jeszcze trochę i zakończylibyśmy całkowicie badanie złoża. Chociaż obraz jest i tak jasny.

— To swoją drogą! — ciągnął dalej Kostia. — Ale przykre jest także to, że woda przerwała naszą tamę. Powiedzcie, Gieorgiju Stiepanowiczu, a gdyby tama nie została przerwana, czy woda w rzece Jangier podniosłaby się i wróciła do swego dawnego koryta w pustyni?

— Byłoby to możliwe, gdyby tama trwała przez długi czas. Chociaż, czekajcie, czekajcie...

Profesor podszedł do stolika i zaczął oglądać naszkicowany przez siebie plan podziemnych labiryntów.

— Hm-hm! — powiedział — podejdźcie tu, towarzysze! Może ja się mylę...

Do stolika zbliżył się Utoczkin i ściskający rękami obandażowaną głowę Krymow.

— Widzicie, o co chodzi, przyjaciele... Wiedziałem, że tama, którą wznosił Kostia, jest nietrwała. Woda szybko wymyła kamienie. Co prawda, nie sądziłem, że nastąpi to tak prędko. A gdybyśmy tak zawalili tę studnię? Spójrzcie. Tędy woda nie przejdzie, tędy również. Ten pionowy

szyb nie jest zbyt głęboki. Gdyby nam się udało zasypać go całkowicie kamieniami nie ucieknie więcej niż dziesięć procent wody. Dno szybu jest trwałe, kamienne zaś szczeliny u dołu — wąskie. Myślę, że woda tej przeszkody nie rozmyje.

— I rzeka Jangier powróci na pustynię? — zapytał Krymow.

— Z czasem, oczywiście!

— To by było wspaniałe! — wyszeptał Kostia.

— Rzeczywiście! — mówił dalej profesor — dla mnie jest to obecnie zupełnie zrozumiałe, że woda nie płynie pod pustynią. Nie ma co jej tam szukać. Woda uchodzi w głąb ziemi i wyparowuje przy jakimś wulkanicznym ognisku. Gdzie się podziewa para — tego nie wiem. W ogóle z punktu widzenia nauki i to byłoby bardzo ciekawe stwierdzić. Ale oczywiście ważniejsze jest, by zaopatrzyć pustynię w wodę. O ile udowodnimy, że podziemna rzeka nie płynie pod pustynią, przyjęte będzie drugie rozwiązanie. Wy, oczywiście, wiecie, że istnieje projekt wybudowania tamy, która by zamknęła rzece drogę do miejsca, w którym woda znika pod ziemią! Tę musi być potężna tama! Budowa jej wymaga wielu lat i olbrzymiego nakładu pracy. A my tutaj pod ziemią możemy osiągnąć te same rezultaty przy pomocy niewielkiego wybuchu!...

— Zaraz, zaraz — powiedział Oleg Nikołajewicz. — Proponujecie wrócić do tej studni — powiódł palcem po rysunku — i wysadzić ją? Przecież w akumulatorach pozostał znikomy zapas energii. Nie, to jest prawie niemożliwe — dokończył, ciężko siadając na krześle.

— Prawie? — cicho zapytał Tołmazow.

— Może jednak... wystarczy energii? — jeszcze ciszej spytał Kostia.

W kabinie zapadło milczenie. Wyraźnie słychać było, jak pluszcze o maszynę podnosząca się uroda.

Profesor w milczeniu zwinął w trąbkę plan podziemnych dróg.

Zaczął mówić o powrocie na powierzchnię. Czas włókł się męcząco. Krymow bez przerwy sprawdzał przyrządy, kontrolował swoje poprzecznie notatki.

Pomagał mu Kostia.

— A może jednak wystarczy? — usłyszał Tołmazow szeptał Kostia.

Krymow nie odpowiedział.

Wreszcie dał się słyszeć znajomy warkot motoru.

Kadłub łodzi drgnął.

Powoli czołgał się po dnie przed chwilą powstałego, podziemnego zbiornika.

Nie, Krymow nie poprowadził swojej maszyny prostą drogą na powierzchnię ziemi! Kostia poznał to po wskazaniach przyrządów. Domyślił się tego również i profesor widząc radość malującą się na twarzy młodzieńca.

Radzieccy ludzie zdobyli się na czyn bohaterski, aby jak najprędzej nawodnić pustynię.

Oto już znajomy szyb. Łódź zatrzymuje się na jego brzegu. Kostia wkłada ubiór nurka z aparatem tlenowym. Pomimo protestów Utocka i Tołmazowa ubiera się również i Krymow.

Wszyscy trzej, obciążeni materiałami wybuchowymi, opuszczają łódź przez podwójne drzwi włazu.

W kabinie pozostał tylko pies, wystraszony niecodziennym wyglądem ludzi. Wyje żałośnie, drapiąc pazurami grube szkło iluminatora, przez które widać, jak jego przyjaciele, którzy zmienili się w straszne potwory, powoli poruszają się w wodzie!...

Ludzie powracali do łodzi i znów wychodzili zabierając ze sobą ciężkie skrzynie. Materiał wybuchowy, zamknięty w wodoszczelnych, cynowych puszkach, układano pod olbrzymią, zwisającą nad szeroką studnią,

granitową skałą. Dokładnie odmierzone sznur Bickforda palący się, jak wiadomo, nie tylko na powietrzu, ale i pod wodą. Ogień, rozniecony za pomocą naboju zapalnego, stosowanego zwykle przez numerów, będzie pełził po sznurze do materiału wybuchowego dość długo, tak, że łódź zdąży odejść na bezpieczną odległość.

Wrócili już wreszcie i zrzucili ubiór niepokojący psa.

W chwilę później łódź ruszyła z miejsca. Teraz kabina przyjęła pozycję pochyłą. Maszyna stromo szła do góry, przebijając się przez kamienny masyw na powierzchnię ziemi.

Twarz Krymowa chmurzy się coraz bardziej. Widocznie wiele wysiłku kosztuje go kierowanie łodzią. Jest zdenerwowany. Co chwila spogląda na przyrząd, wskazujący pozostały w akumulatorach zapas energii elektrycznej. Po twarzy Olega Nikolajewicza spływa strumieniem pot.

Nasię łódź gwałtownie się zatrzymuje. Kostia i Tołmazow rzucają się do Krymowa. Inżynier siedzi, ale ręce jego zwisają bezwładnie, głowa opadła. Ostrożnie podnoszą go z siedzenia i układają na łóżku.

— Jak daleko odjechaliśmy od miejsca wybuchu? — zwraca się profesor do Utoczki.

Kostia z niepokojem patrzy to na zegarek, który ma na ręku, to na odpowiedni przyrząd wskazujący przebytą drogę.

— Niedługo powinien nastąpić wybuch — mówi cicho, szybko zajmując miejsce przy sterze.

Rozdział piąty.

Na punkcie wyjściowym, zamienionym obecnie w sztab ekspedycji ratunkowej, wre praca.

W pokoju, w którym skoncentrowano aparaty do podsłuchu

podziemnych dźwięków, znajdowało się wiele osób. Jedni siedzieli, inni stali, mimo woli powstrzymując oddech.

Sytuacja wyglądała tak: spod ziemi, czasem zupełnie zanikając, dawał się słyszeć niewyraźny szmer, bardzo podobny do tego, jaki wydawała podziemna maszyna. Szmer był tak słaby, że trudno było ustalić miejsce, z którego wychodził. Trzeba było cierpliwie czekać.

Ale nagle równocześnie z ust kilku ludzi wydarł się okrzyk:

— Wybuch!

Jedni wykrzyknęli to mową z radością, inni z wyraźnym przerażeniem.

Rzeczywiście, co znaczył ten wybuch? Czy cieszyć się z tego powodu, czy smuć? Jedno jest pewne: do chwili wybuchu ludzie pod ziemią żyli.

Miejsce, w którym nastąpił wybuch, było bardzo dokładnie oznaczone przez dźwiękową aparaturę pomiarową. Szybko przeprowadzono obliczenia i zaznaczono punkt na mapie.

Wybuch nastąpił daleko, pod pustynią Auliekiz.

Oto dlaczego tak słabo słychać warkot pracującej maszyny! Nie zawińczyły tu nowe, niezwykle czułe przyrządy. Można nawet podziwiać, w jaki sposób mogły one uchwycić podziemny szmer na tak wielką odległość.

— Co się stało z łącznością radiową? Nic nie rozumiem... — mówił dyrektor spacerując po pokoju. — Radiowe aparaty łodzi nie mogły się zepsuć! Dysponują zapasowym nadajnikiem. Mają wszystko, co jest niezbędne: lampy radiowe, nowe części, w ogóle wszystko, co jest w takich wypadkach konieczne dla nawiązania łączności... Chcąc nie chcąc trzeba będzie uwierzyć w przypuszczenia inżyniera radiowego, który właśnie przyjechał z potężną stacją nadawczą.

— Więc przypuszczacie, że fale radiowe odbijają warstwy rudy, o dużym przewodnictwie elektrycznym? — w zamyśleniu zapytał Batia.

— Tak, nie może być innej przyczyny. Widocznie gruba warstwa

przewodzącej prąd materii — przypuśćmy, warstwa słonej wody, rudy żelaza lub coś innego, przypadkowo znalazła się między naszym nadajnikiem a łodzią podziemną. Falam radiowym trudno jest przebić tę warstwę.

— Nowa stacja nadawcza już jest ustawiona — przypomniał Batia.

— Tak, jest ustawiona. Montaż idzie w niezwykłym tempie. Za dziesięć godzin stacja będzie już pracować...

— Czy jesteście pewni, że łączność radiowa zostanie nawiązana?

— Nie wątpię! Przecież moc nowej stacji nadawczej dziesięciokrotnie przewyższa siłę stacji, na której dotąd pracowaliśmy.

— I to jest wszystko, co masz zamiar zrobić w ciągu najbliższych godzin?

— A cóż więcej można jeszcze zrobić? — Gremiakin prawie krzyknął zatrzymując się na środku pokoju.

Batia powoli wstał i przez kilka chwil stał nieruchomo, jakby zastanawiając się, co ma jeszcze powiedzieć.

— Przenieść się natychmiast, nie czekając na zakończenie montażu — odpowiedział wreszcie. — Przenieść się bliżej miejsca, z którego słychać było wybuch...

— Ale przecież nadajnik będzie gotowy za dziesięć godzin! Prawdopodobnie za dziesięć godzin będziemy mogli rozmawiać z nimi...

— Prawdopodobnie — słusznie to powiedziałeś. A może w ogóle nie uda nam się nawiązać łączności. Co wówczas zrobimy? I tak będziemy musieli się przenieść. Moim zdaniem nie należy ruszać tego nadajnika, który obecnie pracuje. Radiostacje nie powinny nawet na sekundę przerywać swej pracy. Montaż nowego, silniejszego nadajnika kontynuować tutaj. Gdy się przeniesiemy na pustynię, spróbujemy nawiązać łączność przy pomocy potowego aparatu radiowego. Oczywiście, jest on słabszy od

tęgo, który się montuje obecnie, za to będziemy bliżej miejsca, w którym znajduje się Łódź.

Dyrektor zaczął znów spacerować po pokoju, wsunawszy ręce głęboko do kieszeni i nisko opuszczając głowę.

— Nalegasz na to?...

— Tak, mam wrażenie, że to będzie bardziej celowe. Nowa stacja nadawcza nie ucieknie nam. Nie należy jednak polegać tylko na niej. Inżynier radiowy wierzy w moc swojej aparatury. I słusznie. Ale on myśli tylko o łączności radiowej. Rozumiesz? Jemu się wydaje, że najważniejsza rzecz, to łączność radiowa. Lecz ja i ty powinniśmy myśleć szerzej, biorąc pod uwagę całokształt sytuacji, która się wytworzyła.

— Zdecydowane — mocno powiedział Gremiakin i szybkimi, krokami skierował się ku wyjściu.

Za kilka chwil cały obóz zaszumiał jak wzburzony ul. Ludzie nerwowo przygotowywali, się do wyjazdu na pustynię.

*

* *

Powoli posuwała się Łódź podziemna, kierowana przez Utoczkiną. Energia w akumulatorach była na wyczerpaniu.

Kostia z niepokojem śledził, jak coraz niżej opada strzałka przyrządu pomiarowego, wskazującego stan energii elektrycznej. Równocześnie z tą opada i inna strzałka, która wskazuje szybkość maszyny.

— Nie dociągniemy! — rozlega się nad głową Kosti głos Krymowa.

Oleg Nikołajewicz z trudem trzyma się na nogach. Prosi mechanika, by mu ustąpił miejsca przy sterze.

— Spróbuj połączyć się z ziemią — mówi Krymow.

Kostia zbliża się do radiostacji. Na próżno jednak stuka kluczem. Odpowiedzi nie ma. Utoczkin z zakłopotaniem spogląda na profesora.

Tołmazow zauważył spojrzenie Kosti. Starając się nie zwrócić na siebie uwagi Krymowa, który siedzi przy sterze, Georgij Stiepanowicz kiwnął na młodzieńca.

— Wydostaniemy się, Kostia? — cicho zapytał.

— Powinniśmy... Co prawda w akumulatorach pozostała znikoma ilość energii, ale oczywiście nie należy tracić nadziei.

— Oczywiście...

Kostia odszedł na bok i zaczął obserwować przyrządy pomiarowe. Po chwili, zwracając głowę w stronę profesora, spostrzegł, że ten rozkłada na stole notatki i wykresy. Po chwili uczony zagłębił się w pracy. Zaczął coś pisać.

Kostia podszedł do Tołmazowa.

— Co pan robi, Georgiju Stiepanowiczu?

— Porządkuję całość badań — spokojnie odpowiedział profesor.

— To dobrze, ale my, oczywiście, wydostaniemy się...

— Gdybym był całkowicie pewien, że wydostaniemy się na powierzchnię, to sam rozumiesz, że nie zajmowałbym się teraz tą sprawą. Ale wy tu coś przede mną ukrywacie. Czuję to. No i postanowiłem... Rozmaicie może się zdarzyć. A nuż nie wydostaniemy się. Znajdą nas po jakimś czasie! Jeżeli dokumenty będą w porządku, wysłanie nasz nie pójdzie na marne, chociaż my zginiemy...

*

Łódź powoli zbliżała się do otwartej przestrzeni, która niespodzianie rozpostarła się przed nimi. Przez chwilę wydawało się, że nie wystarczy energii, aby wyjść na to podziemne pustkowie. Dziób maszyny był już w grocie, kiedy obroty motoru zupełnie ustały.

Podziemni wędrowcy odkręcili włącznik i wyszli na pomost maszyny. Reflektor prawie nie działał i trzeba było oglądać podziemie przy świetle

latarek. Tołmazow i Kostia zeszli na dół i wzięwszy psa. poszli zbadać grootę. Grota nie była z kamienia. Otaczały ich wapienne i gliniaste ściany. Ciężkie powietrze utrudniało oddychanie.

Gieorgij Stiepanowicz skierował światło latarki na biały przedmiot. Był to szkielet ludzki.

— Co to? Spójrzcie tam! — wskazał na ścianę. — Kolumna, czy co? Przecież to są pogrzebane ruiny jakiegoś miasta. No tak! Tak jest!

— Znajdujemy się pod pustynią Auliekiz... Czyżby tu były szczątki miasta zburzonego podczas trzęsienia ziemi? — wykrzyknął Kostia.

— Tak. Wyobraźcie sobie, że rzeczywiście na to wygląda. Czy przypominacie sobie legendę, którą opowiadałem?

— Ale jak sobie wytłumaczyć powstanie tego pustkowia?

— Wiele się może stać podczas trzęsienia ziemi. Na osuwającą się ziemię mogła spaść jakaś twarda warstwa i uchronić pewną część przed zasypaniem... Spójrzcie na to sklepienie! Przecież ono jest z kamienia!

Tołmazow i Kostia niedługo chodzili po ruinach zagrzebanego podziemią miasta. Należało działać szybko i zdecydowanie. Zawrócili do łodzi.

— Miasto nie mogło się zapaść na dużą głębokość — powiedział z przekonaniem profesor.

Zanim opuścili łódź i zaczęli się przebijać na powierzchnię, Kostia postanowił, że jeszcze raz spróbuje połączyć się z powierzchnią ziemi.

Włączył aparat i nadał sygnał wywoławczy, po czym przez jakiś czas pilnie nasłuchiwał. Czynność tę powtórzył kilka razy i wreszcie machnął ręką. Poza słabymi szmerami i przeciągłym huczeniem lamp nic nie było słychać. Uzbrojeni w łopaty, kilofy i latarki elektryczne opuścili łódź i poszli na poszukiwanie najbardziej odpowiedniego miejsca, z którego będą mogli przebić się na powierzchnię ziemi.

*

*

Ekspedycja ratunkowa przybyła w nocy na miejsce, które wskazała stacja pomiarów dźwiękowych. Długi łańcuch maszyn na gąsienicach, pokonując ruchome piaski, przeciął pustynię. Spośród mechanizmów o różnorodnej konstrukcji wyróżniał się jeden olbrzymi, o dziwacznych kształtach. Był to szybkobieżny świder kopalniany inżyniera Trubnina.

Wieść o zaginięciu podziemnej łodzi wstrząsnęła całym krajem. Setki fabryk, naukowo-badawczych instytutów, wszyscy, którzy przypuszczali, że chociaż w najmniejszym stopniu mogą przyczynić się do odnalezienia łodzi, nadsyłali aparaty, narzędzia lub po prostu dobre rady. Na pobliskim lotnisku co dwie — trzy godziny lądowały samoloty. Przywoziły aparaty i ludzi, którzy mieli te przyrządy obsługiwać.

Sjemionowa powitała inżyniera Trubnina, który przed chwilą przyjechał do obozu, następującymi słowami:

— Widzicie, jak się to złożyło?... Wasz świder ma ratować ludzi znajdujących się pod ziemią.

— Nie rozumiem was — ostrożnie odpowiedział Trubnin.

— Nie bądźcie tacy skromni. Maszyna, zbudowana w oparciu o wieloletnie doświadczenia, będzie ratowała maszynę skonstruowaną w porywie twórczego natchnienia, zbudowaną po raz pierwszy. Czyżbyście zapomnieli o naszej pierwszej sprzeczce?

— Namawialiście mnie wówczas do „romantycznego poglądu na technikę”. Czy obecnie sądzą, żeście się mylili? — chłodno zapytał Trubnin.

— Możliwe, że podziemna maszyna — Zoja Władimirowna zatrzymała się i zaczęła uważnie przyglądać się swemu rozmówcy — możliwą, że podziemna maszyna powstała rzeczywiście przedwcześnie.

Biorę pod uwagę, że konstruktorowi maszyny podziemnej brak było długoletniego doświadczenia.

— Nie rozumiem was — sucho odrzekł Trubnin. — Uszkodzenia są możliwe w każdej, nawet najdoskonalszej maszynie!

— Przy obecnym poziomie techniki wszelkie uszkodzenia pociągające za sobą ofiary w ludziach są niewybaczalne... Świder górniczy może uratować ludzi znajdujących się w łodzi podziemnej, ale nie uratuje on teraz idei łodzi podziemnej przed uzasadnioną nieufnością... Spodziewam się, że mnie rozumiecie.

— Droga Zojo Władymirowna — zaczął Trubnin wzburzony. — Uczyliście mnie kochać przyrodę... Zdaje się, że ją pokochałem. Uczyliście mnie widzieć sztukę w twórczości inżyniera... Zdaje się, że i tego się nauczyłem. Ale nie mówiliście nic o tym, że trzeba pomagać koledze, gdy mu robota nie idzie... Nauczył mnie tego Krymow swoim postępowaniem. Pamiętacie, jak przy próbach zepsuł się świder kopalniany?...

Jeżeli nawet łódź podziemna, wyciągnięta z ziemi, będzie zupełnie zdeformowana, jeżeli tysiące autoratywnych komisji orzeknie, że idea łodzi podziemnej jest błędna, ja stanę przy Krymowie i będę bronił jego wynalazku! Razem z nim będę walczył o całkowite urzeczywistnienie jego idea! Sjemionowa uważnie spojrzała na mówiącego i zobaczyła, jakim gorączkowym blaskiem płoną jego oczy. Zobaczyła to po raz pierwszy, chociaż znajomość ich trwała długie lata. Zobaczyła i zrozumiała, że słowa te płyną z głębi duszy. Po bezkresnym, piaszczystym terenie, skąpo oświetlonym promieniami księżyca, poruszali się ludzie uzbrojeni w łopaty. Szli grzęznąć w piasku, by zakopać geofony — czułe uszy elektryczne. Każdy przyrząd należało ustawić jak najdalej od sąsiedniego — zapewniało to większą dokładność przy określaniu położenia maszyny podziemnej.



Szybko ustawiano namioty połowę. W jednym z nich, jeszcze niezupełnie wykończonym, montowano skomplikowaną aparaturę służącą do podsluchu odgłosów podziemnych.

Do tego namiotu, rozwijając olbrzymie czarne szpule, ludzie przeciągali przewody elektryczne. W następnym ustawiano aparaty radiowe. Z namiotu dochodził głos Bati.

— Prędeż, towarzysze! — mówił operując kluczem francuskim. — Nadajnik opóźnia się. Spójrzcie, odbiornik prawie gotowy... Co tam u was z tym nadajnikiem?

Gdy Batia upewnił się, że montaż odbiornika dobiega końca, poszedł pomagać ludziom montującym nadajnik.

W tej chwili radiotelegrafista, który właśnie nałożył słuchawki i zaczął kręcić gałkami strojeniowymi, zrobił nagle szybki ruch nakazujący ciszę.

Wszyscy zamarli.

— Słyszę sygnały wywoławcze! — z radością zawołał radiotelegrafista. Wszyscy rzucili się do niego.

— Znowu sygnały wywoławcze! To łódź! Łódź, towarzysze! Prędeż, przyjaciele, ustawiajcie nadajnik... — denerwował się Batia. — Przecież trzeba im odpowiedzieć! Prędeż!

W ciągu dziesięciu minut zakończono montaż nadajnika. Rozległ się szum prostowników i na tablicy rozdzielczej zapaliły się lampki sygnalizacyjne. Upłynęło jeszcze pół minuty i w podziemiu poleciały silne sygnały radiowe mówiące o tym, że łódź usłyszano i że ziemia czeka odpowiedzi.

Ale wszystko było daremne. Łódź nie odpowiadała.

Z każdą chwilą trudniej było przedostawać się do najwyższego punktu podziemia, w którym znaleźli się podróżnicy. Trzeba było wdrapywać się na stosy kamieni i omijać głębokie doły.

Profesor Tołmazow pierwszy zauważył brak psa.

— Kostia! Gdzie Dżulhars? — spytał zatrzymując się dla nabrania tchu.

Jak na zawołanie, gdzieś z daleka rozległo się szczekanie.

— Dlaczego nie ma go z nami?

Kostia zaczął wołać psa.

— Możemy go przez nieuwagę zamknęli w maszynie i nie może się teraz stamtąd wydostać? — zauważył profesor.

— Nie, właz pozostał otwarty... Nie rozumiem, dlaczego go nie ma...

Istotnej przyczyny nieobecności Dżulbarsa nikt nie mógł oczywiście odgadnąć.

Tymczasem, gdy tylko ludzie opuścili łódź podziemną, w słuchawkach radioodbiornika, który Kostia zapomniał wyłączyć, dały się słyszeć znaki alfabetu Morsego. Stało się to w momencie, gdy na powierzchni uruchomiono nadajnik.

Ale w kabinie nikogo już nie było.

Sygnały przyciągnęły uwagę psa, usiadł na tylnych łapach i zaczął się przysłuchiwać nikłym dźwiękom, wychodzącym ze słuchawek. Następnie, gdy ziemia przeszła do nadawania przez telefon i ze słuchawek rozległ się lekko drżący głos, Dżulbars zaczął szczekać. Zniekształcony głos ludzki podrażnił go.

— Uważam, że psu, który uratował nas i ostrzegł przed groźącą zagładą należy pomóc wydostać się z łodzi, w której widocznie utknął — przemówił profesor. — Wrócimy, towarzysze?

— Pójdę sam — powiedział Kostia.

Przesadzając doły i kamienne przeszkody, szedł do opuszczonej maszyny aby uwolnić swego czworonogiego przyjaciela.

Oto łódź. Kostia szybko wdrapał się po drabince i zajrzał do włazu. Ku

jego zdziwieniu nic nie przeszkadzało psu opuścić maszyny. Siedział i wesoło merdał ogonem na widok swego pana.

Sygnалу w słuchawkach już nie było. Kostia zawołał Dżulbarsa i ruszył w powrotną drogę, nie podejrzewając, jaka przyczyna kazała psu szczekać.

Wreszcie osiągnięto najwyższy punkt podziemia. Podróżni chwycili za kilofy i zaczęli przekuwać sobie drogę na powierzchnię ziemi.

Rozdział szósty

Wiele niewytłumaczonych szmerów można usłyszeć spod ziemi, jeżeli się będzie słuchać przy pomocy czułych przyrządów — geofonów elektrycznych mi, że nie trzeba... Drobiazg — powiada! Czyż można lekceważyć drobiazgi, gdy chodzi o taką sprawę? Wszystko jedno! To pies Kosti szczeka pod ziemią na profesora...

— Trzeba natychmiast rozpocząć wiercenie — postanowił Batia.

— Wiercić! Wiercić! — podniosły się radosne okrzyki. — To oni!

— Czy ustalono współrzędne? — szybko zapytał dyrektor.

— Zupełnie ściśle — pracownik ze stacji pomiarowej wręczył Gremiakiniowi mapę terenu. — Muzyka i szczekanie wychodzą właśnie stąd.

— Natychmiast zaczynać wiercenie — głośno powtórzył dyrektor i skierował się do wyjścia. Za nim poszli inni.

Zbliżał się brzask. Widać było, jak po piasku czołga się wielka maszyna — to szybkobieżny świder kopalniany.

— Świder to pewna rzecz. Bez waszego świdra nie obeszło się — powiedział Gorszkow do Trabnina.

— Nie przeszkadzajcie, Pantelejmonie Jewszejewiczu... — z rozta-

rgnieniem odpowiedział pochłonięty myślami inżynier.

— Mam takie uczucie — mówił Gremiakin do Bata — że zaraz na tym piaszczystym polu rozpocznie się bitwa. Straszny bój z nieujarzmioną przyrodą.

— Nie wspomniałeś, drogi dowódco, o armii — roześmiał się Batia biorąc przyjaciela pod rękę. — Walczy tu również niewidzialna armia. To armia robotników i inżynierów, którzy budowali nowe maszyny. I bitwa, moim zdaniem, trwa już od dawna. A w tej chwili rozgrywa się bój decydujący, ale nie ostatni.

* *

Praca postępowała powoli.

Ostrze kilofu lekko wbijało się w miękkiego wapień, ale grzęzło w nim. Trzeba było dużego wysiłku, aby narzędzie wyciągnąć z powrotem. Jeszcze trudniej było pracować łopatą.

— Trzeba ostrożnie zużywać siły. Odpocznijmy nieco — zaproponował Krymow.

Odłożyli narzędzia na bok i usiedli na gliniastej ziemi.

— Co też teraz przeżywa moja Marina Iwanowna... — cicho zaczął Tołmazow pochylając w zamyśleniu głowę. — Martwi się biedna, pewno uważa mnie za zgubionego... Ileż razy zdarzało jej się to w ciągu czterdziestu dwóch lat naszego wspólnego życia! Ekspedycje, jak wiecie, bywają niebezpieczne. Wiele ciężkich dni wyczekiwania i rozmyślań dostarczyłem swojej żonie. Gdy powracałem szczęśliwie, mówiła, iż wierzyła, że powrócę cały i zdrowy, wierzyła bez względu na wszystko. Ale z twarzy jej widziałem, że się martwiła, ciężko to przeżywała...

— Do mamy wysłałem list w dniu naszego startu — powiedział jakby do siebie Krymow. — Zoja Władimirowna obiecała mi, że w razie jakie-

gość opóźnienia będzie wysyłała do staruszki depesze według swego uznania.

Kostia myślał o matce, o siostrzyczce Kirze, dziesięcioletniej dziewczynce z jasnymi dokami i... o Nataszy. Ale nie wypowiedział na głos swoich myśli.

— Gdyby pozostała nam choć odrobina materiału wybuchowego — mówił z rozmarzeniem. — Cały zużyliśmy przy budowie tamy.

— Tak... — przeciągle powiedział profesor. — Ciekawym, jak tam nasza tama, funkcjonuje czy też nie?

— Nie dowiemy się, dopóki nie wydostaniemy się na powierzchnię — zauważył Krymow. — Zaśpiewaj, Kostia, jeszcze coś! Bardzo to ładnie wychodzi! Naprawdę! Śpiew doda nam otuchy...

Mechanik chwilę namyślał się i zaczął śpiewać pieśń frontową. Wtórował mu profesor, słów wprawdzie nie znał, ale dobrze podchwytował melodię.

Dźwięki pieśni, odbijając się od ścian, zamieniły, się w przeciągłe echo i powróciły do śpiewających, akompaniując im niby potężna orkiestra symfoniczna. Takie jest prawo akustyki wielkiego podziemia.

Skończyli pieśń i wzięli się znów do roboty.

— Nie mamy się czego denerwować, żywności mamy dość, tylko trzeba będzie popracować... Wydostaniemy się! — powiedział Tołmazow, uderzając w wapienny strop.

Po upływie kilku minut pies znów zaczął zdradzać niepokój. Wył głucho, jeżąc sierść.

— Co to może być? — zapytał Krymow, wiedząc z doświadczenia, że zwierzęta nie denerwują się bez powodu.

Kostia rzucił kilof i w milczeniu poszedł za Dzulbarsem oświetlając mu drogę latarką. Pies prowadził go do miejsca, gdzie stała maszyna podziem-

na. Za chwilę wszystko się wyjaśniło: z szerokiego otworu, który wybiła łódź, z szumem buchała do podziemia woda.

Kostia pędem pobiegł z powrotem.

— Woda! — zawołał, zbliżywszy się do Krymowa i Tołmazowa.

— Co za licho! Skąd? — zaklął Oleg Nikołajewicz rzucając ze złością łopatę na ziemię.

— Wszystko w porządku — z radością zawołał profesor.

— Co w porządku?

— Czyżbyście nie rozumieli? Przecież pojawienie się wody świadczy o celowości przeszkody, którą zrobiliśmy powodując wybuch. Woda wypełnia wszystkie przejścia i grotty. Droga w głąb ziemi ma zamkniętą, więc poszła za nami tunelem, który łódź utworzyła w ziemi. Przecież poziom pustyni jest mniej więcej o czterdzieści metrów niższy od miejsca, w którym woda wchodzi pod ziemię. Poszła za nami według wszelkich praw naczyń połączonych! Weźcie pod uwagę, że ciśnienie jej jest olbrzymie. Jeżeli uda nam się przebić kilofami otwór, aby wyjść na powierzchnię to woda również podąży za nami.

Profesor chciał jeszcze przytoczyć jakieś dowody świadczące o prawidłowości ukazania się wody, ale nagle opamiętał się i zawołał przerażony:

— Towarzysze! Cośmy zrobili! Przecież właz łodzi jest otwarty, a w kabinie leżą notatki z naszej ekspedycji. Woda. może je zniszczyć. Trzeba natychmiast powrócić do maszyny!

— Zupełnie słusznie — podtrzymał go Krymow. — Woda przedostanie się do łodzi i zniszczy jej urządzenia. Musimy się spieszyć.

Rzucili się biegiem w kierunku łodzi.

Nagle dał się słyszeć głuchy, coraz bardziej wzmagający warkot.

— Świder! Szybkobieżny świder kopalniany! — nieswoim głosem krzyknął Krymow. — Poznają jego szum... Towarzysze, odnaleziono nas:

Wstrzymując oddech, stojąc po kolana w wodzie podróżnicy wpatrywali się w sklepienie podziemia, oświetlając je elektrycznymi latarkami. Oto już sypią się na dół pierwsze grudki ziemi, za nimi duże kamienie. A za chwilę ukazują się szerokie kolo szybko obracających się ryłców.

Kilka razy głowica świdra poruszyła się w powietrzu to opadając, to wznosząc się do góry. Minęło jeszcze kilka minut i podróżni spoglądający w górę ujrzeli szeroki otwór, przez który przedostawało się światło słoneczne.

Okazało się, że szyb wcale nie jest długi. Mogli rozmawiać z ludźmi stojącymi na górze.

— Wszyscy żywi? — rozległ się głos Bati.

— Wszyscyyy! — odpowiedział Kostia układając dłonie w trąbkę.

— Co z maszyną? — usłyszeli głos dyrektora.

Nie mogli jednak odpowiedzieć, bo pies zaczął tak ogłuszająco hałasować, że Krymow machnął tylko ręką. Kiedy Kostia uspokoił nareszcie psa, doszły ich głosy kłócących się ludzi.

— To nie jest w porządku — krzychał ktoś — Pozwólcie mi. Co wam to szkodzi?

Wkrótce przez otwór spuściła się mała winda górnicza. Światło elektrycznych latarek padło na siedzącego w niej mechanika Gorszkowa.

— Siadajcie! — głośnie rozkazał mechanik, wyskakując z windy do wody.

— Siadajcie, towarzysze — powtórzył Krymow zwracając się do swoich przyjaciół.

— A wy, Olegu Nikołajewiczu? — spoglądając z ukosa na Krymowa zapytał Tołmazow.

— O mnie się nie martwcie. Proszę tylko spuście akumulatory...

— To znaczy, że maszyna jest w zupełnym porządku? — wtrącił się

Gorszkow. — Więc o to chodzi? Akkumulatory! Spuśćcie świeżo naładowane akumulatoryyy! — zawołał z całej siły.

Z góry słychać było nieokreśloną odpowiedź. Następnie winda górnicza zaczęła się powoli podnosić. Pies, któremu woda dochodziła już do gardła, zaszczekał żałośnie.

Niedługo trzeba było jednak czekać. Winda znów spuściła się, wypełniona tym razem podłużnymi, metalowymi skrzynkami — akumulatorami. Brodząc po pas w wodzie, przenesili je do łodzi podziemnej.

*

* *

Nigdy jeszcze bezkresna, piaszczysta równina nie była świadkiem takiego radosnego obrazu. Opromienieni olśniewającym blaskiem wschodzącego słońca ludzie przygotowywali się do uroczystego spotkania.

— Uważajcie — mówił do uczestników ekspedycji ratunkowej dyrektor. — Maszyna ukaże się w najmniej oczekiwanym miejscu!

Podziemny huk staje się coraz głośniejszy. Oto zamienia się w ogłuszający ryk i wysoko w górę wznosi się potężny słup piasku. Naraz huk cichnie i przez opadającą kurzawę widać olśniewająco błyszczący w słońcu kadłub łodzi podziemnej. Maszyna sunie jeszcze przez chwilę po piasku i zatrzymuje się.

Ludzie otaczają stalową maszynę, krzycząc radośnie.

— Ciekawe, kto pierwszy wyjdzie z łodzi — szepce Natasza.

— Wiadomo, Krymowi — autorytatywnie oświadcza stojący obok Panfierycz. — On jest głównym bohaterem! Maszyna — to przecież jego wynalazek !

Powoli otwiera się masywna pokrywa wjazdu. Gdy tylko utworzyła się niewielka szczelina, wylazł z niej pies, który drapiąc łapami stalowy pancierz zeskoczył na ziemię.

— Bezwstydney... — gderze Panfierycz. — Bezwstydney i próżniak. Zepsuł całą uroczystość chwili.

Gdy właz otworzył się całkowicie, wyskoczyli z niego jeden po drugim wszyscy badacze podziemnej głębin. Powietrze zadrżało od okrzyków powitalnych. Gorszkow pozostał w maszynie, aż nadarzyła się odpowiednia chwila, kiedy mógł wysunąć się niezauważony.

— Natychmiast zabierajcie stąd namioty — krzyczy Kostia wyrывая się z czyichś objęć.

— A to czemu? — pyta zdziwiony dyrektor.

— Za godzinę miejsce to będzie zalane. Za nami pędzi woda. Trzeba wszystko przenieść wyżej. Tara chyba.

— Jaka woda, Kostia?... Pytam, jaka woda? — denerwuje się Zoja Władimirowna.

Ale Kostia już nie słyszy. Złapali go, unieśli w górę i zaczęli huścić.

— No, jak? — pyta Batia ściskając rękę Krymowa.

— Będę musiał przerabiać łódź. Choćby ster na przykład... — odpowiada Oleg Nikołajewicz marszcząc się c-d jaskrawego światła słonecznego.

— Nie jestem zadowolony z naukowych wyników ekspedycji — zwraca się Tołmazow do Zoji Władimirowny. — Nie udało nam się zbadać do końca dróg wody pod ziemią. Będziemy musieli powtórzyć ekspedycję.

— Ale jednak doprowadziliście wodę do pustyni! Powiedzcie, czy bardzo było trudno zbudować pod ziemią tamę? — interesuje się Sjernionowa.

— Zupełny drobiazg — wtrąca się Kostia. — Wywołaliśmy wybuch i to wszystko.. Ale poszukiwania rudy uranowej — to zupełnie inna sprawa.

— Co? — zainteresował się dyrektor — Jakiej rudy?

— Uranowej!

— Tak, tak — spostrzegł się Tołmazow. — Przecież nie zdążyłem opowiedzieć najważniejszego. Odkryliśmy mimochodem olbrzymie złoża rudy uranowej. Mam gdzieś próbkę, w łodzi jest cały wór — kończy przeszukując kieszenie.

— Właśnie obecność tej rudy zakłóciła łączność radiową i akumulatory się rozładowały. Należało przewidzieć specjalną izolację — dodaje Krymów.

— Tak, zatem maszyna wytrzymała próbę. — Gremiakin uważnie patrzy na Olega Nikołajewicza.

— O tak, gdyby nie izolacja i ster, myślę o grubości łap — płcze się Krymow, ale przerywa mu Batia.

— Maszyna wytrzymała próbę — oświadcza mocnym głosem. — *Wytrzymała* wspaniale. A co najważniejsze — wytrzymali ją ludzie.

Z piaszczystego wzniesienia dokładnie było widać, jak woda wytryskając z otworu, który przebiła łódź, szybko rozlewa się po szerokim zagłębieniu. Wzbierającą się wodę z wściekłością oszczekiwał Dżulbars. Nie rozumiał, że woda, która napędziła mu pod ziemią tyle strachu, nie grozi nikomu niebezpieczeństwem i radośnie witana jest przez ludzi.

— Ależ to będzie jezioro! Spójrzcie tylko, jaką przestrzeń ono zajmie — krzyknął Gremiakin, zakreślając ręką szeroki krąg. Wystarczy wody dla wielu fabryk!

— Chciałabym, aby nie tylko fabryki tu wyrosły, ale żeby pustynia przeobraziła się w kwitnący kraj, tak jak to było przed ośmioma wiekami — w zadumie wyrzekła Natasza.

— Dla naszych ludzi, takich entuzjastów, jak Krymow albo takich odważnych i ofiarnych, jak profesor Tołmazow — nie ma na świecie żadnych przeszkód — z dumą powiedział Kostia.

— A o czym wy myślicie? — zwróciła się Zoia Władimirowna do Krymowa.

— Chcę zbudować nową podziemną maszynę, jeszcze potężniejszą i doskonalszą — odpowiedział Oleg Nikołajewicz.

— Do projektowania nowej maszyny zasiądziemy z wami natychmiast, jak tylko powrócimy do instytutu — wtrącił się do rozmowy Trubniu — Kształt kadłuba trzeba będzie zmienić.

— Zupełnie słusznie! — podchwycił Krymow. — Ja też tak myślę. Równocześnie omówimy i sprawę uzbrojenia ogona.

— I wiecie co jeszcze? — mówił podniecony Piotr Antonowicz wyjmując z bocznej kieszeni suwak.

Obaj inżynierowie zaczęli z ożywieniem omawiać projekt nowej maszyny, jak gdyby od dawna już zostało postanowione, że będą razem pracować.

— A ja pragnę — zaczął Balia — żebyśmy mieli jak najwięcej ludzi niezadowolonych z osiągnięć, gotowych do bohaterstwa w imię dalszego postępu nauki i techniki w kraju ojczystym.

Właśnie w tej chwili zatrzymał się opodal samochód, Prawdopodobnie zahamowano go w pełnym biegu, ponieważ spod jego kół uniosły się w powietrze całe tumany kurzu. Z maszyny wyskoczył jakiś człowiek i wymachując trzymanym w ręku papierem, biegł pędem.

— Gdzie dyrektor? Towarzysze, gdzie dyrektor!? — krzyczał w biegu. Za chwilę Gremiakin odczytał podaną mu depezę.

— Uwaga — głośno powiedział podnosząc rękę do góry. — Oto depeza z miejsca startu. Słuchajcie! — kontynuował wśród zapadłej ciszy. — Poziom rzeki Jangier podnosi się. Woda wypełnia dawne koryto.

Konstantin Grigoriewicz zatrzymał się, nabrał tchu i spojrzał na obecnych.

— To znaczy, towarzysze — mówił ze wzruszeniem — znaczy, że nadejdzie czas, kiedy rzeka dawnym korytem powróci tu — do pustyni. Czy rozumiecie, co to znaczy!

W suchym i dusznym powietrzu zagrzmiało głośnie "ura"

Ludzie zrozumieli: ujrzeli zamiast rozpalonego piasku zielone brzegi, pokryte bujną roślinnością.

Zrozumieli, czego zdołali dokonać ofiarni ludzie radzieccy.

Zrozumieli, jak wspaniałe będą ich osiągnięcia w przyszłości.

